



SZCZEPAN TWARDOCH

z frontu w Donbasie:

Pomogłem zamocować pod drona
termobaryczny granat



ROBERT MAKŁOWICZ

Świerszczy
nie jadam, ale...

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK, JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Sobota–poniedziałek,
8-10 kwietnia 2023 | Redaktor
prowadzący **Marek Markowski**
Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT)
nr 83.10275, 1 | Nakład 120 tys.
+ 300 tys. prenumerat cyfrowych

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Jajek w cenie sprzed Glapińskiego
Ukrainy z wierszy Tarasa Szewczenki
Rosji z marzeń Nawalnego
Polski bez PiS
i żeby Andrzej Poczobut wrócił do rodziny

ŻYCZY NAM WSZYSTKIM REDAKCJA „WYBORCZEJ”



Sprywatyzowany Chrystus łączy Putina i polską prawicę

Wierzę jak Rosjanka

W mojej rosyjskiej Wielkiejnocy nie było przesadnej świątobliwości, narzucanej odgórnie powagi, przymusu dostosowania się do zwyczajów narzuconych przez Kościół i państwo

Bieliaszyn



Nigdy nie czułam się specjalnie związana z Kościołem ani z jakąkolwiek wspólnotą religijną. Od katolickiej babci dostałam w dzieciństwie kilka świętych obrazków, od prawosławnej poświęconą ikonę, a od rodziców – brak obowiązku chodzenia do kościoła, jeśli nie miałam ochoty. Obojgu wystarczała świadomość, że dzięki pozaszkolnym lekcjom religii w parafii ewangelickiej orientuję się w Piśmie i historii Kościoła. Sami uczestniczyli w nabożeństwach od wielkiego dzwonu, a mnie powtarzali, że do modlitwy nie jest potrzebna świątynia.

Moja rosyjska babcia, która była najbardziej religijną, choć wciąż daleką od przesadnej pobożności osobą w rodzinie, każdego dnia piła wodę święconą w nadziei, że złagodzi dolegliwości chorób, na które cierpiała pod koniec życia. Miała też w domu, jak wszyscy praktykujący prawosławni, tzw. krasnyj ugoł, czyli kiot z ikonami, ołtarzyk zawieszony tuż pod sufitem w najbardziej wysuniętym na wschód rogu mieszkania. To na nim paliły się świece w dniu każdego mojego poważniejszego egzaminu, operacji czy lotu samolotem. Czy wynikało to z głębokiej wiary babci? Nigdy o niej zbyt wiele nie rozmawialiśmy, ale świadomość, że zadbała, by jej dzieci zostały ochrzczone w czasie, kiedy sam fakt wiary w Boga musiał być ukrywany, pozwalała mi myśleć, że tak.

Jak było ze mną? Wystarczy, jeśli przyznam, że po konfirmacji, która u protestantów jest odpowiednikiem pierwszej komunii i bierzmowania, powiedziałam podobno żartem, ku zgrozie pastora, że w kościele będę musiała pojawić się w życiu jeszcze dwa razy: na własnym ślubie i pogrzebie.

Nic dziwnego, że najbardziej zaangażowana w życie parafialne byłam na pierwszym roku studiów, kiedy spotykałam się ze studentem teologii ewangelickiej. Bywałam w kościele, by wysłuchać jego kazań, ale mój stopień uduchowienia oceniałabym na mierny z plusem. Zdarzało mi się pomylić kościoły, w których prowadził nabożeństwa, orientując się, że źle trafiłam, dopiero kiedy dostrzegałam figurki, posążki i obrazy przedstawiające świętych, niedopuszczalne u ewangelików.

Trudno było mi odnaleźć w sobie pokłady wiary, kiedy ten przyszły ksiądz, z którym rozmawiałam o życiu wiecznym, mówił mi z rozbijającym uśmiechem, że po śmierci zjedzą nas robaki i tyle z tego będzie.

Sytuacji nie polepszyła krótka znajomość z zadeklarowanym katolikiem. Spóźniał się co prawda na spotkanie z powodu regularnej spowiedzi i udziału w mszach, ale szybko okazało się, że ma do nich podejście biznesowe. „Wyspowiadałem się, mam czyste konto”.



• Wielkanoc w Moskwie, 2018 r., błogosławienie pokarmów FOT. ALEXANDER NEMENOV/AFP/EAST NEWS

Również te doświadczenia sprawiły, że jeśli chodzi o stosunek społeczeństwa do wiary, przez wiele lat bliższa była mi Rosja. Dzisiaj znaczna większość Rosjan organizuje życie duchowe wokół hasła: „żeby nie zapeszyć”. Nie rozgniewać Boga, który, niewykluczone, rzeczywiście istnieje, bo tak wielu traktuje dzisiaj w Rosji kwestie wiary.

W popularnej anegdocie bohater, uciekając od kochanki przez balkon, spada z dziesiątego piętra. Lecąc, modli się do Boga o przeżycie, obiecuje poprawę i pokutę, a kiedy ląduje bez szwanku w zaspie, otrzepuje się i mruczy pod nosem: „Łał, ledwie trzy sekundy lotu, a takie bzduły przychodzą do głowy”. W kraju, w którym jeszcze nie tak dawno trójcę świętą tworzyli Marks, Engels i Lenin, brak religijności nie powinien dziwić. Tak jak i mylenie zasad chrześcijańskich z tymi, które obowiązywały pogan, kierujących się systemem: „złożysz mi ofiarę, dostaniesz prezent”.

Najbardziej boję się, że podczas Paschy krewni złożą mi życzenia, pisząc tradycyjne: Christos woskriesie

W moich rosyjskich świętach nie było przesadnej świątobliwości ani narzucanej odgórnie powagi. Nie było też w nich nigdy poczucia przymusu dostosowania się do zwyczajów, czy to narzuconych przez Kościół, czy państwo, bo w Rosji święta kościelne nie są dniami ustawowo wolnymi od pracy. Miażdżąca większość Rosjan nie ukrywa, że wierzy w Boga raczej „awoś”, czyli „na wszelki wypadek”, a instytucję cerkwi traktuje krytycznie, widząc ludzkie grzechy jej duchownych i hierarchów.

Święto Paschy sprowadzało się co prawda do udziału w kilkogodzinnej nocnej liturgii w cerkwi, ale następnie, już w Wielką Niedzielę, do całodziennego podejmowania przyjaciół i rodzi-

ny. Albo przy suto zastawionym, świątecznym stole, albo na dacy nad brzegiem Wołgi. Od zwykłej rodzinnej imprezy z gitarą odróżniały się te biesiady tym, że na stole królowała tradycyjna pascha, kulicz, czyli babka wielkanocna, ufarbowane na czerwono w lupinach cebuli jajka i potrawy, których co bardziej religijni krewni, odmawiali sobie przez czterdzieści dni postu. No i tym, że podczas powitania każdego gościa, a w miarę ubywającego z kieliszków wina także bez okazji, co jakiś czas ktoś oznajmiał głośno „Christos woskriesie!” [Chrystus zmartwychwstał], a wszyscy zebrani odpowiadali zgodnie: „Woistinu woskriesie!” [Prawdziwie zmartwychwstał].

Dzisiaj cień na tych wspomnieniach kładzie Pascha 2014 roku, która przypadała na koniec kwietnia, niemal miesiąc po aneksji Krymu przez Rosję. Wtedy po raz pierwszy rodzinne święta, dotąd kojarzące mi się wyłącznie ze spokojem i radością, zmącił konflikt. A ja zauważyłam, że są w moim otoczeniu osoby, które okrzyk „Christos woskriesie” z łatwością zastępują hasłem „Rassija wpietiod” i „Krym nasz”. Dyskusje dwóch zaciętrzewionych mężczyzn usiłowały złagodzić siedzące przy stole kobiety, które powtarzały, że „nie należy rozmawiać o polityce”. „Widzisz, oni się cieszą z tego Krymu. A po cholere on nam? Oni jeszcze nie wiedzą, że to dla Rosji katastrofa”, mówił mi wtedy jeden z nich.

Wielu wciąż nie zdaje sobie sprawy, że „krymska wiosna” rzeczywiście była dla Rosji początkiem katastrofy. I że być może już wtedy, a nie, jak mówi dzisiaj wielu przeciwników wojny, w ubiegłym roku, Chrystus nie zmartwychwstał. A przynajmniej nie w Rosji. Kreml i najwyżsi zwierzchnicy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej uważają jednak, że zmartwychwstał on tylko tam. A raczej usiłują wmówić to innym. „My Russkije, z nami Bog”, mówił przed wiekami Aleksander Suworow, ten odpowiedzialny za rzeź Pragi, na radzie wojskowej w klasztorze św. Józefa. To samo mówią dzisiaj

władze, usiłując stworzyć wrażenie, że Bóg został sprywatyzowany przez Kreml. I że ten rosyjski jest lepszy.

Putin chce pokazać się Rosjanom i światu jako wierzący, praktykujący prawosławny, udając, że wiara odróżnia go od bolszewizmu i radzieckiej przeszłości, niewiele różni się jednak od faceta spadającego z 10. piętra. On również zdaje się przekonany, że z każdym można się targować i negocjować. Nawet z Bogiem. O ile u zwykłych Rosjan, zajętych swoimi sprawami i bolączkami, takie targi mogą bawić, o tyle u Putina przerażają... O „rosyjskim Jezusie Chrystusie”, widzianym oczami Kremla, śpiewał punkowy zespół Pornofilmy. „Nie zabijaj, a jeśli zabijesz, zbuduj świątynię wśród grobów, ile za rytuał nad martwymi ciałami?”.

Trudno nie zauważyć, że kremlo-sko-prawosławna narracja więcej ma wspólnego z pogaństwem niż chrześcijaństwem: oto Rosja ma „szczególne” relacje z Bogurodzicą i Chrystusem, a krocząc swoją „wyjątkową drogą”, w odróżnieniu od liberalnego Zachodu, znalazła się w posiadaniu „organicznej prawdy”. Filozof Nikołaj Plotnikow wyjaśnia, że „organiczna prawda” pozwala łamać lub ignorować prawo w imię „wyższej sprawiedliwości lub wyższej prawdy”. To pozwala lepiej zrozumieć wojnę w Ukrainie. „Weźmy Krym. Rosjanie wiedzą, że aneksja jest nielegalna. Putin też wie. Co nie zmienia faktu, że »Krym jest nasz«”.

Dzisiaj w rosyjskim społeczeństwie próżno dopatrywać się nastrojów podobnych do tych z „krymskiej wiosny”. Nie ma euforii, jest niewiadoma i apatia. Znak agresywnie prowokacyjnej polityki Cerkwi, trudno nie odetchnąć z ulgą, myśląc o letniej religijności Rosjan. Podczas ubiegłorocznej Paschy, kiedy armia celowo ostrzelała ukraińskie miasta, najbardziej bałam się, że krewni z Rosji złożą mi życzenia, pisząc tradycyjne: „Christos woskriesie”. Na szczęście Chrystus i dla nich w tamtym roku nie zmartwychwstał. ●

Wiktoria Bielaszyn

Kampania już trwa

Słuchajcie Beaty Szydło

Opozycji zostały ledwie cztery miesiące

Kublik



„Kolejna kadencja PiS pozwoli dokończyć zmiany w Polsce, uczynić je niemożliwymi do cofnięcia” – rzuciła Beata Szydło w jednym z kampanijnych wywiadów. To szczere słowa, zasługują na uwagę, bo dziś Szydło mówi Kaczyńskim za Kaczyńskiego.

„Dziś pan prezes po raz kolejny obdaru mnie wielkim zaufaniem. Drogi Jarku, dziękuję ci za to, czego mogłam się od ciebie nauczyć w polityce. Deklaruję, że zrobię wszystko, żeby twoja zjednoczona biało-czerwona drużyna zwyciężyła, żebyś był dumny z Polski, jaką sobie wymarzyłeś” – tak latem 2015 dziękowała Kaczyńskiemu, że ją pasuje na przyszłego premiera.

Jej niebywała arogancja (choćby pamiętne słowa, że „te pieniądze im się po prostu należały”, o bezprecedensowo wysokich nagrodach, jakie dała swoim ministrom, czy nazywanie zwycięstwem porażki 27:1 w głosowaniu nad przedłużeniem kadencji Tuska na szefa Rady Europejskiej) jej nie zaszkodziła. Ba, przysporzyła jej popularności. I choć Szydło przestała być premierem nagle (w grudniu 2017, tuż po wygranym konstruktywnym wotum nieufności dla jej gabinetu, podała się do dymisji na życzenie prezesa), to dziś wraca jako wysłanniczka Kaczyńskiego. Też na jego rozkaz. Ma zmobilizować wszystkich wyborców z 2019 r., czyli te co najmniej osiem milionów.

Nie lada wyzwanie, ale Szydło potrafi mówić ludziom, co chcą usłyszeć.

Oto jak agituje: „Kolejna kadencja PiS pozwoli dokończyć zmiany w Polsce, uczynić je niemożliwymi do cofnięcia. Oddanie Pol-

ski w ręce obecnej opozycji cofnęłoby nas znowu w biedę i słabość. Polacy to wiedzą, dlatego szansa na zwycięstwo jest wielka”.

„Niemożliwymi do cofnięcia”? Tylko wówczas, gdy nie będzie już nikogo, komu by na tym zależało. Kto miałby siły i możliwości, by walczyć ze strukturami państwa PiS. A więc kiedy opozycja będzie pozbawiona głosu, bo istnieć będą tylko reżimowe media. Te wolne potracą koncesje albo zdechną z głodu, bo państwo obarczy je nowymi daninami, a spółki skarbu państwa będą się reklamować tylko w reżimowych.

Kiedy społeczeństwo będzie apatyczne. Gdy ostatecznie zniknie zaufanie między ludźmi. Kiedy organizacje pozarządowe wyginą, bo zostaną uznane za zdradzieckie placówki zagraniczne i zlikwidowane, a te, które się ostaną, padną, bo nie będą już miały do kogo mówić.

„To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w niej urządzić” – a co, jeśli Stefan Kisielewski, rzucając gorzki bon mot w PRL, przewidział te czasy?

Kaczyński ma w ręku wszystkie instrumenty pozwalające mu panować nad procesem wyborczym: media, sądy i Państwową Komisję Wyborczą.

A opozycja? Ma dramatycznie mało czasu. Do wyborów mniej więcej pół roku, a po drodze wakacje. Zostały ledwie cztery miesiące do walki ze świetnie wyszkoloną, rozpedzoną już machinerią pisowskiej propagandy.

Jaki opozycja ma plan (oprócz tego, że nie chce jednej listy)? Warto by już wiedzieć.

Wierzący mogą wierzyć w zmartwychwstanie opozycji.

Niewierzący w ich rozum.

Doprawdy, nie odważyć się prognozować, kto potem może być bardziej rozczarowany. ●

Agnieszka Kublik

Andrzej rysuje



Liczba tygodnia

63

MLN ZŁ
dostanie Orlen od państwa na budowę 40 stacji ładowania aut elektrycznych. Krytycy, wśród nich samorządowcy i ekolodzy, zauważają, że koncern i tak osiąga gigantyczne zyski, zawyżając ceny paliw pod pretekstem wojny w Ukrainie, i lepiej byłoby wesprzeć np. termomodernizację.

Więcej ► [Wyborcza.pl/klimat](https://wyborcza.pl/klimat)

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Zachwycający Wietnam

Poznaj największe atrakcje Wietnamu czyli najważniejsze miasta: Hanoi, Hoi An, Huế i Ho Chi Minh, Deltę rzeki Mekong oraz weź udział w rejsie po Zatoce Ha Long.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Hanoi. Dz. 2 Hanoi. Wycieczka riksami przez zabytkową część miasta. Jezioro Hoan Kiem. Dz. 3 Hanoi. Zwiedzanie miasta: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. Dz. 4 Hanoi – niezwykły cud natury - Zatoeka Ha Long. Rejs pośród wapiennych wysepek i nocleg na statku w zatoce. Dz. 5 Ha Long – Hanoi. Podróż samolotem do DaNang, a następnie autokarem do Hoi An. Dz. 6 Hoi An. Wycieczka rowerowa. Wyspa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta Hoi An. Dz. 7 Dzień wolny w mieście Hoi An. Dz. 8 Hoi An – Huế. Przetęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. Dz. 9 Huế. Wycieczka riksami do zabytkowej części miasta, cytadela. Przelot do miasta Ho Chi Minh (dawny Sajgon). Dz. 10 Ho Chi Minh – rejs Deltą rzeki Mekong. Dz. 11 Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. Dz. 12 Poranny spacer po parku, wizyta na bazarze i wylot z Ho Chi Minh do Warszawy. Dz. 13 Przyłot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 16/10 2023, 28/01, 01/03 2024



Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



Albatros travel

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW21

Świętych nieznanych,
dziwacznych
i nieoczywistych
jest więcej
niż tych kanonizowanych



SAMARYTANIN PRZEGAPIONY

Z KSIĘDZEM **ALFREDEM WIERZBICKIM***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Czy spotkał ksiądz kiedyś świętego człowieka?

– Metaforycznie mówiąc, to z pewnością niejednego. Gdyby jednak moja odpowiedź miała mieć sens teologiczny, to muszę zaprzeczyć. Miałbym kłopot, by kogoś za życia uważać za świętego. Jednym z warunków wszczęcia procesu beatyfikacyjnego jest kult, czyli dobra pamięć o zmarłym.

Trzymajmy się metafor.

– To sięgnijmy po wiersz Miłosza „Przyjdź, Duchu Święty”: „Zbudź więc jednego człowieka, gdziekolwiek na ziemi/ (nie mnie, bo jednak znam co przyzwoitość)/ i pozwól, abym patrząc na niego podziwiać mógł Ciebie”. Tak jak Miłosz chce widzieć w innych ludziach coś, czego nie mam w sobie, a to zaś chroni od pychy, od narcyzmu i zapatrzenia się w siebie. Bliska mi jest teologia świętości, wedle której święci nie prowa-

dzą do Boga za rękę, tylko pomagają wypracować własną drogę do świętości. Są zatem potrzebni tym, którzy wierzą w Boga i szukają drogowskazów w swojej wierze i drodze życiowej.

A co ksiądz ma do powiedzenia o świętości grzeszników przemycanych do nieba przez Szemkela z wiersza Herberta? To recydywista, wielokrotnie karany za przemyt, z czego

niewiele sobie robi, bo „między otchłanią a niebem jego tupot nieustanny”.

– Kościół oficjalnie ogłasza ludzi świętymi, ale w swojej duszpasterskiej mądrości ustanowił też dzień Wszystkich Świętych, w którym mieszczą się święci nieobjęci żadną kanonizacją i beatyfikacją. Świętych nieznanych, dziwacznych i nieoczywistych jest więcej niż tych kanonizowanych.

Są też tacy, których nigdy nie było, jak Krzysztof na przykład. – Bardzo lubię tę opowieść o Krzysztofie, który przenosi ludzi z jednego brzegu rzeki na drugi, i czy to jest postać historyczna, czy nie, jest to dla mnie wtórne. Jednak papież Paweł VI uporządkował kalendarz chrześcijański i niektórych świętych kiedyś powszechnie czczonych albo pozostawił w tle, albo nakazał wycofać się z ich kultu. Ale czy to jest równoznaczne z odebraniem im świętości? Niezależnie od swej historyczności nadal mówią nam coś ważnego. Świętą Barbarę zdaje się też uznano za postać niehistoryczną, podobnie jak św. Jerzego, którzy przecież wciąż są obecni w panteonie świętych u ludzi pobożnych, mogą ich inspirować.

Tych oczywistych świętych jest w Kościele katolickim około dziesięciu tysięcy. Dość powiedzieć, że Jan Paweł II beatyfikował 1318 osób, a kanonizował 478. Więcej niż wszyscy jego poprzednicy, od XVI wieku począwszy. – JPII chciał zwrócić uwagę na to, że po pierwsze, święci to nie tylko wielcy doktorzy Kościoła, biskupi i zakonnicy, bo takich głównie wcześniej beatyfikowano i kanonizowano, a po drugie, że nie pochodzą jedynie z Europy. Jednym słowem za JPII nastąpiła deuropeizacja zastępów świętych. To efekt refleksji Soboru Watykańskiego II, który zaakcentował, że świętość jest nadzwyczajna i jednocześnie zwyczajna i osiągalna.

Zatem czy ateista albo agnostyk może być świętym? – W sensie przekroczenia swojego człowieczeństwa – tak. Powiedziałbym, co jest oczywiście moją wiarą, której nie chcę nikomu imputować, że jeśli agnostyk spotka się po śmierci z Bogiem, to stanie się także człowiekiem afirmującym Boga.

Zdaniem księdza świętość jest wpisana w DNA człowieka? – Tak uważam. Bardzo bliska jest mi czasem krytykowana koncepcja o anonimowych chrześcijanach austriackiego teologa Karla Rahnera. Uważał on, że obok ludzi ochrzczonych i wyznających świadomie chrześcijaństwo z Chrystusem jako odkupicielem człowieka mają związek właściwie wszyscy ludzie i zbawiają się na drogach swoich religii, a nawet jako niewierzący. Kiedy niedawno przywołałem ten pogląd w pewnej dyskusji, zapytano mnie, po co ludziom, którzy nie są chrześcijanami, wmawiać, że nimi są. W dodatku anonimowymi.

No właśnie. – Z punktu ścisłości dyskursu i dbałości o to, aby mówić tym samym językiem, to jest trafna uwaga, ale nie o to chodziło Rahnerowi. Chodziło przede wszystkim o to, że Bóg chce zbawić wszystkich. Bez wyjątku. Zbiega się to z tym, co uświadomił Sobór Watykański II, że jesteśmy przyporządkowani do Chrystusa w różnych kręgach: w Kościele, w religiach oraz jako ludzie dobrej woli.

A jak ktoś uważa takie podejście za uzurpację? Bo stara się być człowiekiem dobrej woli, ale nie chce być przyporządkowany

do Chrystusa, bo nie wierzy w jego bóstwo. – I to jest właśnie ułomność myślenia teologicznego, które jest myśleniem totalizującym i obiektywizującym. Jeśli spojrzeć z punktu widzenia subiektywnych doświadczeń i indywidualnych świadomości, to trzeba uznać ludzkie wybory związane z różnymi sposobami nadawania sensu swemu życiu. Nie można na siłę nikogo okrzyknąć chrześcijaninem deklaratywnym czy anonimowym. Podstawą oceny jego postępowania niech będą po prostu jego człowieczeństwo i etyka.

Katolicka? – Niekoniecznie. Mamy w Polsce wspaniałą tradycję etyki niezależnej Tadeusza Kotarbińskiego. Jego zdaniem etyka jest niezależna od religii, od światopoglądu i od filozofii. To jest wspólne doświadczenie, uniwersalne. Marian Przełęcki, dziś zapomniany filozof, w eseju „Chrześcijaństwo niewierzących” pisał o swoim środowisku, że co do dogmatów – to nie są chrześcijanami, ale co do etyki – to nimi są. Bo chrześcijańska etyka miłości bliźniego odzwierciedla powszechne doświadczenie moralne.

Intuicyjnie rozumiemy świętość jako postawę związaną jednak z doświadczeniem religijnym. – Nie można utożsamiać doświadczenia religijnego i moralnego. Na pewno świętość zakłada solidną moralność, ponadprzeciętną wręcz, ale świętość jest też odniesieniem do Boga. Człowiek święty jest znakiem bożej obecności. Chociaż mogą przede wszystkim podziwiać jego człowieczeństwo. U świętych najbardziej intryguje zmaganie się ze sobą, znajomość swych ludzkich granic, świadomość, że prawdziwie święty jest tylko Bóg. Pragnienie bycia lepszym człowiekiem.

Czyli? – Wrażliwość, zdolność do życia ofiarnego pomimo swych wad i grzechów. Dziś z reguły jesteśmy nastawieni na korzystanie z życia, a droga świętości to jest droga życia z innymi i dla innych. To dziwne, że w Kościele rozwinął się kult świętego dobrego łotra, tego, co został ukrzyżowany razem z Jezusem i usłyszał od niego: „dzisiaj będziesz ze mną w raju”, ale nikomu nie przyszło na myśl, aby szerzyć kult dobrego samarytanina, który rozpoznał bliźniego w człowieku obcym. Udzielił mu pomocy, której w sytuacji zagrożenia swego życia nie doczekał się od ludzi religijnych. Samarytanin to postać z przypowieści Jezusa, mógł nawet faktycznie istnieć, na pewno jest patronem tych wszystkich ludzi, którzy potrafią uczestniczyć w losie bliźnich niezależnie od tego, czy są z bliska, czy daleka. Dziś takich ludzi dostrzegam w Grupie Granica.

To zapytam o istotnych dla księdza świętych. Możemy wybrać nieoczywistą trójkę? – Zacznę od św. Pawła i jego listów, które po pierwsze umacniają mnie w przekonaniu, że nie uczynki nas zbawiają, ale łaska. Jednym słowem, w chrześcijaństwo wpisany jest prymat łaski i miłości. Moje przeżycie się łaską wypływa też z bardziej uważnej w ostatnich latach lektury księdza Tischnera,

który zapowiadał katastrofę Kościoła w Polsce. W latach 90. XX w. trochę bagatelizowałem jego teksty, w których podnosił, że wielki aktywizm w Kościele wynika z lęku przed łaską.

Aktywizm? – Ach, to koszmarnie! Etykę wartości chcemy zastąpić techniką poprawnego życia, sumienie – instrukcjami. Na każde rzekome i prawdziwe zło mamy receptę. Fiksacja na złu nie pozwala już głosić Dobrej Nowiny. Jest w tym brak zaufania do człowieka i zarazem szukanie oparcia we władzy politycznej. Kościół zamiast być źródłem łaski, staje się miejscem oskarżeń, wykluczenia i budowania murów pomiędzy „dobrymi chrześcijanami” a „złym światem”.

■
*Żyjemy zbitką,
że Kościół popierał
Solidarność,
a popierało ją
kilkudziesięciu
szeregowych księży
plus papież i niewielu
biskupów*

*Już słyszałem,
że jestem
antyklerykałem.
To całkiem dobre
towarzystwo.
Znajdują się w nim
Dante
i papież Franciszek*

Dewocja i polityka w nieustannym wzmożeniu aż kipią w jednym kotle. Okazujemy łapczywość i pazerność, a życie chrześcijanina – podkreśla św. Paweł – jest z łaski, a nie z uczynków. Tischner wręcz oskarżał, że myślenie w Kościele w Polsce zostało zdominowane przez pelagianizm, a zgodnie z nim człowiek swoim własnym wysiłkiem, zapobiegliwością zbawia siebie.

Dlaczego polski Kościół obstawał przy koncepcjach Pelagiusza? – Jest to oczywiście kryptopelagianizm. Rodzi się on z lęku przed sekularyzacją. Gdy chwile się społeczna pozycja Kościoła, z jednej strony winnych szuka się na zewnątrz, a z drugiej oczekuje się również pomocy zewnętrznej, liczy się, że państwo wzmocni struktury Kościoła, da mu poczucie bezpieczeństwa. A przecież w chrześcijaństwie nie chodzi o doczesną siłę instytucji, lecz o wiarygodne świadectwo o zmarłych Chryście, o spotkanie z nim jako źródłem łaski i wolności. Można sobie zadawać pytanie, ile jest mojego własnego wkładu w zbawienie, czyli tego, co nazywano kiedyś drogą naturalną, a ile działania nadprzyrodzonego. Ja myślę, że istotą chrześcijaństwa jest balansowanie, ale z silnym akcentem na łaskę. I św. Paweł mu-

siał o tym wiedzieć, bo przecież on, prześladowca chrześcijan, został niespodziewanie dla siebie samego powołany przez Jezusa.

Co jeszcze ksiądz u niego znajduje? – W ostatnich latach na nowo odkrywam w jego listach dialog ze współczesną mu kulturą. Był bardzo dobrze wykształcony. W jego listach widać, że świetnie zna poetów greckich i rzymskich. W Liście do Rzymian jest nawiązanie do słynnej frazy z Owidiusza: „widzę to, co dobre, ale czynię to, co złe”, co Paweł interpretuje na swój sposób: „nieszczęsnym jestem człowiekiem, kto mnie wybawi”. Po czym przechodzi do hymnu dziękczynnego zwróconego do Chrystusa. Ciekawa jest jego rozmowa z Grekami, których próbuje naprowadzić na monoteizm, odwołując się do ich kultury: „jesteście ludźmi bardzo pobożnymi, bo macie ołtarz dla nieznanego Boga, czcicie to, czego nie znacie”, a potem cytuje ich poetów, bodajże Kleantesa, który pisał, że wszyscy jesteśmy z jego rodu, czyli z rodu boskiego. Sądę, że odwoływanie się do kultury to także dla współczesnego duszpasterza dobra szkoła.

Dlaczego? – Wiara nie powinna rozmijać się z językiem i kodami, którymi posługują się współcześni ludzie. Może ona budzić i rozwijać to, co już jest żywe w ich umysłach i sercach.

To proszę o drugiego świętego. – Święty Franciszek.

No tak, skoro prowadzi ksiądz zajęcia z etyki postępowania wobec zwierząt. – Kiedyś nie był aż tak ważny. Możliwe, że wyczulenie na naturę jest kwestią wieku, chociaż wychowywałem się na wsi i żyjąc w niej, nawet nie zastanawiałem się nad tym, że jestem nią otoczony. Dziś uświadamiam sobie coraz bardziej, dzięki lekturom i reportażom, jak wielkie cierpienie zgottała zwierzętom współczesna cywilizacja. A Franciszek jest kimś, kto w tradycji chrześcijańskiej odkrywa pokrewieństwo między człowiekiem a zwierzętami.

Dziś nie dla wszystkich jest to oczywiste. – Zawiodła filozofia, bo filozofowie, idąc za Arystotelesem, szukali podobieństw między człowiekiem a zwierzętami, a rzecz to oczywista, że swoim rozumem, a także wolą i decyzjami człowiek przewyższa zwierzęta. Nawet jeśli współczesna psychologia pokazuje, że u zwierząt istnieją zarówno akty intencjonalne, jak i zdolność do uczenia się, to jednak nie tędy droga do odkrycia prawdy o zwierzętach. Tę odkrywa się poprzez zwrócenie uwagi na ich cierpienie. Święty Franciszek nie szedł tą drogą, bo kierował się zachwytem nad dziełem stworzenia, ale dziś, i stąd mój wykład na UMCS, trzeba prześledzić całą filozofię, która za bardzo podkreślała różnice między człowiekiem a zwierzętami, ignorując narzucające się podobieństwa w sferze odczuwania.

Arthur Schopenhauer już w latach 30. XIX w. twierdził, że Europejczycy ze względu na ignorancję współczucia są pogrążeni w wielkim barbarzyństwie w stosunku

do zwierząt, które dziś przecież jeszcze narosło.

Wydaje mi się, że w powszechnym mniemaniu to jednak nie filozofowie, ale Księga Rodzaju z nakazem „czyńcie sobie ziemię poddaną” czyni ludzi odpowiedzialnymi za poczucie swojej wyższości wobec zwierząt, a w konsekwencji za ich los. Plus kapitalizm rzecz jasna. – Nie upieram się, ale zwrócę uwagę na Kartezjusza, który twierdził, że człowiek to podmiotowość, świadomość, jaźń, a zwierzę to czysta materia, co gorsza, mechanizm. Tu już w ogóle nie ma miejsca na jakąkolwiek relację. Tradycja judeochrześcijańska ponosi część odpowiedzialności, ale przedmiotowe traktowanie zwierząt dokonało się w nowożytności. To jest ambiwalencja myśli nowożytnej. Wydzwignięcie człowieka, odkrycie jego godności, a równocześnie odcięcie się od świata zwierząt i uczynienie z nich materii produkcyjnej i komercyjnej, co wiąże się z ich okrutnym i masowym cierpieniem. A one mają podmiotowość podobną do podmiotowości ludzkiej i nie kłómy się, kto ma więcej rozumu, bo to nie o to chodzi. Mało czytany Max Scheler powiada na początku swojej książki o stanowisku człowieka w kosmosie, że zwierzęta są nam bardzo bliskie, bo one, podobnie jak ludzie, są istotami dla siebie. Być podmiotem to być dla siebie.

Swoją drogą wie ksiądz, że we Francji jeszcze sto lat temu istniał kult świętego psa, patrona chorych dzieci? – Skoro Bóg jest miłością, która wylewa się na całość istnienia, to przypuszczam, że nie tylko ten jeden pies jest święty. Może są ich całe pokolenia? Bo co myśleć o miłości tych, które wiernie czekały na swoich ludzi.

Zaraz dojdziemy do panteizmu, co bardzo mnie cieszy. – Ja jednak nie mogę się zgodzić na radykalny panteizm, który zakłada, że Bóg i natura to jedno. Bo wierzę, że Bóg jest również ponad naturą. W kulturze, w relacjach międzyludzkich, w sferze duchowej. Nie zapędzałbym Boga tylko do puszczy i ogrodów. Można go spotkać czy to w naturze, czy to w kulturze i jednocześnie go tam nie ma, jest transcendencją. Ma tyśiące imion, a nie można go żadnym z nich nazwać, bo jest niewyrażalny.

Ale rozumienie świętości ogranicza ksiądz tylko do chrześcijaństwa? – Ależ skąd. Jednym z moich ulubionych świętych jest Mahatma Gandhi. Jestem chyba jedynym człowiekiem w Polsce, który przeczytał prawie wszystko, co on napisał. A napisał sporo, bo siedział w sumie ponad 10 lat w więzieniu, gdzie powstała znaczna część jego dzieł. Zaznajomiłem się z 90 to-mami, czego wymagał mój doktorat poświęcony walce bez przemocy. Przykład Gandhiego jest do-brym tropem do myślenia o świętości. Święty to człowiek, który po pierwsze przekracza swój egoizm, a Gandhi ciągle odkrywał jakąś ludzką biedę i się w nią angażował. I czynił to w przekonaniu, że wszyscy ludzie są braćmi, czemu dał wyraz w książce „All Men Are Brothers”. Nawiązując do te-

go konceptu, papież Franciszek ogłosił niedawno encyklikę „Fratelli tutti” – czyli wszyscy braćmi.

Po drugie: na rzecz świętości Gandhiego przemawia dla mnie jego zdolność do przekraczania i krytykowania własnej religii. Kiedy założył własny aśram, przyjął do niego również niedotykalnych, co było ogromnym skandalem. Popadł w konflikt z braminami, którzy są strażnikami ortodoksji, i swoimi zwolennikami. A przecież on dbał o świętość swojej religii, która została zagubiona przez jej wyznawców i przez kastę kierowniczą. W tradycji judeochrześcijańskiej kogoś takiego nazywa się prorokiem. A prorok idzie pod prąd i dochodzi do kolizji z własną wspólnotą. Z punktu widzenia chrześcijańskiego, o czym zapominamy, Jezus ma rysy proroka. Tymczasem niektórzy chcieliby go widzieć królem Polski.

Sprawdziłam. Chrystusa intronizowano w 2016 r., w Łagiewnikach. Zupełnie mi to z głowy wypadło. Sądziłam, że mamy tylko rycerstwo.

– Nasz naród jest chyba bardziej demokratyczny i do monarchii nie jest przekonany. Ale przyznam się, że byłem powodem małego zrywu rycerskiego. W dniu beatyfikacji Jana Pawła II przechodziłem z grupą przyjaciół przez most w kierunku placu św. Piotra. Rycerze Chrystusa Króla w tych swoich długich płaszczach rozdawali jakieś ulotki. Znamomi zapytali, co z nimi zrobić, więc odpowiedziałem, że ludzi nawiedzonych nie brakuje i najlepiej wyrzucić je do kosza. I nagle zostałem obłożony przez rycerstwo. Uratowała mnie moja grupa. Zostać męczennikiem w dniu beatyfikacji Jana Pawła II – to byłoby coś, prawda?

Skoro agnostyk może być świętym, to pewnie i antyklerykał może nim zostać.

– Już słyszałem, że jestem antyklerykałem. To całkiem dobre towarzystwo. Znajdują się w nim Dante i papież Franciszek. „Boska komedia” jest antyklerykalnym poematem wyrażającym ból, że średniowieczny Kościół zagubił drogę, którą jest Chrystus. Klerykalizm nadal trwa, papież Franciszek uważa, że jest to rak niszczący Kościół od wewnątrz.

Antyklerykalizm może jednak mieć brzydką twarz, jak każda zresztą postawa skrajnie antagonizująca. Jeśli wyrasta tylko z pogardy i chęci dowlania czarnym, trudno się z niej cieszyć.

Czy gdyby dziś zacząć proces beatyfikacji Jana Pawła II, z wiedzą, jaką od kilku tygodni mamy, mógłby zostać świętym?

– Jestem przekonany, że Jan Paweł II zostałby beatyfikowany i kanonizowany. Są w jego biografii cienie, ale w życiu świętych cień jest dopuszczalny, święty nie jest jakimś supermenem, kimś, komu wszystko musi się udać. Sądzę jednak, że „Santo subito!” nie musiało być impulsem do tak szybkiego procesu. Ów pośpiech sprawił, że mamy teraz to, co mamy.

Histerię czy „atak na Kościół”?

– Niestety, Kościół wpada w pułapkę wykreowaną przez PiS. Śledziłem uważnie wypowiedzi biskupów i rzecznika episkopatu i nikt się nie odciął od upolitycznienia sprawy JPII. W tych dniach Polska stała się sceną manifestacji ulicznych, a w żadnym kulcie świętego, ja nie znam takiego, nie do pomyslenia są marsze o charakterze politycznym. Trzeba jasno powiedzieć, że są znaki zapytania, a być może nawet rysy, na biografii Karola Wojtyły, ale ich ujawnienie nie powinno być interpretowane ani jako atak na papieża, ani na Kościół.

Ludzie, którzy biorą udział w tych marszach, nie dostrzegają, że są marionetkami w rękach polityków?

– Nie każdy chciałby maszerować z powodów politycznych, co również rozumie PiS. Nasze myślenie jest głęboko symboliczne. JPII jest symbolem tego, co najlepsze w naszej historii, i w pewnym sensie ta intuicja jest poprawna. Kiedy podczas swojej wizy-

ty w polskim parlamencie powiedział: „Ale nam się wydarzyło”, podsumował drogę do wolności, jaką Polacy przeszli razem z papieżem. Oczywiście nie tylko z papieżem, ale też nie ludźmi się, że z polskim Kościołem... W latach 80. większość biskupów nie angażowała się w popieranie Solidarności. Papież się angażował systematycznie i konsekwentnie.

Kardynał Wyszyński studiował nastroje w czasie strajków w Stoczni Gdańskiej.

– Nie tylko Wyszyński. Warto by przewertować archiwum z wypowiedziami także innych biskupów z czasu stanu wojennego. Żyjemy zbitką, że Kościół popierał Solidarność, a tymczasem popierało ją kilkudziesięciu szeregowych księży plus papież i wielu biskupów.

Ja nie jestem oczywiście historykiem, ale mam pamięć i żyłem w tych czasach. Ale rzeczywiście JPII stał się symbolem wyzwolenia z komunizmu i uprawnione dociekania, jak się odnosił do seksualnych nadużyć księży, nie mogą naruszyć tej historycznej prawdy.

Czyli bronią symbolu?

– Tak. Boją się, że zostanie im odebrana jakaś ostoja symboliczna. To pewnie jest też przejawem niedojrzałości Polaków i polskich katolików, że swoją wielkość chcą zobaczyć w wielkości czyjejs. Nie tak dawno ponownie czytałem „Wspomnienia polskie” Gombrowicza i jest w nich opis hysterii, która miała miejsce po śmierci marszałka Piłsudskiego w 1935 r. Nawet ci, którzy go nie lubili, poczuli się jak sieroty.

Skoro „Polak to katolik”, jak chce to widzieć Jarosław Kaczyński, to może ci, co „bronią papieża”, bronią narodu, czyli swojej tożsamości?

Prorok idzie pod prąd i dochodzi do kolizji z własną wspólnotą

– To najgorsze, co może się stać. Nie wiem, jak to się będzie rozwijać, ale „obrona papieża” to nowy napęd dla tej wyniszczającej chrześcijaństwo idei Dmowskiego, że Polak to katolik. Po pierwsze, to nieprawda, bo są Polacy innych wyznań, innych religii oraz agnostycy i ateści. Po wtóre, chrześcijaństwo nie da się zamknąć w kulturze narodowej, odwołam się jeszcze raz do św. Pawła, który głosił, że w Kościele nie ma ani Greka, ani Żyda. Po trzecie, posługiwanie się przez partię polityczną ideą Polaka katolika wciąż ga Kościół w autorytarne, wykluczające innych działania tej partii. Wizja państwa narodowo-katolickiego może poważnie zagrożić demokracji w Polsce i chrześcijańskiemu uniwersalizmowi w Kościele.

Jan Paweł II daleki był od endeckiej interpretacji polskości, stale nawiązywał do wielonarodowej i wielowyznaniowej epoki jagiellońskiej. Warto przypomnieć jego wypowiedzi skierowane do ewangelików w Warszawie, w kościele św. Trójcy. Wspominając biskupa Burschego, który odmówił podpisania volkslisty i został wysłany do obozu koncentracyjnego, papież powiedział, że nie można mówić, że Polak to tylko katolik. Trzeba mówić, że ewangelik to również Polak.

Zastanawiam się jednak, czy za obecnym wzmożeniem nie stoi jeszcze inna kwestia.

Jaka?

– Coraz bardziej się przekonuję, że Kościół w Polsce nie chce podjąć rozliczenia własnej przeszłości. W tej chwili ponad 10 biskupów zostało ukaranych przez Stolicę Apostolską za niewłaściwe postępowanie w sprawach nadużyć seksualnych. Nie tylko pedofilii, chodziło też o wykorzystywanie seksualne podwładnych dorosłych, jak w przypadku

abp. Paetza. Otóż ja nie znam żadnego kraju w Europie, który zostałby ukarany przez Watykan w takiej skali. Można się oczywiście zasłaniać albo tłumaczyć, że kiedyś inne były normy kanoniczne, inna wrażliwość moralna – ja się z tym zgadzam, ale jest problem, powiedziałbym, rozliczenia się z przykrą przeszłością, niemożliwą dziś do etycznego zaakceptowania. Sednem sprawy jest autentyczna przemiana mentalności, zrozumienie, że osoby wykorzystywane seksualnie przez duchownych żyją nadal ze swoją strasliwą traumą i nie można zachowywać wobec nich obojętności albo czynić ruchoy pozorne.

Niedawno do dymisji podał się biskup niemiecki Franz-Josef Bode, bo zarzucono mu złą postawę wobec oceny przypadków molestowania seksualnego przez księży mu podległych. W Polsce nie ma ani jednego biskupa, który by się do tego przyznał. Kościół w Polsce powinien moim zdaniem powołać komisję złożoną z prawników, historyków, psychologów, całkowicie niezależną od Kościoła, jak we Francji, w Niemczech czy Portugalii, która zbadalaby skalę nadużyć i wyznaczyła konkretne pola odpowiedzialności.

Cała para nie powinna iść dziś w obronę JPII, tylko w oczyszczenie Kościoła i uczciwe wyznaczenie nowych standardów.

A czy ta histeria nie bierze się z powszechnej opinii o wybraństwie księży?

– Niestety byłem wychowywany według klucza, że kapłan to drugi Chrystus, i wiele mi lat zeszło, żeby myśleć, że Chrystus jest jeden, co à propos wyczytałem również u św. Pawła.

Taka wykładnia roli kapłana jest nie do przyjęcia. Już bardziej trzeba byłoby się opierać na tekście biblijnym, że „kapłan z ludu wzięty i dla ludu”. Utożsamienie kapłana z Chrystusem powoduje jakąś wyłączność, ekskluzywność i prowadzi później do klerykalizmu i do zajęcia Kościoła przez księży jako swojej własności. A Kościół nie jest własnością księży, ale z trudem to do księży dociera. Faktem jest, że większość funkcji w Kościele według nawet obecnych rozstrzygnięć i prawnych, i liturgicznych wcale nie muszą pełnić księża, to jednak je pełnią. Ja rozumiem zaszłości komunistyczne, ale jesteśmy 35 lat po upadku komunizmu. Swoją drogą prestiż księdza został wywindowany również w czasach komunistycznych, bo księżom materialnie lepiej się wiodło niż większości społeczeństwa.

Może być świętym ktoś, kto nie stał po stronie ofiar, tylko kierował się dobrem instytucji?

– Nie wiemy, czym się kierował. Oczywiście traktuję cykl reportaży Marcina Gutowskiego jako poważną robotę dziennikarską, ale jednak on się skupia, zwłaszcza w ostatnim odcinku „Franciszkańska 3”, na okresie krakowskim. Natomiast jeśli się przyjrzeć, jak Wojtyła papież dojrzał do dostrzegania, po pierwsze, skali problemów nadużyć seksualnych i pedofilii, a po drugie, do reakcji na nie, to jednak trudno nie zauważyć, że zmiana zasad traktowania księży pedofilów dokonała się za pontyfikatu JPII. Jest pierwszym papieżem, który przyjął zasadę „zero tolerancji”. Niestety wciąż pozostaje enigmą, dlaczego nie działał w sprawie seksualnych drapieżców, jakimi byli Maciel Degollado i mianowany przez JPII kardynał Theodore McCarrick. Ten problem wciąż bardzo ciąży nad Kościołem, nie tylko w Polsce, choć w Polsce, powiedziałbym, sprawa jest wyjątkowo zabagniona. Dlatego myślę, że w okresie krakowskim papież popełnił błędy, ale jego spojrzenie w dalszym życiu się zmienia. Widzi konieczność przeciwstawienia się pedofilii i zwrócenia uwagi na ofiary i traumę, jaką przeżywają.

Mało się o tym mówi, że my wszyscy zarówno z lewa, jak i z prawa do niedawna nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak dewastująca dla psychiki jest pedofilia. Ikony paryskiego Maja '68 Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir postulowały uznanie pedofilii za rozszerzenie skali doznań seksualnych, podpiływały głośne apele o jej depenalizację. Da-

niel Cohn-Bendit, aktywista paryskiej rewolty, potem niemiecki polityk, w roku 2009, a więc 40 lat potem, wycofał się w debacie publicznej z wcześniejszego zachwalania „uroków” pedofilii.

To nikogo nie usprawiedliwia, naprawdę nikogo, nie możemy aktualnej świadomości rzutować na świadomość ludzi z lat 60. i 70. XX w. czy na JPII. Był człowiekiem o ponadprzeciętnej ludzkiej wrażliwości, ale tutaj zawiódł. I na podstawie materiałów, do których docierają dziennikarze, trzeba to uznać, ale nie ma powodu, by wywoływać z tego powodu narodową wojnę.

Młodzi ludzie nie będą w niej uczestniczyć. Dla nich Jan Paweł II jest śmiesznym staruszką i bohaterem memów.

– To było do przewidzenia. Zamiast nawiązywać do jego duchowego i politycznego dziedzictwa i podkreślać, że o naszej obecności w Unii Europejskiej przesądziła jego stanowcza decyzja, by w referendum opowiedzieć się za naszym akcesem do Wspólnoty, to stawialiśmy pomniki i opowiadaliśmy beznamięsne o kremówkach, sprowadzając papieża do śmieszności. Andrea Riccardi, biograf JPII, krótko przed jego beatyfikacją napisał artykuł, że martwi się, że kult JPII przesłoni żywego człowieka, co się stało. Pytanie, czy go jeszcze odzyskamy. Opublikowałem pięć lat temu książkę „Krucze dziedzictwo. Jan Paweł II od nowa”. Wtedy ludziłem się jeszcze, że da się wydobyć z jego nauczania to, co najbardziej wartościowe. W tej chwili jestem coraz bardziej sceptyczny. Jeśli będziemy eskalować, zwłaszcza w orbicie politycznej, walkę o JPII, to on się nam całkowicie rozsypie. ●



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ks. Alfred Wierzbicki

• ur. 1957 r., profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, filozof i poeta. Do 2022 r. wieloletni profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, m.in. kierownik Katedry Etyki KUL, dyrektor Instytutu Jana Pawła II KUL i redaktor naczelny kwartalnika „Ethos”. Odszedł z KUL na początku października 2022 r. W rozmowie z „Wyborczą” tłumaczył, że od pewnego czasu dużym problemem jest tam brak swobody wypowiedzi oraz „nastąpiła degeneracja intelektualna i moralna uczelni”.

• Po tym, gdy poręczył za Margot, niesłusznie aresztowaną aktywistkę LGBT, przed uczelnią protestowali katolicy fundamentaliści domagający się wyrzucenia Wierzbickiego z KUL. Władze uczelni wszczęły przeciwko ks. Wierzbickiemu postępowanie dyscyplinarne. Dziennikarze „Wyborczej” ustalili, że poszło o wypowiedź z „Kropki nad i”, w której Wierzbicki mówił o ks. prof. Tadeuszu Guzcie: „można być profesorem, ale można być też skończonym durniem”. Guz po wprowadzeniu pierwszego lockdownu twierdził, że podczas mszy nie można się zakazić koronawirusem. Później w Onecie Wierzbicki skrytykował stanowisko Konferencji Episkopatu Polski w sprawie mniejszości seksualnych: „dokument biskupów wygląda, jakby był pisany na księżycu, a nie w Polsce, gdzie prześladowani są na tym tle ludzie”. Po trwającym ponad rok postępowaniu etyk został uniewinniony.

• Jest znawcą myśli Jana Pawła II, którego imię od niedawna nosi KUL. Wydał m.in. kilka zbiorów esejów i felietonów społeczno-kulturalnych, był współautorem pracy „Wielkie tematy teologii” oraz autorem książek, m.in. „Polska Jana Pawła II” czy „Krucze dziedzictwo. Jan Paweł II od nowa”, a także dziewięciu tomów wierszy.

na podst. tekstu Piotra Kozłowskiego

Czemu Maryja się uśmiecha

Na ten moment czeka się we Włoszech cały rok.

Jarosław Mikołajewski

Był franciszkaninem i poetą. Należał do najlepszych liryków włoskich pomiędzy św. Franciszkiem a Dantem. W kategorii poezji religijnej w XIII wieku nie miał sobie równych. Do dzisiaj my, z pozoru nieśredniowieczni, poetyczką siłę Iacopone da Todi odczuwamy za każdym razem, kiedy gdzieś na świecie wykonuje się „Stabat Mater”: Vivaldiego, Pergolesiego, Verdiego, Szymanowskiego, Pendereckiego. Do jego słów, choć autorstwo Iacopone nie jest potwierdzone. Łacińska „Stabat Mater” ma wspaniały odpowiednik w języku ludowym, czyli włoskim – „Lament Madonny” („Pianto della Madonna”). Arcydzieło z największych w całej historii liryki włoskiej. Odtwarzane częściej niż inne – najczęściej w Wielkim Poście, na placach, w kościołach, teatrach. Na wystawienie „Lamentu” przez miejskie kółka dramatyczne i zawodowe teatry czeka się we Włoszech cały rok.

Jest „Lament” Iacopone dramatem, lecz również lirycznym płaczem. W tekście tym co i raz jakiś Posłaniec opowiada Marii kolejne sekwencje męki Jezusa. Matka nie idzie wzdłuż drogi krzyżowej, nie stoi pod krzyżem. Ona widzi przez słowa Posłańca i reaguje na pisane przez niego obrazy. Kiedy mowa jest o Pilacie, Maria zwraca się do Pilata. Kiedy jest mowa o krzyżu, mówi do krzyża.

Wyjątkowo zagęszczona relacja z Męką Pańską jest jak sen Obląkaney, która nie ma dy-

stansu do ludzi i rzeczy, której miesza się czas i stan, przeszłość z przyszłością. Może rozmawiać ze wszystkim i wszystkimiego dotykać myślą, miłością.

Apogeuem jest fragment, kiedy Matka śpiewa Ukrzyżowanemu kołysankę: *O figlio, figlio, figlio, / figlio, amoroso figlio – O synku, synku, syneczku, / kochany lilii kwiateczku...* Siłą rzeczy i lepkiem bezwładem wyobraźni narzuca się motyw Piety nazywany *corpusculum* – gdzie Madonna trzyma na kolanach martwego Chrystusa, ale Chrystus ma wielkość dziecka. Na twarzy matki jest uśmiech. Bo co? Bo dziecko zawsze jest dzieckiem i nawet śmierć przywołuje jego niemowlęctwo, a śpiew żaloby ma melodię kołysanki? Są też inne interpretacje, teologiczne: Matka się uśmiecha, bo jest świadoma własnego udziału w Zbawieniu. Lecz nie jest to chyba myśl Iacopone.

Zabawna glossa: 22 listopada 1981 r. nad grobem Iacopone w kościele św. Fortunata w Todi modlił się Jan Paweł II, recytując fragment „Lamentu” – właśnie ten o synku, który jest jak lilja. Kilka miesięcy później dostałem telefon od profesora Franca Manciniego. Był zaskopotany i wzburzony. Prosił o interwencję. „Jest pan Polakiem – mówił – więc może ma pan łatwiejszy dostęp do papieża. Bardzo, ale to bardzo proszę: niech pan mu powie, że cytował z przestarzałej edycji z 1953 r. Kilka lat temu wyszło moje wydanie: dlaczego nie cytował z mojej?”.

Jeśli dobrze pamiętam „starą” wersję Franki Ageno, od wersji Manciniego różni się ona jedną literą.

Il Pianto della Madonna

Posłaniec:
Panno z Raju, Twojego syna ubóstwionego Jezusa Chrystusa pojмали. Spiesz i zobacz, Maryjo, jak okrutnie go biją; pewnie zaraz zabiją, bo strasznie go skatowali

Matka:
Ale z jakiej przyczyny i za jakie przewiny cierpi syn mój jedyny: on nic złego nie zrobił!

Posłaniec:
Syn Twój umiłowany został dzisiaj sprzedany, za srebrniki wydany: Judasz na nim zarobił

Matka:
Magdaleno, pomocy! Jak zaradzić niemocy, jak mi sprostać przemocy, którą mi zwiastowano?

Posłaniec:
Pani, pomóż w tej biedzie, tłum Chrystusa już wiedzie, znieważono Twe dziecię, Pilatowi wydano

Matka:
O Pilacie, chciej sprawić by nie mogli go zabić, musisz krzywdę naprawić, wszak go skarżą fałszywie!

Tłum:
Na krzyż z nim! Niech ginie! Wedle prawa jest winien kto sam królem się czyni, senatowi sprzeciwia!

Matka:
Błagań moich słuchajcie, na mą rozpacz zważajcie, wyrok straszny wstrzymajcie na Jezusa wydany

Tłum:
Skażcie go z bandziorami, niech mu będą druhami, koronujcie cierniami –przecież królem jest zwany

Matka:
Synku, synku, syneczku, synku, lilii płateczku, u kogo mi szukać ucieczki kiedy opuszczą mnie siły?

Synku, twarzączko wesola, czy słyszysz jak matka cię wola? Dlaczego nie schronisz czoła u piersi, co cię karmiły?

Posłaniec:
O Pani, jak mu ubliża tłum, co do niego się zbliża i niesie mu drzewo krzyża na które ma być wyniesiony

Matka:
Co zrobisz, powiedz mi, krzyżu? Ty syna mojego poniżysz? Pozwolisz, by ciało bez grzechu zostało na tobie złożone?

Posłaniec:
Przybывaj mimo cierpienia, już mu zabrali odzienia, już nie skrywają pragnienia by został na śmierć zamęczony

Matka:
Jeśli już z niego zerwany jest płaszcz, niech zobaczą te rany, przez które mój syn ukochany tak bardzo jest udręczony

Posłaniec:
O Pani, za dłoni go chwycili, do krzyża ją przyłożyli grubym gwoździem przebili tak mocno, jak tylko umieli.

Już drugą rękę chwytają, do krzyża ją przykładają, cierpienia mu nowe zadają, już całe mu ciało rozpięli.

O Pani, już stopy chwytają, do drzewa je przytwierdzają, przeguby mu otwierają: już wszystkie skruszyli mu kości

Matka:
Więc czas mi tren rozpoczynać: ach, moja radosna kruszyno, kto mi cię zabił, dzieciно, moja jedyna radości?

Mniej by mi bólu zadali gdyby mi serce wyrwali, do krzyża nie przybijali, na którym kona rozdarte!

Jezus:
Mamusiu, czemu przybyłaś? Straszny mnie ciosem przeszylaś, śmiertelnie mnie ugodziła twa żalność i lzy twe uparte

Matka:
Ty sam jesteś przyczyną, ojczu, mężu i synu. Za jakie skazali cię winy? Kto ci syneczku zdarł szaty?

Jezus:
Nie chcę, żebyś płakała, chcę, żebyś tutaj została, z uczniami byś przebywała, których zdobyłem dla świata

Matka:
Ja Twojej woli wykonać nie mogę, ja z tobą chcę skonać, zostanę, aż padnę zemdlona, do ostatniego oddechu.

Ja synku umrę przy tobie, w jednym spoczniemy grobie, w jednej stopieni żalobie matka i syn jej bez grzechu

Jezus:
Mamo, ty toniesz w udręce, więc w Jana oddaję cię ręce, ja całym kochałem go sercem, za swego uznaj go syna.

To moja matka, Janie, otocz ją swoim czuwaniem, niechaj przy tobie zostanie, gdyż boleść serce jej spina

Matka:
Już serce twoje milczące, synu matki cierpiącej, synu nieistniejącej, ciebie zamordowali.

Inny od wszystkich, mój synu, synku z bielei, z karminu, do kogo teraz popłyną lzy moje, gdy cię zabrano?

Ty jasne masz włosy i czoło, i, synku, twarzączkę wesolą, synku, dlaczego wokół tyle pogardy dla Ciebie?

Synku łagodny, kruchutki, synu matki tak smutnej, ludzie tak ciebie okrutnie poodpychali od siebie.

Janie, nowa pociecho, umarł brat twój bez grzechu, miecz właśnie serce mi przekłuł od dawna prorokowany.

Niech matka ze swym dziecięciem, wspólnym konaniem przejęci, trwają w jedności, objęci, razem ukrzyżowani

Nowa książka autorki Córek Wawelu!

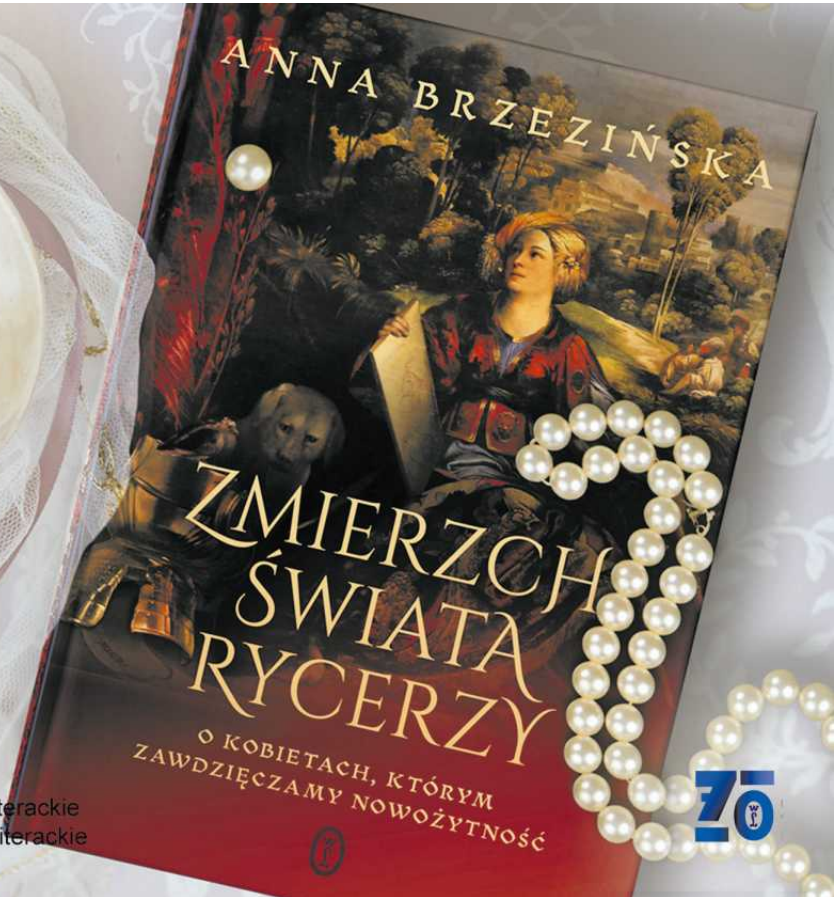
Anna Brzezińska powraca z monumentalną opowieścią o wpływowych kobietach renesansu, którym zawdzięczamy nowożytność. Małgorzata Andegaweńska, Małgorzata York, Izabela Portugalska, Maria Burgundzka, Lukrecja Borgia będą przewodniczkami po Burgundii Walezjuszów, która onieśmiela przepychem, Rzymie Borgiów, gdzie rządzą nepotyczne machinacje oraz Ferrarze d'Estów — krainie walecznych bękartów i renesansowych mistrzów pióra.



www.twitter.com/@wydlit
www.wydawnictwoliterackie.pl



www.facebook.com/wydawnictwoliterackie
www.instagram.com/wydawnictwoliterackie





NIE JESTEŚMY PARTIĄ REWOLUCJI

To moja czwarta kadencja, czwarty Sejm, który widzę, i każdy był zdecydowanie bardziej konserwatywny niż społeczeństwo

Z **JOANNA MUCHA***, POSŁANKĄ POLSKI 2050 SZYMONA HOŁOWNI, ROZMAWIA **KATARZYNA WĘŻYK**

Dobre imię Jana Pawła II wymaga obrony, i to przez państwo?

– Czuję absmak, kiedy posłowie i posłanki PiS uważają się za właściwą grupę do obrony jego imienia i świadczenia o jego świętości, bo sami mają bardzo dużo za uszami. To wygląda jak zasłanianie się portretem Jana Pawła II dla wzmocnienia własnej partii.

W sejmowej uchwale dziennikarskie śledztwo w sprawie tuszowania przez Jana Pawła II pedofilii w Kościele nazywane jest „haniebną nagonką”. Co można odczytać jako próbę kontrolowania, a nawet knebłowania mediów.

– Nie tylko to sformułowanie. Po reportażu wyemitowanym przez należącą do Amerykanów stację wezwanie na dywanik do MSZ otrzymał amerykański ambasador. PiS uważa, że rządzący mają prawo wywierać wpływ na „swoje” media, a redakcja może narzucać „swoim” dziennikarzom linię. Ich zdaniem krytyka papieża to jakaś odgórnie realizowana strategia, wymierzona w Polskę wojna hybrydowa.

To pokazuje, jak PiS podchodzi do mediów: traktuje je jako narzędzie polityki i tubę propagandową. Nie widzi w nich instrumentu kontroli, odkrywania prawdy, przeprowadzania ludzi przez trudne procesy społeczne – w ogóle nie rozumie, o co chodzi w mediach. A sprawa Jana Pawła II jest dla nich nieprawdopodobnie politycznie wygodna.

Ale Polska 2050 nie zagłosowała przeciw tej uchwale.

– Powiedzieliśmy jednoznacznie, że państwo nie ma ani uprawnienia, ani narzędzi, żeby zajmować się orzekaniem o świętości kogokolwiek i że to nie jest sprawa dla parlamentu. Jedna z osób, z którą rozmawiałam tuż po tej uchwale, powiedziała mi: „Wchodzę do sklepu, pa-

trzę na ceny i nie wiem, co mogę kupić, żeby przeżyć, a PiS mi mówi o Janie Pawle II?”. Naprawdę nie tym się powinniśmy zajmować.

Głosowanie przeciw byłoby więc nie stanowiskiem wobec świętości, tylko wolności mediów.

– W moim przekonaniu ta uchwała była o Janie Pawle II w większej mierze niż o mediach.

Z kolei PSL zagłosował za. To może być problem w przyszłej współpracy?

– Zagłosowali tak, jak tego oczekiwał ich elektorat. Tak, są między nami różnice i nie zamierzamy udawać, że ich nie ma. Wielu wyborców opozycji domaga się jednej listy – wtedy tych różnic byłoby o morze więcej! Więc między dwiema partiami – bardzo różnymi, ale które podejmują strategiczną współpracę – takie różnice też będą.

Politycy i polityczki PiS, a i trochę PSL, próbują nas przekonać, że każda krytyka papieża to frontalny atak na największą polską świętość. Jan Paweł II powinien być wyłączony z krytycznej oceny?

– Ja marzę, żeby taka dyskusja została przeprowadzona, ale spokojna i oparta na faktach. Nie sądzę, że teraz jest czas na to, żeby z jakimś rodzajem sadyzmu wychodzić do ludzi i mówić im: zobaczcie, Jan Paweł II był inny, niż myśleliście. To będzie bardzo trudny proces społeczny. I przejdziemy przez niego, nie raniąc się wzajemnie, tylko wtedy, kiedy będziemy normalnie ze sobą rozmawiać. A jeśli potraktujemy tę sytuację jako pretekst do kolejnej odsłony wojny polsko-polskiej – to nic z tego nie wyjdzie. W tej sytuacji najważniejsze są ofiary. Ofiary, które zostały dramatycznie zaniedbane przez Kościół katolicki, który w ogóle nie widział krzywdy tych dzieci, nie rozumiał, że molestowanie pozostawia w psychice ofiary rany na całe życie. I co więcej, mam wrażenie, że wielu hierarchów nadal tak myśli. Dlatego Kościół musi się obudzić.

Kosiniak-Kamysz mówi, że będzie jednocześnie stawał po stronie sprawiedliwości i prawdy oraz bronił świętości i wielkości papieża. To można pogodzić: świętego, w którego wielkość nie można wątpić, i dobrze udokumentowane zarzuty?

– Nie jest moją rolą oceniać, czy ktoś był, czy nie był świętym. Natomiast ta debata powinna się skupiać na faktach i ich konsekwencjach: dla ofiar i dla relacji wewnątrz Kościoła. Jako politycy powinniśmy wygłaskować otwarcie archiwów kościelnych w Polsce i w Watykanie. I spokojnie prowadzić proces odkrywania prawdy i zadośćuczynienia ofiarom.

Ale czy spokojnie wystarczy? Amerykański Kościół zaczął się rozliczać dopiero, gdy przyszło mu płacić ogromne odszkodowania. Irlandzki przeszedł na pozycję ewangelicznej pokory dopiero po ujawnieniu serii pedofilskich skandali i nadużyć w pralniach magdalenek. A polski najwyraźniej uznał, że najlepszą obroną jest atak, i wciąż jest triumfujący.

– Bo jest wzmacniany przez rządzących i utrzymywany w przekonaniu, że właśnie dlatego nie musi podejmować wysiłku – bo to olbrzymi wysiłek – zmiany paradygmatu myślenia o odpowiedzialności za krywdę. Notabene, nasz Kościół jest chyba jednym z ostatnich, który na pedofilię patrzy tylko jako na grzech aktu seksualnego poza małżeństwem. To jest tak potwornie archaiczne podejście, że to się w głowie nie mieści. W takiej perspektywie dzieci jako ofiary znikają!

Ale to jest proces, który po prostu musi się w Kościele odbyć, i wierni muszą Kościół do tego zmusić. Wierni – a nie parlamentarzyści z opozycji.

Skoro nawet udokumentowane przypadki braku reakcji na pedofilię nie robią wylomu w tym pomniku, to jak zacząć rozmowę o innych wątpliwościach wobec pontyfikatu Jana Pawła II: jego sprzeciwu wobec prezerwatyw nawet gdy chronią przed AIDS, nakłaniania zgwałconych Bośniaczek, by urodziły, czy jego roli w debacie aborcyjnej na początku lat 90.?

– Powinniśmy zacząć tę dyskusję. Ona zresztą się dzieje w Kościołach innych niż polski, ostatnio dla przykładu papież Franciszek wypowiadał się na temat zniesienia celibatu. U nas ta dyskusja nie istnieje, bo od ośmiu lat tkwimy w absolutnie podstawowych kwestiach typu: czy prawo jest ważne i czy należy go przestrzegać?

Przypominę, pierwszy program, który opracowaliśmy, był właśnie o tym: jak postawić państwo i Kościół na właściwych miejscach.

OK, to przejdźmy do następnego frontu wojny kulturowej tej kampanii: robale kontra mięso. Polska 2050 też zamierza zabierać Polakom schabowego?

– Polakom by się przydało uświadomienie sobie, że ograniczenie mięsa wyjdzie im na zdrowie. W bogatszych od nas krajach konsumuje się raczej mniej mięsa – to już nie są góry steków czy kotletów, tylko zdrowsze diety. Ale wybór będzie zawsze należał do konkretnej osoby. My na pewno będziemy chcieli zmian w sposobie prowadzenia hodowli przemysłowych – ze względu na jakość otrzymywanego mięsa, na dobrostan zwierząt i na skutki dla środowiska. Polska jest olbrzymim producentem mięsa na eksport. To oznacza skutki uboczne dla gleb, wody i środowiska. Zyski robi grupa producentów, skutki uboczne dotyczą nas wszystkich. I to też musimy uwzględnić.

Ale my nie jesteśmy partią rewolucji kulturowej. Możemy przekonywać, możemy pokazywać, że dieta inna niż mięsna jest po prostu tańsza i zdrowsza. Ale nie będziemy nikogo do niczego zmuszać.

Alie PII i robale to narracja PiS, opozycja tylko reaguje. Także – co pokazuje ostatnie badanie Sierakowskiego i Sadury – to elektorat PiS jest przekonany, że ich partia znowu wygra, w elektoracie opozycji takiego optymizmu nie ma. Każda władza się w końcu zużywa – to dlatego oni wciąż lepiej kontrolują narrację i motywują zwolenników?

– Kiedy mówimy, że każda władza się zużywa, zakładamy milcząco, że wybory będą równe i wolne. My takich wyborów nie mamy. Władza zużyje się pod warunkiem, że ludzie mają dostęp do informacji. Jeśli go nie mają, jeśli są zastraszeni, jeśli metodami inwigilacyjno-naciskowymi ogranicza się działalność opozycji, to zużycie władzy może być niewystarczającym argumen-

Nie sądzę, że teraz jest czas na to,
żeby z jakimś rodzajem sadyzmu
wychodzić do ludzi i mówić im:
zobaczcie, Jan Paweł II był inny,
niż myśleliście

tem, żeby władzę oddać. I przed tym przestrzegam, bo z całą pewnością PiS próbuje pójść drogą Orbana, gdzie wymiana władzy jest niemożliwa. A w Polsce brakuje do tego zaledwie dwóch elementów, czyli ukroczenia niezależnych mediów i wzięcia pod but sądów. Ewentualna trzecia kadencja PiS byłaby już takim momentem, kiedy te dwa ostatnie punkty oporu padną.

Przez ostatni rok nasze pensje przez inflację straciły na wartości o jakieś 20 procent, co wydawałoby się niezłym powodem do niezadowolenia z rządu, a tymczasem debatę nakręca obrona schabowego i papieża, a poparcie dla PiS nie spada.

– Sierakowski z Sadurą pokazują, że mamy efekt przyzwyczajania się do inflacji. Starsi ludzie mają poczucie, że inflacja zawsze była, więc nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Mam wrażenie, że możemy mieć do czynienia z taką emocją społeczną, że OK, może nie jest jakoś bardzo dobrze, nie ma nawet perspektywy, że będzie lepiej, ale nie jest bardzo źle, a przynajmniej nikt od nas niczego nie wymaga.

W jakim sensie nie wymaga?

- Nie wymaga, żebyśmy zmieniali stanowisko w stosunku do papieża, żebyśmy wykonywali jakąś pracę intelektualną dotyczącą środowiska LGBT, żebyśmy nagle zaczęli żyć zgodnie ze wzorcami, które są dla nas obce. To jest emocja pod tytułem: pewnie, mogłoby być lepiej, ale teraz jest wygodnie.

Populista kocha cię takiego, jakim jesteś, liberala mówi ci, jak masz żyć?

- Demokracja liberalna zachęca cię, żebyś każdego dnia był lepszą wersją samego siebie. Populiści mówią: nie ma powodu, żebyś zmieniał, bo zmiany wokół ciebie są złem. To jest walka światów. Ale mam nadzieję, że ludzie rozumieją, iż naprawdę warto zagrać o większą stawkę niż równia pochyła. O rany, ale mi się filozoficznie powiedziało!

To przejdźmy do tematu, którego PiS woli już nie tykać, chyba że za pomocą sądów, czyli aborcji. Polska 2050 konsekwentnie jest za referendum. Dlaczego nie wystarczy ustawa? Tak zwany kompromis uchwalął Sejm.

– Bo ustawa musi być podpisana przez prezydenta Dudę. A on nie podpisze ustawy szeroko liberalizującej dostęp do aborcji. Nie sądzę też, żebyśmy mieli większość, żeby odrzucić weto, więc referendum jest jedyną drogą.

Ale oczywiście, zrobimy to dwiema ścieżkami – i jeśli wyjdzie ścieżka ustawowa – super. Ale jeśli nie wyjdzie, to będziemy mieli jeszcze drugą drogę, którą można będzie przegłosować liberalizację. Tylko

nie czekajmy. Bo jak będziemy czekać, to może być tak, że ustawa nie zostanie podpisana, a my zostaniemy z ręką w nocniku.

Ale przecież po referendum, tak czy siak, trzeba będzie ustawę uchwalić. Skoro prezydent jest takim wierzącym katolikiem, to czemu tym razem sumienie miałoby mu pozwolić ją podpisać?

– Referendum jest wiążące dla wszystkich organów państwa. Pytanie referendalne musi być jednoznaczne, jasne i czytelne, a ustawa – bezpośrednio wiązać się z tym pytaniem. I wtedy prezydent nie będzie mógł jej nie podpisać. Nie wyobrażam sobie nawet prezydenta Dudy, który sprzeciwiłby się woli np. 68 procent społeczeństwa, bo takie są mniej więcej dzisiaj wyniki sondaży.

A kto napisze to jasne i czytelne pytanie?

– Panel obywatelski. Myślę, że nie tak długi jak w Irlandii, bo tam to trwało rok, my musimy się trochę pospieszyć, więc myślę,

że to kwestia dwóch, trzech miesięcy. Panel wsparty opiniami ekspertów powinien wypracować pytania, a jego obrady powinny być transmitowane, tak żebyśmy mieli cały czas wiedzę o tym procesie.

W Irlandii panel nie wypracował pytania, tylko zarekomendował zniesienie ósmej poprawki do konstytucji, tej z zakazem aborcji.

– No tak, oni mieli trochę łatwiejsze zadanie. My będziemy mieli trudniej, bo trzeba będzie zarekomendować pytanie referendalne, które będzie w jasny sposób przekładalne na ustawę.

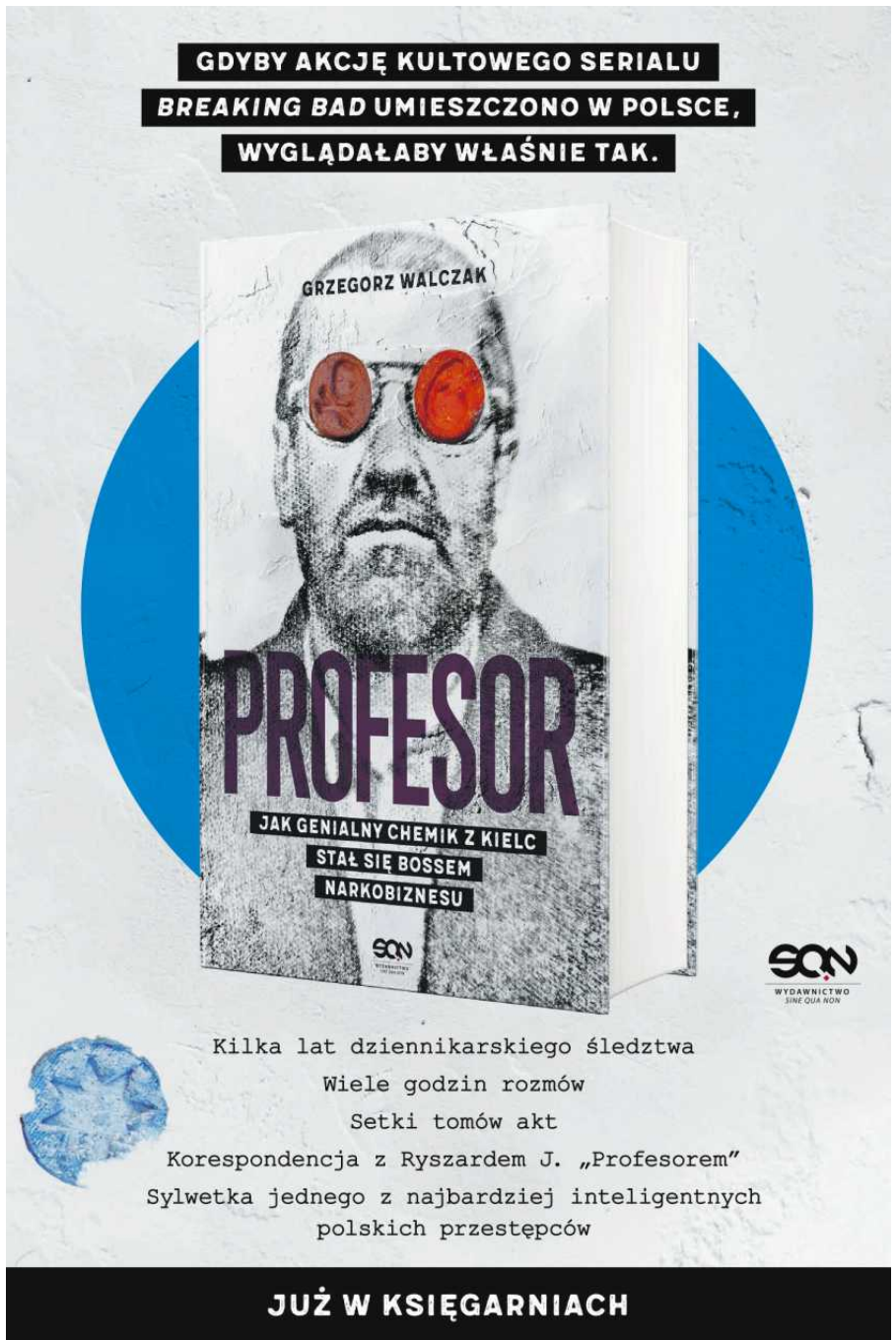
A jak pani zdaniem mogłoby ono brzmieć?

– Żaden polityk nie powinien tego sugerować. Ekspertcy powinni nad tym usiąść, prawnicy, którzy wskażą, w jakim kierunku uczestnicy panelu mają kierować myśli.

Tu się pojawia kwestia światopoglądu ekspertów. Bo przecież forma pytania jest kluczowa dla wyniku: „czy powinno się pozwalać na zabijanie nienarodzonych” da inne odpowiedzi niż „czy kobieta powinna mieć możliwość podjęcia decyzji o zachowaniu lub przerwaniu ciąży do 12 tygodnia”.

– Tak, ale to pytanie mogłoby też zostać sformułowane w zupełnie inny sposób, czyli na przykład odnieść się do konkretnych przepisów. Można zapytać, czy one nadal powinny funkcjonować. I spokojnie, jestem absolutnie o tym przekonana, że kampanii referendalnej opowiemy ludziom, co to są za przepisy i w jaki sposób się do nich odnosimy.

A czemu Polki w kwestii referendum mają zaufać Hołowni i Kosiniakowi-Kamyszowi? Hołowni, który w 2014 r. mó-



wił, że jest po stronie doktora Chazana, czyli każałby kobiecie rodzić dziecko bez połowy czaszki, a rok wcześniej deklarował, że „aborcja to zawsze zabójstwo” i że chciałby, by była zakazana. Albo Kosiniakowi-Kamyszowi, który nawet w przypadku zgwałconej 14-latki stosowałby klauzulę sumienia?

– Oni mają swoje poglądy, ale też uważają, że to nie ich poglądy powinny decydować, tylko społeczeństwo. Czyli mówią: „ja wiem, że w Polsce są ludzie, którzy myślą raczej inaczej niż ja. Niech większość podejmie decyzję”. Szymon Hołownia i Władek Kosiniak-Kamysz chcą, żeby stan prawny był taki, jaki odpowiada większości obywateli, nawet jeśli będzie on inny, niż oni by sobie życzyli.

Tyle że wcześniejsze deklaracje to nie było „mam etyczne wątpliwości wobec aborcji”, tylko „aborcja jest zabójstwem”. Więc może to budzić obawy, że osoba o tak silnych poglądach raczej będzie wkładała kij w szprychy zmiany, niż do niej dążyła.

– I dlatego wiem, jak Szymon w tym referendum zagłosuje. Ale jeśli chodzi o nasz elektorat i ludzi w naszej partii, to mniej więcej 90 procent chce liberalizacji. Są na to badania. Więc Szymon mówi OK, weźcie sprawy w swoje ręce.

A czy panią, jako kobietę, nie irytuje to, że jakaś pani Kowalska czy pan Nowak będą decydować o tym, czy przyznać pani prawo do podejmowania decyzji o własnym ciele i życiu? Zwłaszcza że druga połowa społeczeństwa ma to prawo nadane z automatu i niekwestionowane?

– Mnie jako kobietę irytowałoby bardziej to, że jakiś pan Suski czy inny pan Sasin miałby o tym decydować, że 460 posłów i posłanek w Sejmie miałoby mieć głos ważniejszy niż całe społeczeństwo. Zdecydowanie wolę, żeby to była decyzja Polek i Polaków.

To moja czwarta kadencja, czwarty Sejm, który widzę, i każdy z nich był zdecydowanie bardziej konserwatywny niż społeczeństwo. W obecnym jest najlepsza sytuacja pod względem liczby kobiet, ale wciąż to tylko 29 procent składu. W społeczeństwie to 52 procent kobiet, więc lepszą dla kobiet decyzję podejmie społeczeństwo.

Kolejny argument przeciwników: prawa człowieka nie powinny być poddawane pod głosowanie w referendum.

– Nie wiem, dlaczego decyzja Sejmu ma być lepsza niż społeczeństwa. W ostatnich latach przeprowadzono w różnych miejscach na świecie 23 referenda obejmujące kwestie z dziedziny praw człowieka. 23! I w zdecydowanej większości wygrała strona demokratyczna i postępową. U nas też sondaże są jednoznaczne: nawet i 70 procent za liberalizacją. Po raz pierwszy mamy realną szansę, żeby takie refe-

rendum wygrać, więc nie rozumiem, dlaczego feministki nie chcą z tej szansy skorzystać. Same trzy razy zbierały podpisy pod wnioskami o referendum!

Cytując posłankę Katarzynę Kotulę: „jedyną słuszną decyzją aborcyjną jest pozwolenie na aborcję w ciąży” – innymi słowy, to nie jest sprawa pani Kowalskiej i pana Nowaka.

– Ale prawo trzeba zmienić, żeby żadna kobieta nie musiała się bać – i dlaczego to miałyby być sprawa 460 posłów? Najczęściej seniorów, najczęściej mężczyzn, którzy – sorry – ale od życia to się oderwali dekadę albo dwie dekady temu i w ogóle nie czują problemu. Więc naprawdę nie rozumiem, dlaczego oni mają podjąć lepszą decyzję.

– Tak. Nie wiem natomiast, jak powinna zostać rozwiązana kwestia roli rodziców lub opiekunów prawnych nieletnich dziewczyn, bo potrafię sobie wyobrazić ich naciśki zarówno na aborcję, jak i na utrzymanie ciąży. Z drugiej strony trudno mi sobie wyobrazić szesnastolatkę wykonującą zabieg bez wiedzy rodziców.

Ojciec może ją zmusić, żeby urodziła, jeśli ona nie chce?

– No właśnie – to jeden z takich problemów. Uważam też – koleżanki mnie za krzyczą, ale trudno – że przed zabiegiem powinny być obligatoryjne konsultacje z psychologiem. Aktywiстки uważają, że to jest forma sprawowania kontroli nad kobietami. Ale ja wiem z doświadczenia życiowego, że czasami aborcji dokonu-

Możemy mieć do czynienia z taką emocją społeczną, że OK, może nie jest jakoś bardzo dobrze, ale nie jest bardzo źle.

Starsi ludzie mają poczucie, że inflacja zawsze była, więc nic nadzwyczajnego się nie dzieje

Ustawę można by uchwalić w miarę szybko, panel obywatelski i referendum potrwa. A tymczasem kobiety umierają na porodówkach, bo lekarze rozkładają ręce: takie prawo

– A proszę mi powiedzieć, jakich środków odurzających mielibyśmy użyć, żeby sprawić, że pan prezydent podpisze tę ustawę?

Ciepła międzynarodowa posada w perspektywie, taka w bardziej liberalnym miejscu?

– Nie wierzę, żeby prezydent podpisał się pod liberalizacją aborcji – nawet z takich powodów. Powiem jeszcze raz: robimy obie rzeczy, referendum i ustawę, i jak się uda ustawowo, to będę najszczęśliwsza na świecie.

A jaka pani zdaniem powinna być dobra ustawa aborcyjna?

– Zdecydowanie bardziej liberalna.

Czyli co: do 12 tygodnia należy pozostawić decyzję kobiecie?

ją kobiety zmuszane przez ojców dziecka. I chociażby z tego powodu konsultacja ma sens, żeby kobieta miała szansę na wsparcie w każdej decyzji, jaką podejmie.

Kto miałby przeprowadzać te konsultacje?

– Psycholog. Ktoś, kto da wsparcie i powie każdej kobiecie, każdej dziewczynie, że nie jest z tym sama.

Byłyby na to środki? Bo jeśli kobieta miałaby czekać dwa miesiące na wizytę albo płacić 200 złotych prywatnie, to dla wielu będzie bariera.

– To musiałaby być natychmiastowa i bezpłatna konsultacja w ramach NFZ. Naprawdę uważam, że kobietom, które są zmuszane do aborcji, trzeba dać możliwość uzyskania wsparcia.

Czy osoba udzielająca takiej konsultacji miałaby głos decydujący?

– Nie! To byłaby wyłącznie rozmowa.

Tu kontrargument jest taki, że traktujemy kobiety jak dzieci – kogoś, kto sam nie jest w stanie ocenić, czy w danym momencie swojego życia podola macierzyństwu.

– Konsultacja może potrwać 15 minut i jeśli kobieta jest zdecydowana na aborcję, to nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł ją odwieść. Jeśli proponujemy merytoryczną poradę profesjonalistów, to nie uważam, żeby to był problem. Z drugiej strony – OK, może takich przypadków nie jest bardzo dużo, ale są sytuacje, w których kobieta jest przez partnera zmuszana do aborcji.

Można by też zapytać, dlaczego konsultacji psychologicznej ma potrzebować kobieta, która nie chce być matką, a nie ta, która zamierza zostać matką, choć to ta druga bierze na siebie bardziej odpowiedzialne zadanie...

– O, to zrobimy krok wstecz. Uważam, że rolą państwa jest to, żeby dostarczyć wszelkich możliwych narzędzi do tego, żeby niechcianych ciąż było jak najmniej. Z tej roli państwo się nie wywiązuje. Zaczniemy od zapewnienia Polkom dostosowanych do ich potrzeb środków antykoncepcyjnych za darmo – bo dziś wiele kobiet nie ma jak zabezpieczyć się przed niechcianą ciążą. Dajmy kobietom i mężczyznom dobrą edukację seksualną. Bo zdecydowana większość kobiet wolałaby nie zająć w niechcianą ciążę, niż później zastanawiać się nad tym, jak zorganizować aborcję.

A kiedy będziemy mieli taką ustawę, żeby Polki musiały zabiegu organizować na Słowacji?

– Myślę, że to się wydarzy w ciągu kilku miesięcy po wygranych przez dzisiejszą opozycję wyborach.

* Joanna Mucha

• ur. w 1976 r., dr nauk ekonomicznych. Działalność polityczną zaczynała w Unii Wolności, w 2003 r. wstąpiła do PO. Od 2007 r. posłanka na Sejm. Była ministrami sportu i turystyki w rządzie Tuska (2011-13). Od 2021 w Polsce 2050.

„Aborcja jest” – opowieść Katarzyny Wężyk o sytuacji polskich kobiet i podziemiu aborcyjnym dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl



JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA ZAPRASZA

International Festival
of Independent Cinema
28.04 – 7.05.2023, Kraków

CZY MOŻEMY ODZYSKAĆ DEPRESJĘ?

A jeśli to nie choroba, ale odpowiedź na otoczenie, w którym żyjemy i które trudno nam zaakceptować?

Grzegorz Sokół*

Podczas choroby morskiej organizm rejestruje niestabilny krok, kołysanie i uznaje, że doszło do zaburzenia lub zatrucia. Stara się więc ratować i wchodzi w tryb awaryjny. Czyli jest to sprawny mechanizm bezpieczeństwa, by za pomocą przykrych objawów chronić się przed warunkami zewnętrznymi. Nasze ciało trafnie rozpoznaje, że nie jesteśmy w środowisku, do którego zostaliśmy stworzeni. Czy podobnie może być w przypadku depresji, która destabilizuje obecnie życie ludzi na całym świecie?

Depresja, w przeciwieństwie do choroby morskiej, rozszerza się na kolejne rewiry, kolejne formy i źródła cierpienia i dyskomfortu. Podążają za nią metody leczenia, od leków po psychoterapię. Pytanie, które przewija się przez współczesny dyskurs, brzmi zatem, co tak naprawdę leczymy – dysfunkcję czy zasadną reakcję na niesprzyjające nam środowisko, egzystencjalnie rozbujany horyzont i wzburzone morze realiów społecznych? I czy żyjemy w warunkach narastającego sztormu, czy też może nadwrażliwości, czasami karmionej marketingiem firm farmaceutycznych?

Na te pytania nie da się odpowiedzieć bez uwzględnienia społecznej historii współczesnej depresji.

ILE PROCENT DEPRESJI?

W toczącej się debacie roztropnie jest zacząć od odpowiednich zastrzeżeń, od razu więc mówię: nie jestem psychiatrą ani psychologiem, ale antropologiem społecznym i przez kilka lat prowadziłem badania etnograficzne nad depresją w Polsce, kulturą jej leczenia. Szukałem odpowiedzi na pytanie, jak wytłumaczyć i opisać jej rozpowszechnienie się w ostatnich dekadach, czym tak naprawdę jest, jakie wiążą się z nią znaczenia i praktyki.

Moje badania to setki godzin obserwacji, nieformalnych rozmów i ponad 70 wywiadów z osobami, które uznały samodzielnie lub nadano im medycznie diagnozę depresji, oraz z personelem medycznym i psychoterapeutycznym; na oddziałach zamkniętych i w poradniach, w grupach terapeutycznych i grupach wsparcia. Prześledziłem też przemiany w dyskursie publicznym i literaturze fachowej, sięgając do lat 60. Obraz, jaki się z tych badań wyłania, jest złożony i fascynujący.

Na przestrzeni lat zmieniły się nie tylko sposoby leczenia, ale same kategorie, czyli znaczenia słów, którymi depresję opisujemy. Wskazuje to na głębsze kulturowe, ekonomiczne i społeczno-polityczne procesy, które wpłynęły na zawrotną karierę depresji w Polsce i na świecie. Bo o czym mówimy, kiedy mówimy o depresji? Okazuje się ona bytem zaskakująco nieoczywistym. Z jednej strony wszędzie jej pełno, z drugiej – kiedy chce się ją uchwycić, często rozmywa się, rozchodzi w palcach. Kiedy w 2009 roku zacząłem badania w grupie terapeutycznej stworzonej dla pacjentów z depresją, od prowadzących dowiedziałem się, że wśród kilkunastu osób, z których każda miała diagnozę, „tak naprawdę depresję” ma może jedna, a to pewnie i tak kwestia tarczycy, reszta to problemy z osobowością. Podobnie w mediach do niedawna można było usłyszeć, że „depresja” dotyka 10, 15, czy nawet 60 procent populacji (!), a cytowane wskaźniki przyrostu szły w setki procent, sugerując istnienie ogromnych ilości wciąż niewykrytych „depresji i nerwic”. Ocenic „ilość” depresji było bardzo trudno, bo przez lata brakowało solidnych danych epidemiologicznych pozwalających stwierdzić, ile depresji de facto jest.

Dopiero w 2012 roku, kiedy przeprowadzono w Polsce badania EZOP, za pomocą tej samej co w wielu innych krajach WHO-wskiej metody CIDI, okazało się, że jest depresji szokująco mało – w sumie zaledwie około 3 procent, czyli najmniej w Europie (przy czym dwukrotnie więcej wśród kobiet niż wśród męż-

czyn). Dla porównania, we Francji było to 21 procent, w bliskiej nam Ukrainie – 15 procent. Badania te więc nie rozwiały niejasności, choćby przez zagadkową rozbieżność między ich wynikiem w Polsce i innych krajach.

O co tu chodzi? Pewnym tropem może być to, że przez lata, zanim zaczęła się w Polsce i na świecie „epidemia” tego zaburzenia, wskaźnik depresji w populacji szacowano właśnie na około 1-3 procent. Tak oceniał to m.in. w pierwszej polskiej monografii na temat depresji pionier jej badań Stanisław Pużyński, jeszcze pod koniec lat 70. Mielśmy jednak „nerwice”. Na przykład pod koniec lat 60. badanie „Rozpowszechnienie zaburzeń nerwicowych wśród pracowników handlu m.st. Warszawy” pokazało, że tylko jedna trzecia z blisko 300 osób nie miała żadnych objawów. Autorzy – Stefan Leder i współpracownicy – pisali: „Rozpowszechnienie objawów nerwicowych jest znaczne, lecz większość osób nie ma poczucia choroby i nie poszukuje pomocy lekarskiej”.

Czy zatem dzisiaj odkrywamy nieznane dotąd pokłady depresji? A może wchłonęła ona istniejące od dawna dolegliwości, nieuznawane dotąd za choroby, nadając im nową nazwę i znaczenie? Cofnijmy się



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

więc i prześledźmy losy tego najbardziej powszechnego z „zaburzeń psychicznych” (a czemu cudzysłów - o tym później).

HISTORIA PEWNEGO SCHORZENIA

Jeszcze na początku lat 90. o depresji prawie się w Polsce nie mówiło. Doniesienia o niej częściej dotyczyły USA i stanowiły nadal egzotyczny wzór cywilizacyjny, do którego, jak się później okazało, mieliśmy równać.

Wcześniej słowo to istniało w obiegu psychiatrycznym, nie potocznym. Wprowadził je jeszcze w XIX wieku niemiecki psychiatra Emil Kraepelin, który rozróżnił „Manish Depressive Irresein” (wtedy po polsku zwaną psychozą szalowo-pośepniczą, dziś chorobą dwubiegunową) od „dementia praecox”, przedwczesnego otępienia, dziś schizofrenii. Freud nadal używał wtedy klasycznego, humoralnego terminu „melancholia”, pochodzącego od czarnej żółci, jednego z czterech płynów cieleśnych antycznej i średniowiecznej medycyny.

Początek depresji, jaką dzisiaj znamy, to USA lat 80. Punktem zwrotnym było wprowadzenie trzeciej edycji DSM (Podręcznika Diagnostyczno-Statystycznego Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego). Owa biblia psychiatrii wprowadziła nową filozofię diagnostyczną: depresję – i nie tylko – rozpoznawać miało na podstawie niemal samych tylko objawów, a nie domniemyanych przyczyn, czyli etiologii zaburzenia. Zmiana ta była w istocie rewolucją: odejściem od psychoanalitycznej perspektywy skupionej na konfliktach wewnętrznych, doświadczeniu straty i dynamice ego, a przejściu na znacznie bardziej biologiczne, mniej spekulatywne pozycje. Chodziło o to, żeby uproszczyć, ustandaryzować i przez to wzmocnić diagnozy. Wymagały tego badania naukowe, rozwój farmakologii, a także administracja i statystyka, na których opierać się mogły systemy ubezpieczeniowe. Wcześniej, w zależności od ośrodka, a nawet osoby stawiającej diagnozę, ten sam pacjent czy pacjentka otrzymać mogli zupełnie różne rozpoznania. Teraz prosta i klarowna diagnoza sprowadzała się do identyfikacji pięciu z dziewięciu objawów występujących przez minimum dwa tygodnie, by osiąść wahania nastroju, jak chandrę i „złe dni”. Pozwoliło to na ujednolicone, ale za to bardzo szerokie (zbyt szerokie, powiedzą krytycy) rozpoznawanie depresji. Tak oto DSM-III dał nam depresję, jaką dziś znamy. Bo za DSM idą stosowane na całym świecie definicje Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób (ICD) publikowane przez Światową Organizację Zdrowia. Kolejne zaś edycje obydwu utrzymały, a nawet pogłębiły to podejście.

Zmiana obiecywała urealnić depresję. Stało się dokładnie przeciwnie.

Uwolniona od teorii etiologicznej depresja jako „epizod depresyjny” mogła rozszerzyć się na niemal wszelkie dolegliwości i sytuacje, którym towarzyszą podobne objawy. A tych jest wiele, od – jak mówią psychologowie – zaburzeń nerwicowych i adaptacyjnych, po uogólniony lęk i stres; od proble-

mów egzystencjalnych, przez tarzycowe, aż po nawroty ciężkiej choroby z pobytami w szpitalu. Jednocześnie wprowadzanie w latach 80. na rynek leków „nowej generacji” z klasy selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny (SSRI), począwszy od Prozacu i Zoloftu, sprawiło, że psychiatrzy dostali do ręki narzędzie oddziaływania na stany, które do tychczas znajdowały się poza ich zasięgiem. Nowe leki działały na obniżony nastrój, często także stany lękowe. Były przy tym względnie nieinwazyjne, o stosunkowo niewielkich skutkach ubocznych. To otwierało drogę do ich masowego użycia. Napędziły też dodatkowo diagnostykę – depresją mogło stać się to, na co zadziałać mogły antydepresanty.

PSYCHOTERAPIA PO PIONIERSKU

W Polsce diagnostyka psychiatryczna długo pozostawała nieustandaryzowana. Jeszcze w latach 80. i 90. różne ośrodki mogły prowadzić własną praktykę na podstawie dostępnej wiedzy, stawiać i zmieniać rozpoznania, zgodnie z nimi kierować leczeniem. W istocie jednak poza wyznaczaniem ścieżki klinicznej konkretnych pacjentów, diagnozy jako takie nie miały większego znaczenia. Cały system działał inaczej niż dziś: opieka opierała się na dużych szpitalach budżetowanych historycznie (brano pod uwagę poprzedni rok) według liczby łóżek, mniej było też instrumentów działania. W poradniach nie było jeszcze leków odpowiednich do stosowania przy nerwicach i depresjach reaktywnych (zgodnie z ówczesną nomenklaturą), a psychoterapia ograniczona była do pionierskich ośrodków. Lekarze i lekarzki o długim stażu pracy, z którymi rozmawiałem podczas badań, opowiadali mi wręcz ze wzruszeniem o swojej bezsilności wobec pewnych grup pacjentów – np. kobiet z lękiem – w latach 70. i o radości z możliwości pomocy, kiedy lata później pojawiły się nowe leki.

To wszystko zmieniło się pod koniec lat 90. W 1997 roku wprowadzono w Polsce WHO-wskie ICD-10, co znacznie rozszerzyło zasięg diagnozy depresji – łatwiej było uchwycić za jej pomocą dość powszechnie występujące objawy. Jednocześnie już od 1993 roku na polskim rynku zaczęły pojawiać się leki przeciwdepresyjne „nowej generacji”, z Prozakiem na czele (choć musiały czekać na odpowiednie rozwiązania refundacyjne, a z czasem na tańsze odpowiedniki zwane generykami). Swoją rolę odegrała też reforma systemu zdrowia (1998-2003). Diagnozy nabrały bowiem nagle realnego, systemowego znaczenia: w myśl rynkowej logiki finansowanie oparto na ubezpieczeniu, a nie, jak w PRL, na centralnym budżecie, a pieniądze z NFZ płynęły teraz na konkretne świadczenia, według stawek przypisanych odpowiednim kodom diagnostycznym ICD. Pojawił się też, w dużej mierze niewidzialny dla statystyk zdrowotnych, dynamicznie rosnący rynek prywatnych usług psychiatrycznych i psychoterapeutycznych.

Do tego doszła też rewolucja świadomościowa. Dawniej egzotyczne doniesienia o życiu na Zachodzie, gdzie każdy ma terapeutę

i bierze Prozac, zaczęły stawać się coraz bliższe rodzimej rzeczywistości. Obok nowej diagnostyki i nowych narzędzi psychiatrii pojawiły się nowe wzorce życia, pracy i konsumpcji, a także kampanie społeczne mające podnieść niską świadomość psychiatryczną Polaków. Slogan „Lecz depresję, depresja jest chorobą” pojawia się do dziś – 22 lata po rozpoczęciu kampanii pod tym hasłem. Kampanii ważnej i potrzebnej, a zarazem stanowiącej część modernizacyjnego projektu kulturowego. Ukształtowała ona jednak silnie biomedyczne, a często zbyt proste rozumienie depresji. Przekaz medyczny niósł się bowiem szerokim echem w licznych książkach i artykułach w ramach trwającego boomu wydawnictw poradnikowych, zdrowotnych i lifestyle'owych.

**Czy depresji przybyło?
Zależy, jak ją
rozumieć.
Na pewno wzrosły
zakres i społeczna siła
tego słowa**

**Depresja: Obecnie
około 1,5-2 milionów
Polek i Polaków bierze
miesięcznie nawet
60 milionów dawek
leków**

CIERPIENIE I WYCZERPANIE

Pojęcie depresji nie od razu się jednak przyjęło. Skutki transformacji gospodarczej, których ludzki i psychospołeczny wymiar można było, według dzisiejszej terminologii, opisać jako depresję, nie zostały tą kategorią objęte. Doświadczenia szybko rosnącego bezrobocia (na początku lat 90. zjawiska nowego i nieznanego, opisywanego z mieszanką niepokoju, zaciekawienia i nadziei na stworzenie zdrowego rynku pracy), ubóstwa i społecznego wykluczenia, a nawet zakończonych kląpą pomysłów na biznes, w dyskursie publicznym i prywatnym opisywane były za pomocą innych idiomów dysfunkcji, zwłaszcza picia i wyczerzonej bezradności, nieprzystosowania do nowej rzeczywistości. Punktem skrajnym były samobójstwa, rozumiane wówczas jako akty rozpacz lub społecznej degradacji, dziś coraz częściej postrzegane przez pryzmat depresji. Doświadczenia przegranych transformacji często medykaliizowane były – za pomocą diagnozy włączane w pole działania medycyny – dopiero dekadę później, po roku 2000, kiedy w szpitalach, poradniach i grupach samopomocowych spotykałem mężczyzn o długich historiach problemów, ale ze świeżym rozpoznaniem depresji.

Co jednak znamienne, kategoria depresji szybko przyjęła się w stosunku do wygranych przemian – tych, którym w nowej kapitalistycznej rzeczywistości udało się odnaleźć, ale którym przy-

szło też płacić tego koszty: nowej wielkomiejskiej klasy średniej, pracowników korporacji, przepracowanych lub pracę tracących, mających kulturowy, społeczny i ekonomiczny dostęp do diagnozy i leczenia, zazwyczaj farmakologicznego, coraz częściej też w psychoterapii. To ich doświadczenia utorowały drogę społecznemu upowszechnieniu depresji. W sensie kulturowym depresja stała się sposobem wyrazu i nazwania ich form cierpienia, dyskomfortu, wyczerpania – pod wieloma względami specyficznych dla nowych czasów.

ZNIKAJĄCY PACJENCI NERWICOWI

Wydaje się zatem, że nie tylko kategoria uległa rozszerzeniu, ale przybywa też doświadczeń, które siatką koncepcyjną psychiatrii może uchwycić jako zaburzenia depresyjne. Tu wkraczamy na szerszy teren krytyki kultury indywidualizmu i ekonomii afektywnej kapitalizmu. Moi rozmówcy i rozmówczynie o długim stażu pracy w służbie zdrowia, sięgającym poprzedniego systemu, jako element tła wpływającego na rozpowszechnienie depresji wskazywali utratę dawnej stabilności i bezpieczeństwa, jakkolwiek skromne by one były („jeden miał malucha, drugi dużego fiata, ale rozległych różnic i rozbuchanych aspiracji nie było, a przysłowiowe dwa tysiące i tak się należały”, usłyszałem w jednym z wywiadów). Do tego dochodziła duża dostępność zwolnień chorobowych i często większa stabilność opieki. Jednocześnie moi rozmówcy wskazywali na sytuację współczesną: stres i intensywna praca z jednej strony, ale jej niepewność i obciążenie kredytami z drugiej; aspiracje, którym realnie trudno sprostać, i ciągłe dążenie do spełnienia kulturowych obrazów dobrego życia. Konkurencja, konsumpcja i porównywanie się do innych. Migracje, osamotnienie i niestabilność relacji. O ile względny spokój, ograniczenia i niewielkie różnice dochodowe socjalizmu mogły sprzyjać stabilności psychicznej, o tyle dziś, jak słyszałem podczas badań, wiele osób „dekompensuje się depresyjnie” – nie dają rady rzeczywistości, reagują w sposób, który spełnia szeroką definicję depresji.

Przyrost depresji widać też w migracjach pacjentów między grupami rozpoznań. Z opowieści jednego z psychiatrów wynikało, że w latach 90. ze szpitali zniknęli pacjenci nerwicowi. Okazało się, że w nowej rzeczywistości większość z nich wypadła z systemu: stracili dostęp do spokojnego leczenia w publicznej opiece (dopiero z czasem ci, których było stać, trafili do prywatnych gabinetów terapeutycznych). Musieli się zmobilizować i jakoś funkcjonować, choć dużo ich to kosztowało. Na ich miejsce pojawiła się nowa grupa pacjentów: tych z problemami z osobowością, którym brakowało elastyczności adaptacyjnej. W nowej rzeczywistości nie wytrzymywali i wpadali w kryzysy depresyjne. Dziś obie grupy biorą leki: tym pierwszym obniżają one poziom lęku, tym drugim pomagają postawić się do pionu po kolejnym kryzysie.

Te obserwacje brzmią anegdotycznie, ale stanowią ważną część interakcji diagnostycznych i reflek-

sji, którymi psychiatrzy czy terapeutki dzielą się w wywiadach etnograficznych, a dla których brak właściwego miejsca w strukturze fachowej wiedzy, praktyki i opieki. Ta ostatnia musiałaby bowiem wyglądać inaczej, mieć charakter środowiskowy, biopsychospołeczny, humanistyczny. To droga, o której w deklaracjach słychać od lat 70., ale od tego modelu raczej się tylko oddaliliśmy – choć nowe centra zdrowia psychicznego, obecnie wprowadzane w trybie testów, mają szansę nieco zmienić ten obraz.

FARMAKOLOGICZNE NIEJASNOŚCI

Oczywiście niszę ekologiczną, w której funkcjonuje dzisiejsza depresja, współtworzy intensywny marketing firm farmaceutycznych, kształtujący postawy lekarzy i konsumentów. Tak jest, gdzie dociera nowoczesna psychiatria i paradygmat globalnego zdrowia psychicznego, który w imię zwiększania dostępu do leczenia na bazie diagnostyki ICD i nowych leków często dominuje lokalne praktyki społeczne i kultury medyczne. Wykładnią owej globalnej świadomości depresji, z jej specyficznie zachodnią waloryzacją zdrowia jako wydajności, była często przytaczana prognoza WHO z początku wieku, według której do roku 2020 depresja miała stać się główną przyczyną niepełnosprawności i drugą przyczyną skumulowanej niepełnosprawności i przedwczesnej śmierci. Na szczęście prognoza ta się nie ziściła, choć WHO podaje, że na depresję cierpi na świecie 280 milionów osób, czyli około 5 procent wszystkich dorosłych.

Rynek, jak to rynek, odpowiada na potrzeby konsumentów, a za razem je wytwarza i kształtuje. Na ogromny wzrost spożycia leków przeciwdepresyjnych z klasy SSRI i SNRI trzeba patrzeć także w tych kategoriach. W Polsce rośnie ono stale od początku ich wprowadzenia. Używa ich coraz więcej osób i przez coraz dłuższe okresy, a przepisują je nie tylko psychiatrzy, ale też lekarze pierwszego kontaktu. Obecnie około 1,5-2 milionów Polek i Polaków bierze miesięcznie około 60 milionów średnich dawek dziennych. Pacjenci często sami się po nie zwracają – przechodzą poprosić o lek, z własnym wyobrażeniem o tym, czego im potrzeba.

A leki? Z moich obserwacji i wywiadów wynika, że potrafią bardzo pomóc, zwłaszcza w cięższych przypadkach endogennej depresji. Dają też i pacjentom, i lekarzom poczucie, że istnieje narzędzie, które odpowiada na specyficznie dla naszych czasów postawiony problem depresji. Dla osób, które przestają funkcjonować, interwencja lekowa jest na miejscu. Dla osób, które funkcjonują, choć męcząc się, pytanie o adekwatność długotrwałej ścieżki lekowej jest bardziej zasadne – i tu sami psychiatrzy często zalecają psychoterapię, której względną skuteczność w dłuższej perspektywie potwierdzają badania. Badania wskazują też na względną skuteczność leków – tu szokująca niektórych, a nawet uznawana za antypsychiatryczną propagandę figura niskiej, zaledwie 20-30-procentowej efektywności znana jest zresztą od lat. Chodzi o przewagę antydepresantów nad placebo: w gru-

pie przyjmującej lek poprawę widać u 40- 60 procent osób, a w grupie kontrolnej dostającej nieaktywne pigułki – u około 20-40 proc. Pamiętać jednak trzeba, że depresję często nasilają się i mijają własnym rytmem; remisje mogą być samoistne w niejasnym związku z lekami. Ponadto samo rozpoczęcie leczenia ma psychologicznie korzystny wpływ. Nieraz zresztą samo w sobie jest oznaką już następującej poprawy. Jesteśmy w przestrzeni znacznie bardziej niejasnej, niż mogłoby się zdawać.

CZY DEPRESJI PRZYBYŁO?

Wróćmy do pytania, czy depresji faktycznie przybyło, czy też jest to tylko kwestia nazywania tym samym wcześniej istniejących zjawisk i rozszerzenia się pola psychiatrii na to, co wcześniej za schorzenie nie uchodziło. W świetle chimeryczności depresji odpowiedź nie jest łatwa. Można jednak wskazać na kilka jej elementów.

Po pierwsze, mamy znaczny wzrost zasięgu psychiatrii jako pola medycyny, też tej niespecjalistycznej (bo przecież leki przepisuują też lekarze ogólni). Rozszerzone zostały kategorie diagnostyczne, zestaw dostępnych narzędzi, zwłaszcza leków, które, jak strzelba u Czechowa, skoro już pojawiły się na scenie, nie mogą nie zostać użyte. Rozprzestrzeniają się łatwiej niż psychoterapia, której oferta, zwłaszcza prywatna, też wzrosła, choć bardzo nierównomiernie.

Po drugie, zmieniła się nasza świadomość. Dziś częściej udajemy się po pomoc psychiatryczną lub psychologiczną albo do lekarza rodzinnego. Jednocześnie depresją łatwo nazywamy różne stany, od naturalnych fluktuacji nastroju, przez intensywny smutek, zdarzenia życiowe i epizody depresyjne, po nawracającą bez zewnętrżnych przyczyn ciężką chorobę.

Do tego dochodzi starzenie się populacji (więcej depresji pojawia się z wiekiem) oraz używanie substancji psychoaktywnych (częstsze u młodszych), które objawy depresji mogą wzmacniać.

Czy zatem depresji przybyło? Zależy, jak depresję rozumieć. Na pewno wzrósł zakres i społeczna siła słowa „depresja”. Wzrosła widoczność i wykrywalność stanów, które ono opisuje. Ale chyba nie o samą magię słowa tu cho-

dzi. W niektórych obszarach wydaje się też wzrastać specyficzne dla naszych czasów doświadczenie dyskomfortu, dość perfidny rodzaj cierpienia, pierwotnie słabo widocznego, często ukrytego pod warstwą komfortu i rzekomo dobrego życia, które skłonni jesteśmy kategoryzować jako depresję. I jako depresję je leczyć.

TRYB AWARYJNY

Ów dyskomfort prowadzi nas znów do metafory choroby morskiej i pytania, jakie z niej płynie. Dotyczy ono pojęcia „zaburzenia” (zapowiedziany wcześniej cudysłów) i jednocześnie normalizacji depresji. Otóż współczesna depresja zdaje się wychodzić poza fundamentalny w medycynie podział na normę i patologię. Dlaczego? Jak wskazują badacze zdrowia psychicznego Allan V. Horwitz i Jerome C. Wakefield, DSM-owska filozofia diagnostyczna zawiera sprzeczność. Usuwając z pola widzenia kontekst, w którym zaistniały objawy, ignoruje to podstawowe rozróżnienie. Wszak zaburzenie, patologia, oznacza nieprawidłowe działanie jakiegoś organu lub układu, np. nieadekwatną reakcję organizmu na bodźce z otoczenia. Tymczasem w zakres diagnozy depresji DSM wprowadza też reakcje, które odpowiadają opisowi objawów, ale są w istocie adekwatne do sytuacji; mówiąc inaczej, świadczą o prawidłowym działaniu organizmu, a nie jego dysfunkcji. Nawet utrzymujący się przez jakiś czas spadek nastroju, zniechęcenie, bezsenność, trudności z koncentracją mogą być właściwą reakcją na określone warunki – wręcz ochronnym, adaptacyjnym działaniem organizmu, wejściem w tryb awaryjny. Można więc powiedzieć, że faktyczna dysfunkcja jest w tych przypadkach nie po stronie reagującej jednostki, ale po stronie okoliczności reakcję wywołujących.

Jednocześnie depresja jest normalizowana. Nie chodzi mi tutaj o zdjęcie z niej stygmatu patologii – to akurat pozwala pomóc osobom cierpiącym – tylko o coraz powszechniejsze przyjmowanie, że farmakologiczna obsługa coraz liczniejszych trudnych doświadczeń stanowi po prostu nieodzowny i mniej lub bardziej trwały komponent życia. Tymczasem warto wychodzić poza współczesne techniczne definicje diagno-

styczne i dążyć do zrozumienia, czy „zaburzenie” jest w nas, czy stanowi część układu, w którym funkcjonujemy. Nie chodzi tu o odrzucenie leków, ale o uznanie, że nie zawsze i nie dla każdego psychiatria jest jedyną i ostateczną ścieżką i źródłem odpowiedzi. Kasyfikacje diagnostyczne DSM i ICD zostały stworzone dla fachowców o konkretnej i ograniczonej specjalizacji. Tymczasem – w przypadku depresji – stały się częścią publicznej wiedzy i egzystencjalnej autorefleksji. Zaczęły żyć własnym życiem, ale poza swoim kontekstem. Wpłynęły na to m.in. przemiany sfery publicznej, media i platformy społecznościowe, pozwalające na przepływ treści między obszarami fachowej i potocznej wiedzy, czy rosnąca aktywność pacjentów w kształtowaniu ścieżek własnego leczenia. Depresja jest bowiem nieodzownie tworem także biomedycznym, co społeczno-kulturowym, a jej przyszłe formy już teraz kształtowane są przez naszą współczesność.

PSYCHOPOLITYKA

Wszystko to wpisuje się w szerszą historię traktującą o roli medycyny w nowoczesnych społeczeństwach i politycznym wymiarze depresji. Wzrost jej rozpowszechnienia to przykład medykalizacji – przechodzenia w zakres działania medycyny kolejnych problemów i zjawisk, których dotąd za medyczne nie uznawano. Można to uznać za coś pozytywnego, jeśli prowadzi do podniesienia jakości życia czy dostępu do opieki. Problem jednak w tym, że często zaburzenia dostrzegamy przez to w jednostkowej biologii i psychologii, a nie w jej społecznych i ekonomicznych warunkach, choć to w nich tkwi część lub wręcz sedno problemu. Leczymy więc człowieka, a warunki pozostawiamy poza polem refleksji, krytyki, a przede wszystkim działania. Medycyna zastępuje politykę. W tym tkwi pierwsze polityczne pytanie, jakie każe nam zadać depresja. Co pomijamy, kiedy depresję leczymy farmakologicznie i jednostkowo?

Drugie pytanie jest bardziej filozoficzne. Otóż psychologia i psychiatria to instytucje włączone w strzeżenie społecznych norm i w tym sensie – sprawowanie władzy. Dziś jednak, w liberalnych społeczeństwach, jak ujął to brytyjski socjolog Nikolas

Rose, władza ta nie tyle rządzi za pomocą przymusu, co zarządza za pośrednictwem naszych wolności. Rose, pisząc w latach 90., nazywał psychologię i psychiatrię technologiami liberalnej demokracji i przewidywał, że rozprzestrzenia się one w Europie Wschodniej w następstwie jej politycznych przemian. Jak dziś widzimy, miał rację. W nieco podobnym duchu izraelska socjolożka Eva Illouz opisywała biegłość w psychologicznym języku i wrażliwości jako część kulturowego wyposażenia klasy średniej koniecznego do uczestnictwa we współczesnym kapitalistycznym społeczeństwie.

Rozumiana szeroko i powszechna dziś depresja byłaby więc nie tylko produktem naszego sposobu życia, ale zarazem jedną z furtek, przez które psychomedycyna wnika w tkankę kulturową i społeczną, w zakamarki naszej egzystencji, przestrzeń naszych intymnych wyobrażeń, jednostkowych wyborów, tożsamości i działań. To w psychologii i psychiatrii szukamy dróg do (względnej) dobrotanu, zostawiając bez odpowiedzi pytania o panujący ład społeczny, nawet jeśli to ów ład przyczynia się do naszych cierpień. Jak trafnie ujmuje to koreańsko-niemiecki filozof Byung-Chul Han, o ile jeszcze w XX wieku poddani byliśmy opresji jako podmioty, dziś paradoksalnie poddani jej jesteśmy jako projekty – ciągle musimy się stwarzać i na nowo wymyślać, żeby zachować swoją atrakcyjność na rynku już nie tylko pracy, ale wręcz życia. Depresja okazuje się jednym ze skutków opresji, której poddani jesteśmy pod postacią naszych swobód.

A MOŻE ZMIENIĆ ŻYCIE?

Czy można esej ten skończyć w możliwie niedepresyjnym tonie? Historia naszej dzisiejszej depresji jest opowieścią o rozszerzeniu, a zarazem spłaszczeniu tej kategorii i przejściu przez nią szerokich przestrzeni doświadczenia, odwiecznych melancholii i specyficznych dla dnia dzisiejszego dyskomfortów. Jest też historią o odpowiedziach, których jesteśmy dziś w stanie udzielić. Jak przystało na technologicznie zaawansowane kapitalistyczne społeczeństwa, są to odpowiedzi głównie farmakologiczne.

Tymczasem możemy sparafrazować tytuł książki, która w latach 90. przyczyniła się do kariery depresji w USA i na świecie – „Wsluchując się w Prozac” Petera Kramera, i zapytać, co usłyszeliśmy, wsluchując się w nasze depresje. Indywidualnie, ale także zbiorowo. Mam wrażenie, że usłyszymy nie tylko opowieść o niedoborach serotoniny. Zresztą, co znamienne w obliczu dzisiejszej debaty, która zaczęła się od podważenia serotoninowej teorii depresji, współczesna psychiatria wcale tak kurczowo się tej teorii nie trzyma. Postrzega raczej depresję jako zaburzenie o złożonej naturze – choć praktyka i narzędzia psychiatrii nadal stoją głównie lekami SSRI.

Jeśli uznamy, nieco wbrew panującym konwencjom diagnostycznym, że depresja to nie same tylko objawy, ale często też stojące za nimi przyczyny, możemy zrozumieć ją szerszej i głębiej. Dostrzec, nazwać i uznać depresję to pierwszy krok. Ale stawia on problem w kategoriach medycznych – i na tym poprzestaje. Tymczasem idąc dalej, możemy stanąć wobec ważnych pytań o to, jak urządzone jest nasze życie, jednostkowe i społeczne. Może w ten sposób odzyskamy depresję, także jako reakcję, która coś nam sygnalizuje, wskazuje na jakiś problem. I może z czasem, kiedy ból minie, będziemy potrafili ze wskazówek tych skorzystać. Pojedynczo i zbiorowo. ●



*Dr Grzegorz Sokół

● antropolog kultury, adiunkt na Wydziale „Artes Liberales” UW, absolwent The New School for Social Research w Nowym Jorku. Nakładem Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego ukazała się właśnie jego książka pt. „Working Through What Is: Depression and the Predicament of Reality in Poland”.

żyć lepiej
psychologia codziennie

BLISKA MI OSOBA CIERPI NA DEPRESJĘ Jak ją wesprzeć?

O emocjach, psychice i relacjach czytaj na
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

wysokieobcasy.pl żyć lepiej
Biorą, bo muszą. Trzy opowieści o tym, jak leki przeciwdepresyjne ratują życie
Monika Redzisz 22.02.2023

BOCIAN, NASZ TOTEM ABSOLUTNY

Od umierania to jest jesień albo zima. Bóg ma umrzeć, kiedy wszystko odżywa? To jakiś absurd.

Z **WOJCIECHEM JÓZWIAKIEM***,
SPECJALISTĄ OD SYMBOLI,
ASTROLOGIEM, ROZMAWIA
JĘDRZEJ SŁODKOWSKI

Dlaczego w Wielkanoc, najważniejsze święto religijne w tej części świata, objadamy się czekoladowymi zajacami?

– A wie pan, że tutaj w Milanówku pod Warszawą, jeszcze jeden zajac trwa dzielnie na posterunku? Już tylko jednego spotykam podczas spacerów po polach. Nowoczesne rolnictwo im nie sprzyja.

A zajac wszedł w krąg świąt Wielkiej nocy w przewrotny sposób! Wielkanoc jest świętem skoncentrowanym na śmierci.

Na śmierci? Zawsze myślałem o Wielkanocy raczej jako o święcie odrodzenia.

– Odrodzenia też, ale jednak bardziej śmierci. Zmartwychwstającego Jezusa, według ewangelii, nikt nie widział. Za to eksponowana jest jego śmierć na krzyżu. W Kościele katolickim aż do przesady. To jedyne duże wyznanie chrześcijańskie, w którym wierni aż w takim stopniu pasą się obrazem tortur swego mistrza i jego strasznej śmierci. Wróćmy do zajaca.

Ludom środkowej i północnej Europy, Słowianom i Germanom, początek wiosny nijak nie kojarzył się z umieraniem. Od umierania to jest jesień albo zima. Bóg ma umrzeć, kiedy wszystko odżywa? To jakiś absurd.

W symbolice Wielkiejnocy symbole związane z ukrzyżowaniem wymieszały się więc z symbolami powstającego życia: jajkiem i właśnie zajacem. Jacob Grimm, starszy z dwóch baśniopisarzy, na początku XIX wieku przypisał zajaca Ostarze, germańskiej bogini wiosny. I w dzisiejszych wyobrażeniach Ostary, czczonej przez rozmaite nurty pogańskie właśnie 21 marca, kiedy my topimy marzannę, bogini towarzyszy zajac. A wcale nie jest pewne, czy Grimm tej całej Ostary nie wymyślił...

Właściwie czemu zajac to symbol życia?

– Łatwo to wyjaśnić. Zajace rodzą się wczesną wiosną, często kiedy śnieg jeszcze leży na polach. Na małe zajace mówi się „marczaki”. A na ich rodziców – „marcowe zajace”, bo zanim narodzą się młode, musi być pora rui, a wtedy zwierzęta dostają kompletnego fioła – są strasznie napalone!

Marcowy Zajac to jeden z bohaterów „Alicji w Krainie Czarów”. Na niekończącej się obłąkanej herbatce razem z Kapelusznikiem zadają Alicji dziwaczne, bezsensowne pytania.

Właśnie, zajac w naszym panteonie zwierząt odgrywa rolę błazna.

– Przecież jego wygląd to czysta karykatura: wielkie uszy, wielkie zęby, wielkie stopy, no i wielkie oczy, które w dodatku niezależnie od siebie patrzą na dwie strony świata – zajęcowi nie da się spojrzeć w oczy. Zajac jest przerysowany niczym klaun.

W tradycyjnym porządku kuglarze stali na dnie drabiny społecznej. Innymi istotami, które tam tkwiły, były dzieci. I w imaginacyjnym zwierzęcym społeczeństwie zajac zrównany jest także z dziećmi. W „Panu Tadeuszu” wprost mówi się o tym, że prawdziwi mężczyźni zajęce lekceważą i zostawiają je dzieciom: „bo z łowów wracając, / [...] / spod konia mknę się biedak zajac: / [...] / wtenczas za nim dla zabawki / [...] / na konikach małe goniły panice przed oczyma rodziców”.

Kiedy dziecko przewróci się przy nauce chodzenia, mówi się, że złapało zajaca. A kiedy podskoczy, mówi się „hop-sasa!”. Słowo „sasa” dziwnie przypomina nazwę zajaca w sanskrycie: „śaśa”!

Ale zajac ma tę moc, że inaczej niż dzieci ludzkie, jest absolutnie samodzielny. To jest zwierzę, które żyje i mnoży się w takich warunkach, na myśl o których człowiekowi ciarki przechodzą po plecach. No, idź tam, urodź się w marcu, na śniegu.

I jeszcze przed lisami uciekaj.

– I przed psami. Nazwałbym zajaca superdzieckiem, taką Pippi Langstrumpf wśród zwierząt.

W pierwszych scenach „Misia” Stanisława Barei kręcona jest nagonka na zajaca, ale że nie ma zajacę, w jego rolę wciela się kot z przytroczonymi zajęczymi uszami, który salwuje się ucieczką na drzewo. Podwójny błazen!

– To wygląda jak nawiązanie do „Trans-Atlantyku” Gombrowicza, gdzie także inscenizowane jest polowanie na zajacę, choć tych w Argentynie jakoby nie ma. Gombrowicz chciał podkreślić błazenadę, jaką jest rytuał polowania na zajacę, pokazać pustkę, za którą gonią jego bohaterowie. Swoją drogą Gombrowicz się mylił, bo zajacę w Argentynie są. Sprowadzono je do Ameryki Południowej z Europy – i to tak skutecznie, że stały się plagą.

Ale wiosna i nowe życie to przede wszystkim bocian. Dopiero z pana książki „Nasze zwierzęta mocy” dowiedziałem się, skąd wzięła się legenda o bocianach przynoszących dzieci do chałup.

– Bocian to dla Polaków coś w rodzaju totemu absolutnego. Można powiedzieć, że bocian nas wszystkich rodzi. Zaczniemy od tego, że bocian jest postacią falliczną.

Jak pan pisze, „jednoznacznie kojarzy się z penisem”. Muszę przyznać, że mi się dotąd nie kojarzył, ale teraz nie ma już chyba odwrotu.

– No przecież bocian jest sztywny jak fallus we wzwoździe! Ma czerwony, wzwiedziony dziób – trudno o coś bardziej fallicznego.

A co bocian robi? Przynosi z pola żaby. A żaby w naszym zwierzęcym imagina-

rium to istoty słabe, wiotkie, miękkie – żaba występuje jako figura dziecka czy duszy dziecka przynoszona z zaświatów. Nie chodzi o krainę zmarłych, ale o nieznaną, odległą, tajemniczą przestrzeń. Bo dziś sami latamy na wakacje do regionów, w których zimują bociany, ale do niedawna ogromna większość ludzi nie знаła świata dalej niż w promieniu kilkudziesięciu kilometrów wokół ich miejsca zamieszkania. Afryka to była dla nich kompletna abstrakcja, takie właśnie zaświaty.

No więc mamy fallicznego ptaka z czerwonym dziobem, który przylatuje z tajemniczego świata i wypuszcza z tego dzioba żabę, czyli duszę dziecka – do komina. A ciemna czelusz komina to w ludowym imaginariu odpowiednik wagi. Piec chlebowy kojarzył się zaś z rodzajem brzuchem. To były silne symbole! Czarnowice używały do swych czynności magicznych, w tym do latania, właśnie przyrządów wykorzystywanych przy piecu chlebowym: miotły, łopaty, pogrzebacza. Mam zresztą na strychu zabytkową łopatę do chleba...

Aż boję się pytać, co pan z nią robi.

– Niech się pan nie martwi – stoi jako przedmiot ochronny.

A wracając do bociana – czarnym kanałem wrzuca dziecko do pieca. Proszę zwrócić uwagę: za jego sprawą cały dom zostaje zrównany w przestrzeni symbolicznej z populacją, poczęciem, ciążą i rodzeniem. Bocian przeobraża dom rozumiany jako budynek w gniazdo rodzinne.

Nie od parady jest w tym całym ciągu skojarzeniowym status żaby. Jak pan twierdzi, żaba to symbol seksu, a nawet – bardzo chciałbym to odzobaczyć w mojej wyobraźni – kobiecych narządów płciowych.

– Bardzo mi przykro, ale tak działa ludzka wyobraźnia. Jeziora, błota i źródła są dla środowiska tym, czym dla ciała jest wulwa. I w tej wilgoci mieszkają śliskie, miękkie zwierzęta, które wyglądem przypominają kobiety z rozłożonymi nogami. W dodatku namiętnie się rozmnażają. Do tego kijanki przypominają plemniki.

Sam archetyp jest jednak znacznie starszy. Najsłynniejsza grecka hetera nosiła przezwisko Fryne, czyli ropucha. Nie chodziło o to, że była taka urodziwa jak ropucha – była sexy jak ropucha.

Jakoś nie powiedziałbym, że ropuchy są sexy. Żaby też nie.

– Widocznie Grecy inaczej to czuli. Są sexy, bo namiętnie oddają się seksowi.

A dlaczego gdy był pan dzieckiem, rówieśnicy pouczali pana, by nie pokazywać żabie zębów?

– To doskonały przykład, żeby pokazać, jak działa logika takich przekonań. Żaba była postrzegana jako istota z tamtego świata, świata zmarłych. Ona oddycha podgardlem, wykonuje miarowy ruch jamy gębowej, który może się nam kojarzyć z odliczaniem. Co innego może liczyć żaba, która się na ciebie długo patrzy, jeśli nie zęby? Inny przesąd mówi, że jeśli śni ci się, że zęby ci



wypadają, to znaczy, że umrzesz. Żaba, która policzyła ci zęby, zabierała cię na swoją stronę, stronę śmierci.

W tradycyjnych relacjach ludzi ze zwierzętami masz prawo zabrać ze sobą to, co policzyłeś. Bo w jakich okolicznościach liczyliśmy zwierzęta? Ano w sytuacjach handlowych. Zwierzęta ogradzano, liczo- no i sprzedawano, najczęściej na rzeź. Na- wiasem mówiąc, ta historia zapisana jest w słowie „hurtownia”. Łacińskie „hortus”, czyli ogród, przeszło przez dawne niemiec- kie „hurt”, co znaczyło „miejsce ogrodzo- ne”. W dawnej polszczyźnie „hurt” też zna- czył tyle co trzoda albo przenośna zagroda.

Wracając do bociana – jak żaden inny ptak żyje blisko nas, w sposób demon- stracyjnie wręcz dla nas widoczny, na słupach czy domach. Wśród tych ludz- kich rodzin sam też żyje rodzinnie.

– Pełna zgoda. Ale dawni Polacy widzieli i inne podobieństwa między nimi a boci- nami. Na przykład gromadzenie się dzie- siątków bocianów na polach po żniwach porównali do zbierania się szlachty na sej- mikach – do dziś nazywamy to bociani- mi sejmikami. Aż dziwne, że tego ptaka nie ma w godle Polski. Flagę mamy bialo-czer- woną. Brakuje tylko czarnego. Nawet zrobi- łem taki eksperyment i dodałem czarny pa- sek na dole polskiej flagi. Czy taka flaga nie byłaby bardziej energetyzująca?

A czy wie pan, że aż 25 proc. popula- cji bociana białego wiosną i lato spędza w Polsce? Swoją drogą, zanim globalne ocieplenie zaczęło się nasilać, legowcy za- sięg bocianów na wschodzie pokry- wał się z maksymalnym zasięgiem I Rzeczypospolitej. Bociany gnieź- dziły się najdalej do Tallina, Smo- leńska, Połtawy – a dalej już nie. W ostatnich latach bociany za- częły jednak osiedlać się dalej, w głąb Rosji.

Pisze pan, że symboliczną rolę bociana jest pośrednictwo, bo łączy różne światy. Pomy- ślałem, że jeśli coś mogłoby złączyć nasz podzielony naród, to chyba tylko on, ojciec nas wszystkich.
– Kto wie! Musiałby tylko ktoś go zręcznie wypromować.
Funkcję pośredników peł- ni znacznie więcej zwierząt. Ta funkcja polega na pośredniczeniu między kręgiem cywilizacji i naturą; światem ludzkim i światem przyrody. Między ekumeną i anekumeną.

Czyli?

– Dla Greków „oikoumene” oznacza- ło świat zamieszkały i zagospodarowany. Ekumena to było terytorium, które zna- li. Jej przeciwieństwo, anekumenę, uważa- li za bezludzie, zresztą nie zawsze słusznie; ale to nie jest tylko pojęcie geograficzne, bo anekumena w wyobraźni naszych przod- ków była siedzibą mocy nieopanowanych przez człowieka. W anekumenie rządzą bō- stwa, duchy i zwierzęta.

Bociany na pół roku znikają w aneku- menie, a drugie pół spędzają w sąsiedz- twie człowieka. Takimi pośrednikami są też zwierzęta, które przychodzą pod próg naszych domów. Na przykład jeże. Zaś kret jest znakomitym pośrednikiem przez to, że dzieli z nami niemal tę samą przestrzeń, tylko że jest niżej, pod darnią. Ogląda to, czego nie widzimy.

A czym właściwie są zwierzęta mocy?

– Claude Lévi-Strauss zauważył, że są zwie- rzęta nie tylko dobre do jedzenia, ale też dobre do myślenia. To te, które nam się śnią i operują w naszej podświadomości. To zwierzęta, o których opowiadamy ba- śnie i bajki czy o których układamy przysło- wia. Które są w herbach i znakach zodiaku. Zwierzęta, z którymi się w jakiś często nie- wytłumaczalny sposób identyfikujemy.

Moją misją jest zwrócenie uwagi na zwierzęta mocy ważne dla nas, Polaków, Słowian. Światowy zestaw zwierząt mo- cy jest dziś zdominowany przez zwierzę- ta amerykańskie. Czemu nie ma się co spe- cjalnie dziwić, bo współczesne myślenie o zwierzętach mocy wyrasta z tradycji lu- dów rdzennych Ameryki Północnej.

Trzeba zacząć od pojęcia totemu. To sło- wo pochodzi z jednego z języków Algonki- nów, ludu ze wschodniej Kanady i północ- no-wschodnich Stanów Zjednoczonych. Pierwotnie znaczyło „mój przyjaciel”, „mój druh”, a tym druhem było zwierzę. Czło- wiek dostrzegał podobieństwo duchowe i zewnętrzne z jakimś zwierzęciem, obser- wował je, uczył się od niego.

Obecny w wierzeniach indiańskich kult zwierząt mocy, nastawienie na zwierzę- ta jako na wzorce, traktowanie ich jako po- średników niosących przekaz z nieznanego świata, z anekumeny, zainspirował neo- szamanistów.

Kogo?

– Współczesnych ludzi Zachodu, głównie z krajów anglojęzycznych, którzy czerpią z praktyk szamanów indiańskich. Ale nie tylko od nich.

Samo zjawisko totemu jeszcze silniej obecne jest u Aborygenów. Ich tradycyj- ny światopogląd jest z gruntu totemistycz- ny – oni uważają się wręcz za tożsamy- ch z pewnym zwierzęciem. Z ciała i ducha są gąsienicą, ptakiem emu, kangurem itd. To- temem może być też jakiś minerał. Gatu- nek gliny.

No dobrze. Ja w przedszkolu wyobraża- łem sobie, że jestem tygrysem – uczyłem się nawet skradać na czworakach. Do dzisiaj to moje ukochane zwierzę. Jak mogę utotemizować tygrysa?

– Wierzenia pierwotnych ludów mówią, że człowiek ma wiele dusz, a są one reprezen- towane właśnie przez zwierzęta. I ta zwie- rzęca dusza przychodzi do nas w pewnych momentach – jako nauczyciel, pomocnik, by odpowiedzieć nam następny życiowy krok, albo jako ratownik, który zjawia się, by ocalić nam życie.

A tygrys? Świetny wybór, można się w nim zakochać! Jest piękny, nie smutno bury jak lew. Te pręgi wyglądają jak drugi, zewnętrzny kręgosłup. I w przeciwieństwie do lwa tygrys działa samodzielnie.

Ma też władzę, przede wszystkim wła- dzę zabijania. Jego miarą jest skuteczność – jeśli dobrze urządzi zasadzkę, jego ofiara nie ma żadnych szans.

Szkoda, że ten tygrys mało słowiański.

– Niech pan się nie martwi. W XVII wieku tygrysy szły do Rzeczypospolitej z Kaukazu. Doszły co najmniej do Połtawy, gdzie jedno- go zastrzelono. To dziś środkowo-wschod- nia Ukraina, niedaleko do Dniepru! Gdy- by nie ludzie ze strzelbami, to pewnie ty- grysy osiedliłyby się i u nas. Uważam, że w naszym środowisku brakuje wielkiego drapieżnika. Ta luka jest wręcz stworzona dla tygrysa.

Już widzę zachwyt na twarzach hodow- ców krów i owiec oraz leśników.

– Z drugiej strony rolnicy i leśnicy narzeka- ją na dziki, które muszą odstrzeliwać, na jelenie, które pożerają sadzonki. Miałyby naturalnego wroga. Ale zgoda, u nas dziś trudno to sobie wyobrazić. Ale gdy skoń- czy się wojna, warto by odpowiedzieć to Ukraińcom. Na przykład pusta strefa wokół Czarnobyli aż się prosi, by ją zatygrysić.

Może nie mamy tygrysów, ale jednak mamy imponującą przyrodę, miejscami wciąż jeszcze dziką. Morza, jeziora, góry, rzeki, lasy, bagna...

– U nas przetrwały żubry, losie, bobry.

A jednak fauna jest w naszym codzien- nym myśleniu nieobecna. Jest pozosta- wiona myśliwym. I dzieciom.

– Zwierzęta są bohaterami bajek. Przeży- wamy ich przygody jako dzieci, ale potem o nich zapominamy.

Bo zapomnieliśmy słowiańską mito- logię? Nie wierzę, żeby nie było w niej zwierząt mocy, skoro grecka czy rzym- ska mitologia pełna jest dzików, byków, węży, o wilczycy, która wykarmiła Remusa i Romulusa, nie wspominając.

– Starożytni Grecy i Rzymianie faktycznie czcili przyrodę, mieli święte gaje. Jednak co z tego? Nie powstrzymało to ich potom- ków przed totalnym zniszczeniem przyro- dy. Przecież wiele greckich wysp przypomi- na dzisiaj pustynię.

Od czego zacząć praktykowanie, nazwij- my to tak, szamanizmu dnia codziennego? Powiedzmy, że zauważyłem zająca.

– Można pozdrowić zwierzę. Powiedzieć na głos: „Cześć, zającu!”.

Nie wiem, czy mi odpowie.

– Wcale nie musi. A może pozdrowi w jakiś inny sposób? Zresztą kto wie, może za któ- rymś razem usłyszysz pan z tyłu głowy głos zająca. Kiedy prowadziłem warsztaty, robi- łem właśnie takie zajęcia.

Nazwałbym zająca

superdzieckiem,

taką Pippi Langstrumpf

wśród zwierząt

Jakie warsztaty?

– Z praktyk inspirowanych szamanizmem. Nazwałem to warsztatami Twardej Ścież- ki. To były przede wszystkim rozmowy z ogniem. Każdy pozdrawiał własny ogień. Uczestnicy rozchodzili się po terenie, każdy rozpałał małe ognisko. Rozmawialiśmy też z drzewami.

Z ogniem nie rozmawiałem. Ale z drze- wami mi się zdarzało, kiedy godzinami szedłem sam przez las w górach. Chyba to zawsze jest rozmowa z samym sobą.

– A widzi pan? Można rozmawiać z kamie- niem, z błotem, z kałużą. Na warsztatach Twardej Ścieżki rozmawialiśmy też z pta- kami, które pojawiały się na niebie – żura- wiami albo krukami. Zwłaszcza z krukami, bo one same do nas przylatywały.

Może jesteście ich zwierzętami mocy?

– Kto wie! Na pewno jesteśmy po części in- truzami, a po części okazją, bo może zosa- wimy coś do jedzenia. Kruki są ciekawskie.

W Tatrach nauczyły się otwierać plecaki. Raz zostawiłem swój na godzinkę na Or- lej Perci. Kiedy wróciłem, wszystko było wywalone. Czym jest Twarda Ścieżka?

– Spotykamy się w kręgu, przy ogniu, przy szalase potu, czyli improwizowanej łaźni parowej. Wymyśliłem taką nazwę, bo cho- dziło o to, żeby skupić się na tym, co jest rzeczywiste, twarde, na doświadczeniach przez ciało. Nie gadać bez potrzeby, nie uciekać myślami w fantazje.

Coś takiego słyszę od nauczycieli jogi.

– Słuszne skojarzenie. Joga w dużym stop- niu jest słuchaniem rzeczywistego, którym jest twoje ciało.

Ale czym jest ten dzisiejszy szamanizm, którym pan się para?

– Inspiracje i oblicza neoszamanizmu są bardzo różne. Mój nauczyciel, nieżyjący już David Thompson, traktował swój szama- nizm jako praktykę religijną wywodzącą się z wierzeń Czarnych Stóp. Wcześniej należał do mormonów. Mieszkał w Seattle; jeździł do Czarnych Stóp do kanadyjskiej prowін-

cji Alberta przez góry i z nimi się przyjaź- nił. Przyjął ich religię i zwyczaje.

Ważną postacią w neoszamanizmie był nieżyjący już także Michael Harner, był kompilatorem praktyk z różnych źródeł, Indian z Ameryki Północnej, Południowej, a także Aborygenów. Jego główna praktyka polegała na sesjach z graniem na bębnie, podczas których doświadcza się wizji.

Czy wspomaga się przy tym jakimis sub- stancjami?

– Nie. Sam bęben wystarcza. Podczas praktyki bębnienia jedyną substancją jest dźwięk bębna. Mogę to potwierdzić, bo uczestniczyłem w tych sesjach i sam ta- kowe prowadziłem. Wizje błyskawicznie przychodzą i odchodzą, dobrze jest być cał- kiem trzeźwym, by nie uciekły.

A czy pan mówi o sobie, że jest szama- nem?

– Nie lubię tego określenia, bo ono po- winno być zastrzeżone dla narodów Sy- berii – stamtąd pochodzi. Ja przeszedłem przez etap praktyk inspirowanych szama- nizmem.

Zachodni neoszamani nie nawiązali skutecznych kontaktów z narodami Sybe- rii, na przykład Nieńcami, u których wciąż praktykuje się szamanizm. Syberyjski sza- manizm jest czymś z gruntu innym niż ten, który biali poznali u Indian w Ameryce Pół- nocnej. Wymaga ogromnego poświęcenia, złożenia siebie samego w ofierze tamte- mu światu, anekumenie. Dosłownie. Prze- stajesz być człowiekiem, stajesz się szama- nem, przechodzisz na drugą stronę. Stajesz się autorytetem dla rodziny, ziomków. Bo znasz sposoby rozwiązywania rozmaitych problemów. Masz tajemne moce. Umiesz leczyć. Manipulować duchami. Z drugiej strony, jesteś groźny, bo nie wiadomo, jaka moc z ciebie wyjdzie. I przy tym przejściu nie masz za wiele do powiedzenia. To nie jest tak, że postanawiasz zostać szamanem swojej wsi. Dostajesz to w spadku, w ro- dzinnej tradycji. Albo tak ci się zdarza.

Widzę po panu, że bycie szamanem w Milanówku nie oznacza aż tak wielkie- go poświęcenia.

– Nie mamy takich duchów, które by tego od nas żądały.

Pozdrowilem zająca. Co jeszcze mo- gę zrobić?

– W dzisiejszych czasach głęboki związek człowieka ze zwierzęciem może realizować się przede wszystkim poprzez przyrodni- cze hobby. Idziesz do lasu albo na łąkę? Weź aparat. Albo mikrofon. Zostań specja- listą od bobrów albo od wyder.

Obserwowałem, jak moja córka zo- stała w pewnym etapie życia nawiedzo- na przez zwierzę mocy – konia. Miała 12 lat i wiedziała o koniach wszystko, zwłasz- cza o tym, na którym jeździła. Całe jej ży- cie kręciło się wokół konia: koleżanki miała od koni, spędzała czas w miejscach, gdzie są konie, grała w gry konne, robiła zakupy w końskich sklepach itd. W taki sposób tak- że można dać się natchnąć energią zwie- rzęcia. ●



FOT. ADAM STEPIEN/AGENCJA WYBORCZA.PL

*Wojciech Jóźwiak

• specjalista od symboli, astrolog, znawca i popularyzator tarota i współczesnego sza- manizmu. Z wykształcenia biofizyk. W wy- dawnictwie Ha!art ukazała się właśnie jego książka „Nasze zwierzęta mocy”.

Jeśli usuniemy
z kanonu „W pustyni
i w puszczy”,
cóż nam pozostaje zrobić
z „Robinsonem Crusoe”,
powieściami Verne’a
i Kiplinga, klasistowskim
„Panem Tadeuszem”

POLONIŚCI MAJĄ SUPERMOCE

FOT. POLFILM/EAST NEWS



Ryszard Koziołek

– Ja i wy jesteśmy jednej krwi – zawołał Maui głosem niedźwiedzi, dodając okrzyk właściwy ludowi niedźwiadków.

– Dobrze! – rzekł Balu. – A teraz powiedz hasło ptaków.

Maui wygłosił to samo odmiennym akcentem, dodając krzyk sępa.

Fdukacja w „Księżdzie dżungli” jest intrygująca. Dzięki wypowiedzeniu w odpowiedni sposób zdania „Ja i wy jesteśmy jednej krwi” Maui (Mowgli) zyskuje bezpieczeństwo pośród zwierząt reprezentujących kolejne gatunki. Wspólnota języka, w którym przechowywane są normy i wartości narodu, okazuje się ważniejsza niż przynależność gatunkowa. „Mów tak jak my, a uznamy cię za swojego” – oto treść tej lekcji. Nowoczesny nacjonalizm nie musi być rasistowski, wystarczą mu jednośdeklarowanych przekonań i potwierdzenie ich działaniami. „Jeżeli ktoś uważa, że warto być Polakiem, to musi być po tej stronie, która broni tradycyjnych wartości” – wypowiedział to w prosty sposób Jarosław Kaczyński w I Programie Polskiego Radia 19 lipca 2020 roku.

Nowoczesna edukacja narodowa przypisała tę unifikującą rolę szkole za pośrednictwem przedmiotów takich jak język polski i historia. I choć budowanie tożsamości narodowej opiera się zarówno na przekazywaniu wiedzy przedmiotowej, jak i kształtowaniu postaw, sama wiedza tu nie wystarcza. Spodziewanym efektem nauki jest przekształcenie wiedzy w tożsamość, a więc jej trwale uwewnętrznienie. Na to

symulacyjne utożsamienie się ucznia z „językiem polskim” składają się więc: bogate słownictwo i poprawna wymowa, biegłość w piśmie, przyswojenie sobie powtarzanych opowieści, czczenie wskazanych postaci, celebrowanie odpowiednich symboli i wartości, znajomość ważnych fragmentów tekstów kanonicznych i recytowanie ich niczym świętych inkantacji.

Kiedy świat zachodni upaństwowił oświecenie, fundamentem państwa narodowego uczynił szkołę i uniwersytet. Miały one podwójne zadanie: przekazać wiedzę uniwersalną oraz wykształcić w uczniach świadomość tożsamości narodowej. Od razu powstało jednak napięcie między tymi dwoma obszarami. Znaczna część wiedzy szkolnej nie jest bowiem związana z językiem, ziemią i ludem; nie istnieje żadna specyficzna, prawdziwa tylko lokalnie polska matematyka lub bułgarska chemia. Ucząc zatem fizyki lub biologii, ani trochę nie wzmacniamy w polskich uczniach polskiej tożsamości narodowej – kształcimy kosmopolityczne umysły zdolne zsekwencjonować genom albo policzyć straty ciepła w układzie grzewczym wszędzie tam, gdzie przyjdzie im żyć lub pracować.

Nowoczesna edukacja w państwach narodowych szybko odkryła dwa sposoby przewyciężenia sprzeczności między kształceniem uniwersalnym a narodowymi powinnościami szkoły. Po pierwsze, żadna wiedza nie potrzebuje uniwersalnego języka (greki bądź łaciny), bo może trafić do uczniowskich umysłów w przekładzie na określony język państwowy. Stąd wszyscy nauczyciele w Polsce są po części polonistami. Po drugie, istnieją w programach szkolnych przedmioty szczególne, które prócz wiedzy dostarczają odpowiedzi

na pytanie: „Kim jestem jako Polak?”. Kluczowe znaczenie mają w opisanym procesie lektury literackie, czyli nowy kanon narodowy, który zastąpił lub uszczuplił klasykę grecką i łacińską.

W pewnym sensie architekci nowej polonizacji znaleźli się w podobnej sytuacji co ich przodkowie sprzed 200 lat. Czasy dominacji języka angielskiego przypominają te, kiedy w świecie zachodnim rządził francuski, a wcześniej łacina, neoliberalny model edukacji sprowadził zaś cel kształcenia szkolnego i akademickiego do indywidualnej korzyści ucznia i studenta, mierzonej ich sukcesami na rynku pracy. Trzeba więc przekonać rodziców i uczniów, że bez objaśnionej ideologicznie lektury „Pana Tadeusza” dziewczyna z Kryniczek i chłopak z Dziegielowa nie będą wiedzieli, kim są, oraz że ta niewiedza będzie w ich życiu i karierze taką samą przeszkodą jak nieznanie matematyki lub biologii.

Jasna dziewczyna pochyliła się nad wierszem. Ostrym jak lancet ołówkiem przenosi na białą kartkę słowa i zamienia je na kreski, akcenty, cezury. Lament poległego poety wygląda teraz jak salamandra objedzona przez mrówki.

(Z. Herbert, „Epizod w bibliotece”)

Czułem coś podobnego, kiedy Helena Podstawny po raz pierwszy narysowała na tablicy wykres logiczno-gramatyczny zdania złożonego. Ona pierwsza pokazała mi przekrój języka, a ja miałem wrażenie, jakbym uczestniczył w lekcji anatomii własnej mowy. Towarzyszyły mi wstępnym fascynacja, ponieważ – nie wiedząc o tym wtedy – stanąłem na progu polonistycznego rzeźmiosła. Zobaczyłem ukrytą strukturę i mechanizm języka, którego używają wszyscy,

a jednak nie są tego świadomi. Rozpocząłem naukę o tym, że nie mówi się tego, co się chce i jak się chce; że gramatyka i słownik powstały przed moim urodzeniem i ledwie coś zacznę mówić, a już całe zdania czekają gotowe, niczym autouzupełnienia w wyszukiwarkach internetowych. Nawet to, że jestem czynny, bierny, prosty, złożony, dokonam czegoś czy nie – podpowiada mi gramatyka.

Wiedza o działaniu języka, o jego mechanizmach retorycznych, kliszach, stereotypach, komunikacyjnych automatyzmach jest jednym z najważniejszych składników edukacji powszechnej i nikt nie zdoła zastąpić polonistów w roli przekazicieli tej wiedzy. Wykracza ona poza jakąkolwiek dyscyplinę, a jej przydatność odkrywamy w każdej sferze publicznej – zwłaszcza w polityce, prawie i handlu.

Jako poloniści tworzymy fundamenty życia publicznego, gdyż życie naszych uczniów i studentów razem z innymi ludźmi w tym kraju jest i będzie życiem w polszczyźnie i poprzez nią. Żeby doczekać się uznania dla swoich przekonań, sądów i wartości, trzeba o nich opowiedzieć w sposób zrozumiały. Ale to za mało, żeby inni chcieli słuchać. Trzeba jeszcze opowiedzieć zajmująco, sugestywnie, tak, by inni chcieli nie tylko mówić, ale też słuchać. Najbardziej zaniedbaną sferą kształcenia w polskim modelu edukacji, na każdym jej poziomie – od przedszkola po uniwersytet, jest rozwijanie w uczniach umiejętności indywidualnej wypowiedzi. W polskiej szkole uczeń nie odzywa się niepytany i mówi jedynie o tym, co chce usłyszeć nauczyciel. Za najważniejsze zadanie obywatelskie polonisty uważam budowanie w uczniach woli i umiejętności wypowiadania się publicznie. Aby to było możliwe, uczniowie muszą nauczyć się wyrażać jasno swoje sądy i porządknie je argumentować. Szkoła i uczelnia mają przygotować młodych ludzi do życia na scenie publicznej z innymi, z którymi trzeba dochodzić znaczenia własnych i wspólnych spraw.

Nie jest najważniejsze, czy w spisach lektur będzie więcej Gombrowicza czy Sienkiewicza. Kluczowe jest pokazanie uczniom, że sprawne posługiwanie się językiem, wyobrażania i społeczna wrażliwość należą do najważniejszych dyspozycji wyniesionych ze szkoły. Cóż stoi na przeszkodzie, aby używając „Janka Muzykanta”, rozmawiać poważnie z piątoklasistami i stawiać sobie wspólnie pytania, na które nawet nauczyciel nie zna odpowiedzi: Kim jest ojciec Janka? Dlaczego autor o nim nie mówi? Dlaczego dziecko jest bite? Kiedy skończyły się kary cielesne w szkole i dlaczego? Kto powinien pomóc matce? Czy otrzymałaby 500+? Czy dziś Janek miałby szansę na miejsce w szkole muzycznej?

Wlutym 2021 roku socjolog i publicysta Maciej Gdula oburzył się, wróciwszy najwyraźniej ze swoją jedenastoletnią córką do lektury „W pustyni i w puszczy”. Przekonywał, że nie ma w polskiej literaturze drugiej książki łączącej w takim natężeniu rasizm, kolonializm i patriarchy, i nawoływał: „Kanon lektur w podstawówce nadaje się do kosza. Przestańmy męczyć i zatruwać dzieci!”. Dlaczego uważam, że głęboko się myli?

Po pierwsze, bo w ten sposób pozbyłby się jedyne go pisarza, o którego Polacy są

w stanie się pokłócić. Literatura polska nie jest przedmiotem zainteresowania większości społeczeństwa. Jeśli istnieje rodzima książka, której obecność lub nieobecność w kanonie szkolnym potrafi rozgrzać internet do czerwoności, to taki pisarz jest dobrem naprawdę narodowym. Klóćąc się o Sienkiewicza, dyskutujemy bowiem o tym, czego oczekujemy dziś od kształcenia literackiego w szkole. I jest to spór dla kultury polskiej bezcenny.

Po drugie, ponieważ Maciej Gdula nie wierzy w umiejętności nauczycieli i w zdolności swojej córki do krytycznej lektury „W pustyni i w puszczy”. Oczywiście, że to książka, z dzisiejszego punktu widzenia, pełna rasistowskich klisz, europocentrycznej pychy, męskiej wyższości, eksploatacyjnego podejścia do przyrody. Ale właśnie dzięki temu doskonale nadaje się do ćwiczeń etycznych i empatycznych, które opierają się na symulacyjnej grze wyobraźni. Wystarczy skłonić młodych czytelników do przyjęcia pozycji różnych postaci i zapytać, czy podoba im się to, jak zostali opisani. Co by zmienili?

Po trzecie, bo odbierając córce powieść Sienkiewicza, Maciej Gdula pozbawia ją cudownej frajdy, jaką daje dzieciom umiejętność przeprowadzania krytyki tekstu, czyli odkrywania wstydliwych spraw dorosłych. Zwłaszcza jeśli ci dorośli to utytułowani, ważni mężczyźni. Dobry nauczyciel kilkoma prostymi pytaniami może uruchomić tę frajdę. Dlaczego autor pozbawił bohaterów matek? Co znaczy po łacinie imię Mea i dlaczego dzieci nie pytają czarnoskó-

wieściami Verne’a i Kiplinga, klasistowskim do granic „Panem Tadeuszem”, filmami o przygodach Indiany Jonesa? Nie zmusimy literatury z przeszłości, aby mówiła o naturze, polityce, płci, ekonomii i społeczeństwie tego, co chcemy słyszeć o nich w naszych czasach. Współczesna wartość edukacyjna literatury szkolnej powinna wynikać stąd, że jest doskonale napisana i pozwala rozmawiać z uczniami o ważnych sprawach ich współczesności. Sienkiewicz nadaje się do tego ciągle bardzo dobrze.

Po szóste, ponieważ socjolog nie przeczytał wspólnie z córką pierwszych stron tej powieści i nie zdziwił się, jak fascynującą rozmowę prowadzi czternastoletni chłopak z ośmioletnią przyjaciółką. Otóż rozmawiają o polityce! O pierwszym państwie islamskim, o dyplomatycznych grach Mahdiego i Smaina, o kolonialnej rzeczywistości. Staś traktuje Nel protekcjonalnie (a który nastoletni chłopak nie traktuje tak młodszej siostry?!), ale zarazem widzimy dziecięcych bohaterów, którzy interesują się czymś więcej niż gram i zabawami.

A wreszcie, bo Maciej Gdula zapomniał, że czytanie jest trudniejszą umiejętnością niż mówienie i pisanie. Opiera się bowiem na zdolności do rozumienia języka innego niż ten, w którym rozmawiamy na co dzień. Być może dlatego Sienkiewicz stworzył bohatera, który nie posługuje się wyłącznie polskim, ale także – w zależności od rozmówcy – francuskim, angielskim, arabskim, suahili oraz językami ludów Dinka i Szylluk. Jeszcze ważniejszym

Nie istnieje żadna specyficzna, prawdziwa tylko lokalnie polska matematyka lub bułgarska chemia.

Ucząc zatem fizyki lub biologii, ani trochę nie wzmacniamy w polskich uczniach polskiej tożsamości narodowej

– kształcimy kosmopolityczne umysły zdolne zsekwencjonować genom albo policzyć straty ciepła w układzie grzewczym wszędzie tam, gdzie przyjdzie im żyć lub pracować

rej dziewczynki, jak naprawdę się nazywa? Czy uczniowie widzą wokół siebie przykłady „moralności Kalego” i czy nie nazywa się to dziś „symetryzmem”? Kim będzie Staś, kiedy dorośnie? Może Kurtzem z „Jądra ciemności”...

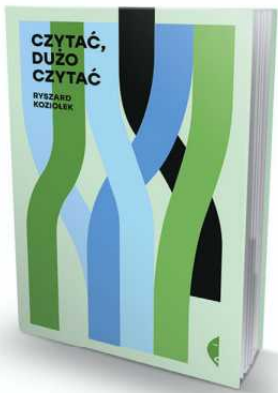
Po czwarte, ponieważ publicysta zapomniał, że książki fikcyjne nie opisują rzeczywistości, ale inscenizują ją w słowach. Powstają w ten sposób światy, w których nasza wyobraźnia lokuje emocje i władze poznawcze, abyśmy mogli „przeżywać” życie nie tylko swoje, ale też innych istnień – nie wyłącznie ludzkich – także zwierząt, roślin, a nawet rzeczy. Takie symulacyjne korzystanie z fikcji to niebywała antropologiczna cecha naszego gatunku, być może odpowiedzialna za nasz ewolucyjny sukces. Czytanie szkolne dokłada do tego kluczowy składnik. Uczymy uczniów, jak te światy są zrobione i jak na nas działają. Dawno temu pewien amerykański student na zajęciach prowadzonych przez Wayne’a Bootha protestował przeciw omawianiu powieści Marka Twaina „Przygody Hucka Finna”, ponieważ postać czarnoskórego Jima, zbiegłego niewolnika, uruchamia rasistowskie stereotypy i wyrządza krzywdę czytającym ją współcześnie czarnoskórym uczniom i studentom. Booth nie bronił powieści Twaina, wskazując na odmiennosć czasów, w których powstała. Podkreślił natomiast, że jest niezastąpionym środkiem do ćwiczenia wyobraźni moralnej poprzez krytyczne spojrzenie na własne emocje podczas lektury.

Po piąte, ponieważ Maciej Gdula zmierzając prostą drogą do stworzenia nowego „indeksu dzieł zakazanych”. Jeśli usunemy „W pustyni i w puszczy”, coż nam pozostaje zrobić z „Robinsonem Crusoe”, po-

składnikiem umiejętności czytania, której uczymy dzieci i młodzież w szkole, jest dostrzeganie w tekście tego, co nienapisane. Przydaje się to zarówno przy lekturze konwencjonalnej powieści przygodowej dla młodzieży, jak i przy czytaniu „pasków dnia”. „W pustyni i w puszczy” jest niezastąpioną szkołą takiej lektury.

Dzisiejszy pożytek z lektur literackich w rękach mądrego nauczyciela widzę więc właśnie w tym: w używaniu literatury szkolnej do rozbrajania w dzieciach i młodych ludziach lęku przed wielojęzycznym, różnorodnym światem; do wytrącania ich z poczucia bezradności lub pozornego komfortu i zachęcania, aby wyobrażali sobie, jak zajmują właściwe miejsce człowieka – na powierzchni Ziemi; na kuli, którą dzielą ze wszystkimi istotami. ●

Fragment nowej książki eseistycznej Ryszarda Koziołka. „Czytać, dużo czytać” już w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa (Czarne.com.pl) oraz w formie ebooka na Publio.pl.



Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na 3 dni (8.04-10.04)*

2.

Fragmentu książki „Jacek
Janczarski. I tak dalej, i tak dalej...”
Marianny Janczarskiej



Jacek Janczarski odszedł nagle, gdy Marianna miała sześć lat. By lepiej poznać tatę, postanawia uważnie wysłuchać jego audycji, przestudiować bogate archiwum i spotkać się z ludźmi, którzy go znali, m.in. z Arturem Andruszem, Magdą Jethon, Stefanem Friedmannem i Piotrem Fronczewskim.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Jacek Janczarski. I tak dalej, i tak dalej...”
Marianny Janczarskiej oraz treści Wyborcza.pl na 3 dni (8.04-10.04):

MJ23JJD

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przysyłamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w dniach 8-10.04
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 8.04.2023 r. do 10.04.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

POŚLUSZNY SŁUGA PAPIEŻA I DYKTATORA

Czy Pinochet wykorzystał niedoinformowanego, dobrodusznego Jana Pawła II

Mateusz Mazzini

Pielgrzymka Jana Pawła II do Chile w 1987 r. przeszła do historii jako jedna z najbardziej kontrowersyjnych w całym pontyfikacie. Do dzisiaj linia sporu w tej dyskusji dzieli nie na dwa, a nawet na trzy zwaśnione plemiona. Chilijscy lewicy – ta stara, z czasów opozycji demokratycznej, i ta nowa, która podgrzewa temat molestowania w Kościele – Wojtyłę i Pinocheta wrzuca do jednego worka. Panuje narracja, że przyjazd papieża do Chile był odwiedzina u dobrego kolegi, ideologicznego sojusznika, sponsora. Od tamtejszych marksistów czy ludzi związanych z ruchami teologii wyzwolenia można usłyszeć, że Jan Paweł II doskonale wiedział o torturach dyktatury i skandalach seksualnych w tamtejszym Kościele, ale przymykał oko, bo Pinochet sprawdzał się jako partner w globalnej krucjacie antykomunistycznej. Drugie plemię polityczne, też z korzeniami w dawnej opozycji, ale już bliższe Kościołowi, twierdzi, że zły generał wykorzystał niedoinformowanego, dobrodusznego papieża. Wedle tej wersji Wojtyła miał do Chile jechać pełen wściekłości na łamanie praw człowieka, ale też nadziei, że tragedię uda się zastopować. Pinochet okazał się jednak trudniejszym przeciwnikiem i Jan Paweł II wpadł w zasadzkę, bo wspólne zdjęcie z generałem, bliskość z nuncjuszem apostolskim w Chile Angelo Sodano i populistyczne wygłaszanie w czasie pielgrzymki kazania jeszcze bardziej legitymizowały dyktaturę, zwłaszcza poza granicami Chile.

Trzecia opowieść to hagiografia Jana Pawła II, popularna wśród części chilijskiej prawicy, ale też dzisiaj przypisuje się w niej zdolności wręcz cudowne. Katolicki internet przepelniony jest świadectwami po angielsku, włosku i hiszpańsku opisującymi pielgrzymkę jako gigantyczny sukces – polityczny i ewangelizacyjny. Opierają się na założeniu, że Jan Paweł II dyktatury nigdy nie popierał, nawet nie akceptował. Przecież już w 1979 r. w trakcie nabożeństwa na placu św. Piotra apelował o wypuszczenie więźniów politycznych w Argentynie i Chile. Potem, kiedy już w Chile się pojawił, realizował przesłanie tej wizyty, jakim było hasło „El amor es más fuerte” – miłość jest silniejsza. Pytany, czy niesie Chilijczykom demokrację, odpowiadał, że wprawdzie nie głosi ewangelii demokracji, tylko ewangelii Boga, ale ta zawiera wszystkie kwestie związane z prawami człowieka. Tak więc jeśli demokracja popiera ich ochronę, to jest integralnym elementem nauczania Kościoła. Warto pochylić się nad hierarchią wartości w tych słowach: demokracja i prawa człowieka są co najwyżej elementem religijnej układanki, nie nadrzędnym dobrem, celem samym w sobie. Możemy je więc zaakceptować, ale pod warunkiem ich kompatybilności z tym, co płynie z Kościoła – czyli z Watykanu.



Jan Paweł II po nabożeństwie pozostał w pozycji klęczącej. Wstał dopiero, kiedy przekazano mu informację, że zamieszki zostały spacyfikowane

Ta quasi-magiczna narracja zawiera jeszcze jeden ciekawy element, dotyczący spotkania papieża z Pinochetem w cztery oczy. Obaj mieli dyskutować o sytuacji w Chile i całym regionie. Według hagiografów papieża generał zapytał, dlaczego Kościół zawsze tyle mówi o demokracji i staje po jej stronie, skoro każda forma rządów jest w zasadzie tak samo dobra. Wojtyła stwierdził podobno, że Pinochet się myli, bo wszyscy ludzie mają prawo do swoich wolności, nawet jeśli czasem popełniają błędy przy korzystaniu z nich. Generała te słowa poruszyły do głębi – w końcu padły z ust przyszłego świętego.

Pod ich wpływem właśnie wtedy, w pierwszych dniach kwietnia 1987 r., podjął decyzję o natychmiastowej liberalizacji. Dalszy ciąg jest znany. Referendum, porażka Pinocheta, zwycięstwo demokracji, wzmocnienie wolnego rynku, który jest przeciwieństwem uosobieniem słów Wojtyły o powszechnym prawie do korzystania z ludzkich wolności. A na świecie – upadek imperium zła, zburzenie muru berlińskiego, koniec zimnej wojny. Demon komunizmu zostaje raz na zawsze pokonany światłością katolicyzmu, demokracji, kapitalizmu.

W nowej rzeczywistości znalazło się też miejsce dla Pinocheta, który w tej opowieści jest synem marnotrawnym.

Niewiele mówi się z kolei o tym, jak ta pielgrzymka wyglądała z perspektywy chilijskiego społeczeństwa. Zapomniane są chociażby wydarzenia z mszy w stołecznym parku O'Higginsa, gdzie zgromadziło się przeszło milion osób. Przed nabożeństwem i w jego trakcie dochodziło jednak do starć z policją. Protestowały przede wszystkim osoby związane z opozycją, rodziny ofiar domagające się stanowczego potępienia Pinocheta przez chilijskich hierarchów i Stolicę Apostolską. Niektórzy próbowali przedostać się pod ołtarz polowy, inni rzucali w policjantów i propinochetowskich dziennikarzy kamieniami i butelkami. Mundurowi odpowiedzieli armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, w końcu rozpędzili tłum szarżą konną. Rannych zostało kilkadziesiąt osób po obu stronach.

Według archiwalnych relacji prasowych papież, odprawiając mszę, zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się na tyłach parku. W czasie homilii mówił wielokrotnie, że przemoc nie jest rozwiązaniem. Po zakończeniu nabożeństwa pozostał w pozycji klęczącej, oczekując na zakończenie starć. Wstał dopiero, kiedy przekazano mu informację, że zamieszki zostały spacyfikowane.

Propagandowo na pielgrzymce zyskali obaj – i Pinochet, i Wojtyła. Dyktatorowi przysłużyła się do silniejszej legitymizacji dyktatury w oczach świata i własnego narodu. Tej pierwszej potrzebował już wtedy desperacko, po tym jak opuścił go najważniejszy sojusznik, Stany Zjednoczone. Papież z kolei po raz kolejny pokazał się jako sprawny negocjator, wytrwały polityk, znający wspólny język zarówno z przywódcami – złymi i dobrymi, jak i ze zwykłymi ludźmi. Sam nie krył zadowolenia z wyjazdu, a karność i sumienność Sodano przy organizacji pielgrzymki nie pozostała niezauważona. W 1988 r. Wojtyła ściąga go do Sekre-

• **Kwiecień 1987 r., Jan Paweł II z wizytą u Pinocheta** FOT. MARCO UGARTE / AFP / EAST NEWS

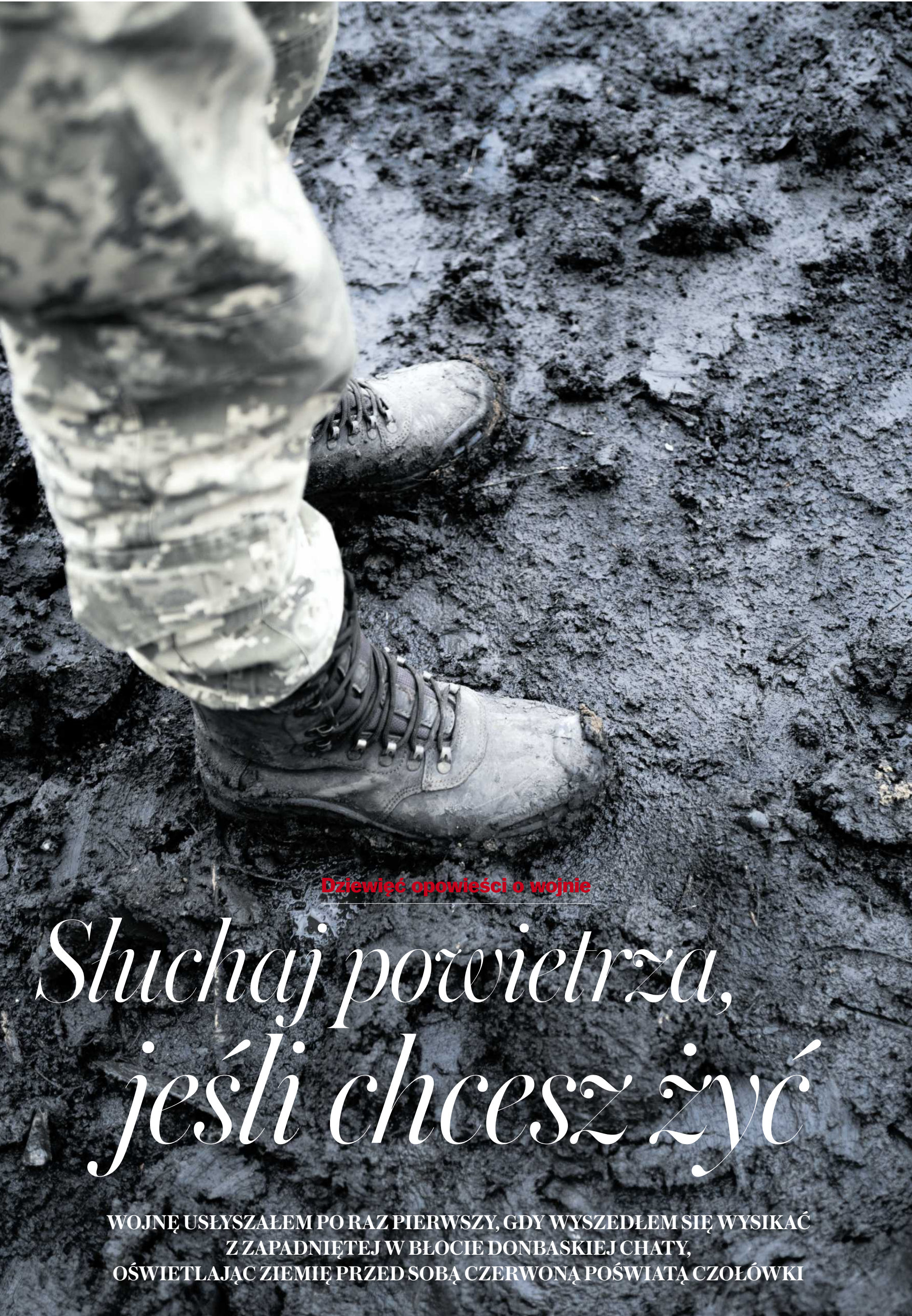
tariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, gdzie Sodano obejmuje funkcję sekretarza tak zwanej sekcji kontaktów z państwami. W dodatku staje na czele papieskiej komisji do spraw Rosji, co w tamtym okresie – końcówce lat 80., naznaczonych niepewnością wokół tego, co wydarzy się w Związku Radzieckim, jest stanowiskiem szczególnie newralgicznym i ważnym. W momencie wielkich przemian Sodano stoi więc w pierwszym szeregu. To najlepiej pokazuje zaufanie, jakim darzył go Wojtyła.

Stamtąd do przejścia władzy w całym Sekretariacie Stanu już tylko krok. Sodano staje na jego czele trzy lata później. Jan Paweł II jest coraz słabszy, schorowany. Zmienia się też świat wokół: nie ma już podziału na dobrych demokratów i złych komunistów. Coraz więcej decyzji podejmowanych jest nie przez samego Wojtyłę, ale przez Angelo Sodano i Stanisława Dziwisza. Nie przepadają za sobą, o wzajemnym szacunku nie ma mowy – arystokrata Sodano wywyższa się nad Dziwisza, ten odpowiada odcinaniem mu dostępu do papieża. Dzielą się więc obowiązkami i strefami wpływów, żeby jak najmniej wchodzić sobie w drogę. Byłemu nuncjuszowi przypada wszystko, co dzieje się na półkuli zachodniej, Dziwisz zajmuje się Wschodem. Dzięki temu Sodano może nadal obserwować wydarzenia w Chile.

Z Pinochetem pozostał w bliskich stosunkach do samej jego śmierci. Przez cały okres na stanowisku sekretarza stanu wysyłał jemu i jego żonie życzenia na Boże Narodzenie, pisanie na watykańskiej papeterii. Z kolei kiedy Pinochet zostaje zamknięty w areszcie domowym w Wielkiej Brytanii, Watykan staje w obronie byłego dyktatora. Stolica Apostolska wydaje oświadczenie, w którym daje wyraz obawom o przyszłość procesu rekonicyacyjnego w Chile w świetle aresztowania Pinocheta. Wcześniej do brytyjskiego Foreign Office list wysyłał sam Sodano. Daje do zrozumienia, że przetrzymywanie generała może zaszkodzić chilijskiej demokracji. Działania Watykanu wywołują spory szok na świecie. Amnesty International pisze swój list, tym razem do samego Jana Pawła II, nawołując, żeby papież potępił generała. Wojtyła milczy. Pod żadnym dokumentem w tej sprawie nie widnieje jego podpis. Wszystkie natomiast sygnował – jawnie, otwarcie – Angelo Sodano. ●

To fragment książki Mateusza Mazziniego „**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**”, która ukazała się 22 marca nakładem Wydawnictwa Otwartego. Tytuł i skróty od redakcji.





Dziewięć opowieści o wojnie

Słuchaj powietrza, jeśli chcesz żyć

WOJNĘ USŁYSZAŁEM PO RAZ PIERWSZY, GDY WYSZEDŁEM SIĘ WYSIKAĆ
Z ZAPADNIĘTEJ W BŁOCIE DONBASKIEJ CHATY,
OŚWIETLAJĄC ZIEMIĘ PRZED SOBĄ CZERWONĄ POŚWIATĄ CZOŁÓWKI

Ciemność jest absolutna

Myślę o tym granacie, który pomagałem przywiązać do przyczepionej do drona żyłki

TEKST I ZDJĘCIA SZCZEPAN TWARDOCH



Nienawidzę Donbasu — powiedział mi ukraiński oficer o urodzie jak z obrazu El Greca, wysoki, szczupły, śniady i z zarostem, jaki mógłby nosić hiszpański hidalgo w XVI wieku.

Stacjonował trzy kilometry od rosyjskiej granicy, był moim rówieśnikiem, pochodził z Charkowa, walczył od 2014 roku, rok spędził w niewoli, w Doniecku. Przy pasie w skórzanej kaburze nosił starego, radzieckiego stieczkina, na ramieniu amerykański karabinek M4 z tłumikiem i nowoczesnym celownikiem ACOG. Rozmawialiśmy przy obiedzie w charkowskiej restauracji.

Był doświadczonym dowódcą, w lutym 2023 r., kiedy się spotkaliśmy, dowodził oddziałem obrony terytorialnej, z którego próbował zrobić wojsko. Nie wiem, czy mu się to uda — widziałem ludzi, jakimi przyszło mu dowodzić, i za niektórymi to turlała się, jak się tu mówi o *blatnych* z więziennymi tatuażami na twarzach i palcach.

— Donbas jest jak rak. I trzeba było Donbas jak raka albo wyleczyć, albo odciąć — mówił. — Nie zrobiliśmy ani tego, ani tego. To mamy to, co mamy.

Przywiozłem mu piętnastoletniego pick-upa, którego kupiłem za pieniądze z publicznej zbiórki i wyposażylem w terenowe opony, snorkel, osłony podwozia i pomalowałem matowym, poliuretanowym lakierem w błotniście zielonym kolorze, by przynajmniej udawał wojskowy samochód.

Charków był ostatnim z przystanków mojego drugiego wyjazdu z pomocą dla ukraińskiego wojska. Oficer odwiózł mnie potem na dworzec, gdzie wsiadłem do jadącego 22 godziny pociągu do Przemyśla, i wróciłem do mojego zwyczajnego życia.

— A jak już odbijemy cały Donbas i Ługańszczyznę, to co wtedy? — mówił dalej w knajpie, w której nie sprzedano by mu piwa, bo żołnierzom alkoholu się w Ukrainie nie sprzedaje. Mnie sprzedano dopiero, gdy wylegitymowałem się polskim paszportem, „taktyczne” ubrania w kolorze coyote brown wystarczyły, by wzbudzić obawy kelnerki.

— Przecież tamtejsze dzieci, co miały po dziesięć lat, jak zaczęła się wojna, dziś są już dorosłe. I są wychowane w nienawiści do nas, Ukraińców, i do naszego państwa. Jak już odbijemy cały Donbas i Ługańszczyznę, to trzeba je będzie odgrodzić wewnętrzną granicą. Żeby się ten rak na całą Ukrainę nie rozlał.

Był zmęczony, gdy to mówił. Nie spotkałem na froncie nikogo, kto nie byłby zmęczony tym specjalnym rodzajem zmęczenia. Nazwałbym je zmęczeniem śmiertelnym, gdyby to nie była zbyt prosta asocjacja, wojna i śmierć, ale gdzieś blisko tego to wyczerpanie na pewno było. Zmęczenie brakiem snu, stresem, strachem, niemijającym nigdy napięciem, zmęczenie tym, ilu straciło się braci, przyjaciół, towarzyszy. Wynika z tego zmęczenia — przynajmniej u tych ukraińskich

żołnierzy, których poznałem — swoista rezygnacja z nadziei na to, że będzie lepiej, połączona jednocześnie z niesłabnącym przekonaniem, że lepiej będzie na pewno. Byłe do zwycięstwa. Nadzieja na zwycięstwo Ukrainy łączy się u nich z pogodną akceptacją faktu, iż ceną za to zwycięstwo będzie ich ostateczna osobista klęska. Wielu przekonanych jest, że zwycięstwa po prostu nie dożyją, i frontowa arytmetyka jakoś uzasadnia to fatalistyczne przekonanie. Wielu zdaje sobie sprawę z tego, że rany na ciele i duszy nigdy się nie zabliznią, wielu zdaje sobie sprawę z ceny, jaką zapłacą za wojnę, wygraną czy nie, a jednocześnie wszyscy w bezwzględne zwycięstwo nawet nie tyle co wierzą, co są o nim przekonani.

Oficer z obrazu El Greca miał to w sobie wszystko naraz. Polubiłem go, bo nie miał wojskowego sznytu, chociaż pochodził z wojskowej rodziny, jego ojciec był pułkownikiem w radzieckim wojsku, on sam urodził się w radzieckiej bazie wojskowej pod Szczecinem. Od dziecka był rosyjskojęzyczny, po ukraińsku zaczął mówić dopiero w 2014 roku, gdy wybuchła wojna. W niewoli napisał tomik wierszy. Mówił, że to nic takiego, po prostu takie myśli bardziej nawet niż wiersze. Cały czas czekam, aż mi je przyśle na WhatsAppa, jak obiecał.

Uścisnęliśmy się przed charkowskim dworcem, ja pociągiem wróciłem do domu, a on wrócił walczyć. W pociągu spotkałem pięćdziesięcioletniego weterana Afganistanu, teraz walczącego w szeregach ZSU przeciwko dawnym towarzyszom broni. Powiedział mi, że przy tej wojnie Afganistan był jak wakacje. Ale musiał pójść, bo syn też w ZSU. Miał drżące dłonie i pozacinaną przy gołębieniu twarz.

Wojna rozgościła się w mojej wyobraźni, w mojej głowie i w moim sercu i nie chce ich opuścić. Być może zawsze w nich była.



Wojnę usłyszałem po raz pierwszy, gdy miesiąc wcześniej wyszedłem z zapadniętej w błocie donbaskiej chaty się wysikać, oświetlając ziemię przed sobą czerwoną poświatą czołówki. Usłyszałem ją w dalekim, a potem coraz bliższym grzmocie dział i gdy toczył się przez nieprzyzwoicie rozgwieżdżone w ciemnościach niebo nad Donbasem.

Była to pierwsza chata, w jakiej spałem w Donbasie, i była zbyt mała, bym mógł traktować ją poważnie. Wrosła w czarne błoto głęboko i krzywo, parszywe wnętrza oświetlały dwie słabe żarówki, drzwi zamykały się na skobel.

W chacie było brudno i zimno. Chwilowo był też prąd. Było też dwóch ukraińskich żołnierzy, i obaj nazywali się Dmytro, była w niej Królowa Donbasu i byłem też ja, poruszony, zdziwiony, napięty jak luk, z którego lucznik nie wypuści strzały.



• Żołnierz
72. Brygady
w okopach

Nie było w chacie wody ani toalety, prawie nie było też mebli, były za to rozmowy nad butelką whisky, pozbawione większego sensu, a prowadzone mieszanym, polsko-ukraińskim narzeczem, którego dopiero zaczynałem się uczyć, było moje napięcie, którego się wstydzilem i które bez powodzenia próbowałem ukryć, były pozy Królowej Donbasu, których się nie wstydziła, i było jeszcze wielkie zmęczenie żołnierzy. Wszyscy siedzieliśmy z telefonami w dłoniach, bo właśnie udało się nam uruchomić Starlinka. Whisky piliśmy ze znalezionych w izbie obok niedużych słoików, które komisyjnie wymyliśmy wodą bez żadnych detergentów. Spłynęła szara.

Wypiłem trochę, popijałem wodą z butelki, w końcu wyszedłem się wysikać i wtedy usłyszałem wojnę. Nie umiałem odróżniać, czy *arta pryhodyt'* czy *wyhodyt'*, jak określa się w Ukrainie to, czy strzelają w nas, czy raczej nasi w nich, ale grzmiało i grzmiało potężnie, i niebo na widnokręgu pobłyskiwało, podświetlane od dołu niskie chmury rozpalaly się w żółtych i różowych plamach, poprzedzających grzmoty.

Na zewnątrz wyszli Dmytrowie, lampki na ich czołach jak samochodowe światła stopu we mgle. Zapiałem rozporek. Żołnierze zapalili. Słuchaliśmy razem powietrza, oni wiedzieli, jak słuchać, ja nie.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem tę ni to radę, ni to pozdrowienie — „słuchaj powietrza” — myślałem, że to poetycka metafora. Dopiero potem zrozumiałem, że nie ma w tym wcale poezji — powietrza się słucha, żeby wiedzieć, co, skąd i dokąd leci. Powietrza się słucha, żeby żyć.

Jednym z Dmytrów był trzydziestopięcioletni żołnierz piechoty morskiej, kiedyś ochotnik z Batalionu Donbas, z 2014 roku. Spędził 4 miesiące w rosyjskiej niewoli, do której dostał się w Iłowajsku, od roku znowu był na wojnie. Zapytał mnie wtedy po polsku, czy już nienawidzę Donbasu. Zaprzeczyłem, bez przekonania.

Wróciliśmy do środka i wtedy przyszedł właściciel chaty, ponury watnik, któremu Dmytro płacił, by chatę trzymał w dyspozycji dla takich jak nasz noclegów. Watnik w ręce niósł dziesięciolitrowy baniak wody, jeden z żołnierzy poprosił go, żeby rozpalil w piecu, watnik odmówił pomrukiem i poszedł.

— Nienawidzi Ukraińców, ale pieniądze za chatę wziął — powiedział Dmytro.

Potem ich artyleria zamilkła, potem zamilkła ukraińska, o której szybko nauczyłem się myśleć „nasza”, bo jakbym miał myśleć inaczej, skoro jedna strzela w moją stronę, a druga nie, i zrozumiałem znaczenie ciszy, a potem zapadła się pode mną przegniła podłoga pamiętająca pewnie cara Mikołaja i prawie wpadłem do piwnicy, było wiele śmiechu, że to niby watnik zastawił na nas pułapkę, potem położyłem się spać na deskach w drugiej izbie, szczególnie zapinając śpiwór, i, zasypiając, słuchałem artylerii.

— To nasi — mówiłem sam sobie.
Czy mam prawo tak myśleć? Nasi?
Czy mam powód tak myśleć? Nie wiem.

• • •

Innym razem sikałem u pilotów dronów

w 72. brygadzie. Mieszkali we dwóch w ziemnym bunkrze, nakrytym sklepieniem z drewnianych bali. Do środka prowadził niedługi korytarz z okopu, a samo pomieszczenie miało dwa metry wysokości i powierzchnię może sześciu metrów kwadratowych. Wyszedłem się wysikać właśnie, zmierzchało i wtedy w okolicę bunkra zaczął strzelać czołg. Jeden z żołnierzy wychylił się i krzyczał do mnie, idioto, czy nie widzę, że „*pidary po nas chujarit*”, więc równie nerwowo musiałem skończyć i do bunkra wróciłem z obsikanymi nogawkami.

Nic nie mówiłem, ale raziło mnie jakoś to powszechne określanie Rosjan słowem „*pidary*”, czyli „pedały” — tylko do momentu, w którym okazało się, że używają go również służący w ZSU wyoutowani geje. Wtedy przestało mi przeszkadzać.

Czołg walił po nas jeszcze dwie godziny, póki nie przepędziła go nasza artyleria, więc siedziałem w bunkrze, bo nie można było wyjść. Czulem się dość przytłoczony klaustrofobicznym pomieszczeniem, pełnym mrugających w ładowarkach baterii od mavików, granatów termobarycznych, drukowanych na drukarce 3D zawleczkach łamiących się po uderzeniu zwolnionego z drona granatu o ziemię. Na wiszący na ścianie karabinek AK-74 pilot przyklepiał kolorowe karteczki z notatkami.

Czołg walił. Przy wystrzałach ziemia drżała i osypywała się ze ścian i sufitu. Czulem się trochę nieswojo i zapytałem chłopaków, jak długo już tu stacjonują. Odpowiedzieli, że od pięciu miesięcy. Śpią, pracują, jedzą i żyją pod ziemią, czteryśta metrów od rosyjskich pozycji bez przerwy od pięciu miesięcy. Raz na tydzień wyjeżdżają na zmianę na tyły, wziąć prysznic. Latryna to przykryta siatką maskującą dziura w ziemi. Jedzenie dowożą im, kiedy jest spokojniej. Mają internet — oczywiście ze Starlinka, jak wszędzie — więc rozrywek im, jak mówili, śmiejąc się, nie brakuje.

Gdy czołg w końcu przestał strzelać, pomogłem zamocować pod drona termobaryczny granat, a potem patrzyłem na ekranie, jak pilot wrzuca go do rosyjskiego okopu, otrzymawszy taki rozkaz na Signalu. Cała ukraińska armia, mówił, działa i komunikuje się wyłącznie dzięki starlinkom i Signalowi, a ja myślałem o tym granacie, który pomagałem przywiązać do przyczepionej do drona żyłki.

Pomyślałem, że bezstronny dziennikarz straciłby wszelką wiarygodność, gdyby pomagał mocować do drona granat, który następnie wpadnie do okopu przeciwnika, ale ja na szczęście nie jestem dziennikarzem, nie jestem bezstronny, bo jestem po stronie napadniętych, nie napadających, i nie obchodzi mnie wiarygodność. Jestem pisarzem.

Pilot dał mi na pamiątkę naszywkę z jego pseudonimem i podpisem „Army of Drones”. Wyjechałem, gdy już było ciemno, nie bez ulgi. Pilot i jego pomocnik zostali w swojej norze.

...

Trzech rzeczy nie brakuje na tej wojnie: ciemności, błota i plotek.

Gradient ciemności rośnie, gdy zbliżam się do zera, jak Ukraińcy określają ostatnią linię obrony, tę w bezpośredniej styczności z liniami rosyjskimi. Ciemności nie rozświetlają ani uliczne latarnie, ani pomarańczowe prostokąty okien, ten starożytny, przytulny znak, że oto ktoś tu mieszka, człowiek, że ma w swoim mieszkaniu światło i ciepło. Okna chat, w których na tyłach frontu stacjonuje wojsko, zabite są deskami, od zewnątrz zawsze, od środka czasem, w chatach ciemno jest nawet w ciągu dnia, tak trzeba, bo przy ostrzale artyleryjskim i rakietowym wpadający przez okna podmuch z odłamków szyb zabija równie skutecznie, co szrapnele. Kiedy więc wyjść z chaty, ciemność jest absolutna, jeśli księżyc jest w nowiu. Nie widać wyciągniętej przed oczy dłoni, nie widać nic, tylko gwiazdy, takie, jakich zalanymi światłem nocami świata pogrążonego w pokoju ujrzyć nie sposób. Ciemność przyfrontową przecinają więc tylko białe i czerwone czołówki, przygaszone, ledwie widoczne światła maskowania tych wojskowych samochodów, których kierowcy nie mają noktowizorów, i gwiazdy, i rozświetlające horyzont eksplozje. Czołgi i cała ciężka technika porusza się nocami bez żadnych świateł, z oczywistych powodów, i to też coś, czego nie przeżyłem nigdy wcześniej: stać przy drodze w ciemnościach gęstych jak błoto i słyszeć narastający wraz z dudnieniem ziemi hurgot gąsienic, odskoczyć, włączyć czerwone światło czołówki i w jego ciemnej poświacie zobaczyć obłożony kostkami pancerza reaktywnego ukraiński T-72, jeden, a za nim drugi, jak wałą przez błoto na pozycję, a z wysokości władu w wieży odwraca się do mnie i patrzy zielonymi oczami nahlémowego noktowizora dowódca czołgu. Unoszę rękę w niemym pozdrowieniu, odpowiada mi może tym samym, ale już znika w błotnistej ciemności, za nim drugi, a za nimi znika drżenie ziemi i zostaje tylko błoto.

Błoto Donbasu jest gęste, śliskie i lepkie. Ziemia zamienia się weń, gdy rozmarza, by potem, w końcu, wysuszona słońcem, w lipcu zamienić się podobno w pył, którego nigdy nie widziałem, ale o którym czytałem w książkach o wszystkich wojnach, jakie się tutaj, na zachodnim krańcu Wielkiego Stepu, na Stepie Pontyjskim toczyły przez tysiąclecia. Błoto Donbasu oblepia buty rosnącą z każdym krokiem bułą, na której nie sposób stabilnie stanąć. Widziałem ukraiński transporter opancerzony MTLB wyciągający z błota zakopanego w nim nissana pathfindera – oblepione błotem koła samochodu nie chciały się nawet kręcić, ciężkie auto ślizgało się w tej mazi jak sanie.

Miesiąc później w tym samym miejscu w błocie utknął pick-up, którym wracałem z pozycji pilotów dronów na tyły. Kierowca próbował auto rozbujać, by wyjechać z głębokich, rozplywających się kolein, ja pomagałem, pchając, spod maski, z przegrzanego silnika walił dym, w czerwonym świetle czołówki wyglądający tak efekciarsko, że aż teatralnie, nad nami dudniły moździerz, dość daleko, a ja, zapadając się w błocie po kolana i wyżej, myślałem tylko o tym, czy zdążymy się wykopać, zanim znajdzie nas rosyjski dron z termowizją – w kamerze termowizyjnej jesteśmy przecież widoczni jak na dłoni, zimne błoto, a na nim gorejąca plama rozgrzanego, wyjącego na wysokich obrotach silnika i ja również ciepły.

Zdążyliśmy. Mokrymi chusteczkami do higieny intymnej – bo takie leżały na desce rozdzielczej auta – próbowałem oczyścić ręce, a kierowca, prowadząc pick-upa jedną ręką w najtrudniejszym z możliwych terenów i nie przestając palić ani



• Świątynia w Bohorodcznem

na chwilę, opowiadał o tym, jak służył w innej jednostce kiedyś i jaki głupi tam był kombat, czyli dowódca batalionu.

Bo tego też na tej wojnie nigdy nie braknie, plotek. Jeśli wojsko nie śpi, nie je i nie walczy, to plotkuje o sobie nawzajem. Opowiada, kto z kim służył, jak się sprawował, kto jakim jest dowódcą, i budowane w tych plotkach reputacje zdawały mi się dla żołnierzy ważniejsze niż stopnie oficjalnej hierarchii. Na froncie zresztą nikt nie nosi oznaczeń stopnia na mundurze, nikt nikomu nie salutuje, nie słyszałem, aby ktokolwiek też zwracał się do kogokolwiek, używając stopnia. Szacunek okazuje się, zwracając się do starszych wiekiem lub rangą imieniem i otaczaniem, innych oznak hierarchii nie widziałem. Plotki i podtrzymywane dzięki nim relacje międzyludzkie mogą zdecydować o tym, kto pierwszy dostanie wsparcie artyleryjskie, zachodni sprzęt, zapasy albo doprosi się o porażenie jakiejś lokalizacji salwą z himarsa.

Plotki budują też reputacje formacji i jednostek. Pewien żołnierz zmęczony tak, że aż szarobiał na twarzy, który z racji pełnionej funkcji latał do oblężonego Mariupola, powiedział mi, że w Mariupolu widział u azowców działające lodówki, pełne mięsa i innego jedzenia, podczas gdy inni żołnierze i cywile głodowali. Żołnierz ten stracił niedawno kilku przyjaciół, czekał go też zaraz telefon do żony jednego z nich i w ogóle nie był w najlepszym stanie psychicznym. Nie próbowałem weryfikować tej opowieści, bo nie interesują mnie fakty, interesują mnie ludzie.

Wysoki, cieszący się znakomitą reputacją zawodowy oficer mówił mi z kolei, że w lutym i marcu 2022 r. żadnych rosyjskich dywersantów w Kijowie nie było, a wszystkie strzelaniny, które w mieście się wtedy wydarzały, wynikały z tego, że uzbrojona Obrona Terytorialna nie odróżniała pojazdów ukraińskich od rosyjskich i strzelała do wszystkiego, co wydawało jej się wartym tego celem, w tym do siebie nawzajem i do oddziałów ZSU.

Kiedy dziś, w rocznicę wojny, weterani Obrony Terytorialnej chwalą się zniszczeniem rosyjskich czołgów na ulicach Obolonia, prawobrzeżnej dzielnicy Kijowa, to wściekli żołnierze ZSU odpowiadają im, że tak, zniszczyliście, strzelaliście, ale do swoich. I proszą, aby wszystkie te przechwałki dokumentować – po wojnie będzie z tego materiał dla prokuratora.

— ZSU żadnego Moskala do Kijowa nie przepuściło. To wszystko jebana Terobrona. Ale tym zajmijmy się po wojnie – mówił spokojnie, z uśmiechem zawodowy oficer.

• Bohorodczne



...

Wojna władała moją wyobraźnią, od kiedy byłem dzieckiem. Jako dziesięcioletek uwielbiałem książki o czołgach i okrętach wojennych, fascynowały mnie techniczne szczegóły ich konstrukcji, a jednocześnie nigdy nie chciałem być żołnierzem, bo do hierarchicznych struktur wstręt żywiłem zawsze, brzydząc się nawet harcerstwem.

A jednak wojna nie dawała mi spokoju, fascynowała mnie i nurtowała również jako człowieka dorosłego, była stałym tematem moich lektur, mojej pracy intelektualnej i moich powieści i kiedy przyszła nagle tak blisko — to byłem na nią jakby gotowy, jakbym całe życie się do niej przygotowywał, i łatwo mi tak myśleć, bo na mój dom nie spadają bomby.

Piszę o tym, bo, nie kryjąc się przecież od samego początku pełnoskalowej wojny z bezwarunkowym poparciem dla Ukrainy w jej wysiłku wojennym, zastanawiam się jednak, dlaczego rosyjska napaść na Ukrainę jest dla mnie tak ważna, dlaczego czuję, że to moja wojna, chociaż Ukraina nigdy mnie nie fascynowała, co najwyżej budziła ostrożną sympatię na gruncie wschodnioeuropejskiej wspólnoty doświadczeń historycznych czy wypływającego z niej poczucia wschodnioeuropejskiej tożsamości.

O własnym emocjonalnym zaangażowaniu w tę wojnę myślałem, chodząc ulicami Bohorodycznego, miejscowości na północ od Słowiańska, odbitej przez Ukraińców we wrześniu, kilka razy przechodzącej z rąk do rąk i ciągle opuszczonej, zamieszkałej dziś jedynie przez dokarmiane przez wolontariuszy psy. Myślałem o tym, głęboko poruszony tym, jak kompletnie zawało się tak podobne do mojego życia mieszkańców tych domów z tutejszej klasy średniej: samochód w garażu, przywalony stropem domu, którego połowy nie ma po trafieniu moździerzowym pociskiem, spalony bojowy wóz piechoty w ogrodzie, rozjechany czołgiem samochód, spalona cerkiew, dziecięcy pokój z obrazkiem na ścianie, słoik kiszonych ogórków na półce, rosyjskie mundury i pudelka po jedzeniu w błocie, graffiti „Путин бог мира” na ścianie w czyimś domu, na wpół zamalowane, podobno ręką staruszki, której na „мира” zabrakło już farby, ale Putina zamalowała.

Myślałem więc, chodząc po ulicach Bohorodycznego o tym, że podobnie musiały wyglądać górnośląskie Przyszowice przez jakiś czas po 27 stycznia 1945 r. Że to, co się wtedy w Przyszowicach stało, dzieje się ponownie, w Buczy, Irpiniu i wszędzie tam, gdzie pojawił się rosyjski żołnierz, tak samo dziś, jak prawie osiemdziesiąt lat temu.

Dlaczego piszę o Przyszowicach i wydarzeniach sprzed nieomalże 80 lat? Zbrodnie, jakich Armia Czerwona dopuściła się w Przyszowicach 27 stycznia 1945 r., dotknęły bezpośrednio kobiet z mojej rodziny, mojej babci i mojej prababci. Czy w szeregach tej armii byli Ukraińcy? Bez wątplenia, jednak była to ar-

mia rosyjska, walcząca dla Rosji i w imię Rosji, nawet jeśli ówczesne rosyjskie imperium nazywało się Związkiem Radzieckim. Mojego dziadka nie było wtedy na miejscu, przymusowo wcielony do Wehrmachtu miał to szczęście, że znalazł się na froncie zachodnim i dostał do amerykańskiej niewoli. Z rosyjskiej raczej by nie wrócił, jak nie wrócili jego kuzyni i szkolni koledzy.

Nikt za te zbrodnie nie poniósł kary, nikt nie wziął na siebie odpowiedzialności ani nikomu nawet tej odpowiedzialności nie przypisano chociażby na poziomie moralnym. Zostały zbiorowe groby, zwykle nieopisane, zgwałcone kobiety, dzieci z tych gwałtów, mężczyźni wywiezieni na lata do kopalń Doniecka albo Magadanu. I to samo dzieje się teraz, tylko tysiąc pięćset kilometrów dalej na wschód. Mam więc jakieś niezalatwione, rodzinne sprawy z tym krwawym imperium. Sprawy te — tak czuję — załatwiają teraz Siły Zbrojne Ukrainy, walcząc o swoją wolność i swoje życie, i prawo niespoczęcia w zbiorowym grobie, niebycia zgwałconym albo zgwałconą, ale walcząc też przy okazji o to, żeby to moi synowie nie musieli walczyć.

Moja rodzinna pamięć jest pamięcią bezradności wobec rosyjskiego okrucieństwa.

Czy to odbiera mi wiarygodność?

...

Kolejna chata, w której spałem, była dużo większa od tej, w której zarwała się pode mną podłoga. Składała się z licznych przybudówek i sieni, których topografia wewnątrz nijak nie przystawała do bryły, jaką widziałem z zewnątrz, rozkraczała się w błocie labiryntem niezrozumiałych załomów.

W chacie mieszkał pluton żołnierzy o specjalizacji przeciwpancernej. Pluton mieszkał w niej od dawna, dlatego chata miała łazienkę z toaletą, którą od kuchni zamiast drzwi oddzielała gruba kotara, nieczęsty tu luksus. W kuchni posiłki dla całego plutonu przygotowywał żołnierz gruby i wielki, musiał ważyć ze 180 kilogramów, i pomyślałem, że tym różni się prawda od fikcji, że gdybym w fikcyjnej opowieści napisał, że kucharz jest gruby i wielki, to uznano by to za ilustracyjną przesadę i banał. Siekający warzywa na zupę *chef* w mundurze zdawał się zupełnie banalną koniunkcją swojej tuszy i funkcji nie przejmować. Mniej banalne było to, że na kucharza awansował dopiero po tym, jak został ciężko ranny, wcześniej był jednym z najbardziej bojowych żołnierzy w plutonie, w czym tusza najwyraźniej mu nie przeszkadzała.

Izby wypełniono piętrowymi pryczami, po jednej na dwóch żołnierzy, bo połowa plutonu zawsze jest na pozycjach. Między pryczami na gwoździach wbitych w drewniane ściany wisiały mundury, broń, kamizelki kuloodporne, zwane tu bronikami, helmy i wszystko inne. Na podłodze leżały materace, a w wą-

• Bohorodyczne



skich przejściach między nimi wiły się kable przedłużaczy i splątane ładowarki od telefonów i komputerów, mrugały wesoło światelka ładujących się powerbanków i w stosach wałały się dziesiątki par plastikowych kłapek, w których chodzą tu wszyscy, od pułkownika po szeregowego, gdy tylko przekroczą próg jakiegokolwiek domostwa.

Na jednym z materaców żołnierz leżał na brzuchu i grał na gamingowym laptopie w Battlefield 1, zabijał wirtualnych wrogów i nie chciał wiedzieć o świecie, odcinając się od niego słuchawkami i ekranem. Inny na pryczy rozmawiał na Skype z dziewczyną.

Chata stała w jednej ze wsi nieopodal Wuhłedaru. Stacjonujący w niej pluton pod Wuhłedarem miał swoje pozycje.

Plutonem dowodził żołnierz legenda, noszący pseudonim, powiedzmy, Kozak. W rzeczywistości pseudonim ten brzmiał inaczej, ale z oczywistych względów tutaj nasz dowódca będzie Kozakiem.

Kozak więc był zawodowym żołnierzem legendą, wslawionym na dziesiątkach akcji, walczącym od 2014 roku. Każdy chciał służyć u Kozaka. Kilka miesięcy temu na pozycjach Kozak został jednak ranny i stracił dwóch przyjaciół i wszystko się zmieniło. Strzelił do nich czołg – obaj polegli podobno nie uronili ani kropli krwi, zabiła ich fala uderzeniowa, a Kozak przeżył, lecz coś chyba w nim umarło i nie chce już walczyć.

Kozak jako dowódca ma swój pokój w chacie, w której stacjonuje pluton, i niechętnie go opuszcza. Na pozycje nie wychodzi już wcale. Co robi w pokoju? Nie wiadomo. Podobno głównie ogląda porno, ale to tylko żołnierskie plotki. Może płacze? Może nie robi nic? Może po prostu nie chce umrzeć? A może chce, tylko nie wie jak? Nie wiadomo.

Wiadomo jednak, że nie dowodzi plutonem, w którym poza nim jest czterech doświadczonych żołnierzy, reszta to zaś, mówiąc najdelikatniej, amatorzy w wojennym rzemiośle. Gdy jednemu z nich pokazałem, jak zamontować kolimator na karabinku, okazało się, że nie potrafi poskładać rozłożonego kałasznikowa. Zrobiłem to za niego. Zapytałem, jak długo jest w wojsku – powiedział, że pół roku. Nie potrafiłem uwierzyć, że w tym czasie nie nauczył się obsługi karabinka. Wzruszył ramionami i powiedział, że nie było rozkazu. Kolimatora nie dostał.

Na kwatery walczącego pod Wuhłedarem plutonu przywieźliśmy amerykańskie pokrywy komory zamkowej z integralną szyną, montowane zamiast zwykłej pokrywy komory karabinka AKM lub AK-74, które wymagają jednak demontażu standardowej szczerbinki – zamiast tego na końcu tej nowej pokrywy montuje się przeziernik. Cały wieczór upłynął przy stole na dyskusjach: czy brak mechanicznych przyrządów celowniczych jest akceptowalny na polu walki, skoro nowoczesne kolimatory działają tak długo na jednej baterii, czy przeziernik lepszy jest od szczerbinki, czy lepiej celować jednym okiem, czy z oboma otwartymi?

Tę ostatnią kwestię wyjaśnił jeden z czterech doświadczonych żołnierzy, wielki chłop po czterdziestce, o łysej głowie i tubalnym głosie, w cywilu kierowca tira:

– Tyle gadacie, czy lepiej zamknąć to jedno oko, czy mieć oba otwarte, a ja, jak strzelam, to po prostu zamykam oba, zwłaszcza jak do nas *pidary* strzelają. *Somali style*.

Wszyscy się śmiali, ale wszyscy wiedzieli, że to prawda.

Montażem kolimatora na karabinku najbardziej zainteresowany był młody sierżant, po ukraińsku starszina, rodem z Lisiczańska. Miał dwadzieścia siedem lat, twarz jasnowłosego amorka, roześmiane, niebieskie oczy i mocne, wyrzeźbione ćwiczeniami ciało. Ćwiczeń nie zaniedbywał również na froncie – w donbaskim błocie przed chatą leżały hantle i na miejscu wykonane sztangi.

Nazywał się tak, jak się nazywał, pseudonim nosił, jaki nosił, tutaj zaś będzie Maks. Maks od czasu abdykacji Kozaka był faktycznym dowódcą plutonu i starsi odeni o dwadzieścia, trzydzieści i więcej lat żołnierze do Maksa zwracali się o radę i wsparcie. Na pozycjach, kiedy tylko Rosjanie zaczynali strzelać, ktoś z plutonu biegł budzić Maksa. — Maks, Maks, *pidary* jebią po nas, wstawaj, musisz do nich strzelać! — krzyczeli.

— A u was, *bliad*’, automatów nie ma? — pieklił się Maks, po czym wychodził i strzelał do Rosjan, a reszta plutonu czekała, aż ich wszystkich zabije albo przegoni.

Cieszył się jak dziecko, gdy w końcu zamontował na swojej broni szynę i kolimator, które mu przywiozłem. Dla dwóch i pół tysiąca ludzi, którzy wpłacili na moją zbiórkę na samochody i sprzęt dla ukraińskich żołnierzy, nagrałem krótkie wideo. Maks mówi na nim, że dziękuje pięknie za kolimator, dzięki któremu łatwiej będzie mu zabijać Rosjan, którzy napadli na jego ojczyznę.

Wojsko było dla niego wszystkim. Mówić po ukraińsku Maks zaczął dopiero w wojsku, jak wielu, jeśli nie większość żołnierzy, z którymi miałem okazję w Donbasie rozmawiać. Gdy wstąpił do ZSU, matka powiedziała mu, że nie ma już syna, bo ona banderowca nie rodziła. Może dlatego wojsko dla Maksa było wszystkim.

Jednak jak daleko można zejść w wojsku, służąc w plutonie pozbawionym dowódcy?

Maksem jednak zainteresował się specnaz i Maks chciał w tym specnazie służyć. Trudno było wyobrazić sobie lepszego kandydata – ostrzelany, doświadczony, młody, sprawny fizycznie żołnierz.

Gdy siedzieliśmy przy stole i rozmawialiśmy o kolimatorach, Kozak wyszedł ze swojego pokoju, odziany tylko w ciemne, termiczne kalesony i koszulkę i, patrząc na rozłożony na blacie sprzęt, zapytał, co mu przywieźliśmy.

— Nic. Do walenia konia niepotrzebny kolimator — odpowiedziała Królowa Donbasu.

Wtedy Kozak się obraził i widząc, w jakiej zażyłości Maks pozostaje z Królową, kazał mu pisać długi raport. Żeby Maks z nami przy stole nie siedział. Maksowi pisanie raportów szło o wiele gorzej niż zabijanie Rosjan, ale co było robić, poszedł pisać i stukał w klawiaturę dwoma palcami, zaś Kozak wrócił do swojego pokoju, zamykając drzwi na skobel.

Maks znad komputera zapytał, czy chciałbym następnego dnia z nimi postrzelać, odparłem, że nie trzeba, nastrzelałem się już w życiu, wtedy Maks chytrze za-



• **Żołnierze 72. Brygady**

pytał, czy strzelałem z RPG. Odparłem, że nie. A chciałbyś, pytał dalej? Pewnie, że chciałem.

Niech już Maks idzie do tego specnazu, marnuje się tutaj – powiedziała Królowa Donbasu, przerywając nasze umawianie się na strzelanie z RPG.

Marnuje się, ale z kim my zostaniemy, jak Maksa nie będzie? – zapytał retorycznie były kierowca tira, mierząc w ścianę z karabinka z nowym kolimatorem, mrużąc przy tym tylko jedno oko. Z Kozakiem? On już jest w środku martwy i pożytku dla plutonu z niego tyle, co z trupa.

Trzeba z tym zrobić porządek – powiedziała Królowa Donbasu. Wtedy artyleria zaczęła znowu grzmieć, nikt jednak nie odrywał się od rozmów, uspokajająco powtarzając — *wyhodyt*’, to nasi. Po chwili bliska eksplozja poprzedziła kilkanaście mniejszych, ściany chaty zatrzęsły się, posypało się z powały.

— Kasetki! Nie nasi! — zaśmiali się żołnierze, ale wyszli przed dom posłuchać powietrza, czy coś jeszcze nie leci. Wrócili po chwili spokojni.

Maks ciągle pisał raport.



Królowej Donbasu sam wymyśliłem ten przydomek. Nikt jej tak nie nazywa, wszyscy zwracają się do niej po imieniu. Ma trzydzieści lat, pochodzi z jednego z krajów Europy Wschodniej, do Ukrainy przyjechała w 2014 roku, na Euromajdan, i nie wiedziała o Ukrainie nic. Mówiła mi, że wysiadła z pociągu we Lwowie, bo myślała, że to Lwów jest stolicą.

Po dziewięciu latach wojny Królowa Donbasu mieszka w Kijowie, mówi po ukraińsku i Ukraina i wojna są, zdaje mi się, całym jej życiem. Gdy w 2014 zaczęła się wojna w Donbasie, była korespondentką wojenną. Potem dziennikarstwem zajmowała się coraz mniej i mniej. Została w Ukrainie z powodów, o których tu nie będę pisał, ale były to powody ważniejsze niż jakiekolwiek inne.

Teraz na pełen etat zajmuje się wsparciem wojennego wysiłku ukraińskiego wojska. Żyje wśród żołnierzy i dla żołnierzy, mówi często, że nie lubi kobiet, a mówi w ogóle dużo, jakby cisza była dla niej zabójcza jak bezruch dla rekina, jakby tylko mówiąc, mogła oddychać.

Język ma wojskowy – nie prosi, nie proponuje, tylko wydaje obcesowe polecenia i oczekuje ich wykonania. Posługuje się wojskowym slangiem, plus, plus-plus,



minus — to wojskowe potwierdzenia i zaprzeczenia — zero-siedem, gruz dwieście, trzysta. Gdy działa, organizuje, jej zdania są krótkie, precyzyjne, jeśli warunkowe, to według jasnego algorytmu. Jest inteligentna, skuteczna, skupiona na wyniku. Nie traci zimnej krwi. Prości żołnierze słuchają jej poleceń tak, jakby była oficerem. Cywilów nie szanuje – kiedy mówi o „cywilach”, to siebie samą wyłącza z tego zbioru.

Któregoś wieczora zareagował na to pewien major, gdy mówiła, że z dwoma cywilami (w tym ze mną) gdzieś tam nie pojedzie.

— A ty to niby nie cywil? – zaśmiał się.

— Ja? Ja to co innego – odpowiedziała Królowa Donbasu, a majorowi zrobiło się głupio, bo właśnie przywiozłem mu trzy prądotwórcze agregaty, w tym jeden potężny, dieslowski, o mocy 11 kilowatów, i nie trafiłby do niego, gdyby nie ona.

Tak, Królowa Donbasu to co innego. W wojsku zna wszystkich i wszyscy ją znają. Rozmawia z pułkownikami i majorami jak z równymi sobie, niektórym żołnierzom towarzyszy na wojennej drodze, od kiedy byli niepełnoletni, a teraz mają po dwadzieścia kilka lat i dalej walczą. Napisałem wcześniej, że mieszka w Kijowie, ale tak naprawdę w Kijowie tylko wynajmuje mieszkanie, a mieszka w Donbasie, z wojskiem, wszędzie przyjmowana jak królowa właśnie.

W czasach wojen napoleońskich markietanki, wbrew popularnym przesądom, bynajmniej nie zajmowały się prostytutką, lecz odpowiedzialne były w dużej mierze za zaopatrzenie prostych wojaków. Zwykle nosiły barwy pułków, którymi się opiekowały — podobnie Królowa Donbasu na froncie, oprócz zawsze nienagannego makijażu, którym jakby podkreślić chciała swoją niewątpliwą kobiecość, nosi taktyczne ciuchy, chociaż bez insygniów. Ja, zgodnie z jej zaleceniem, nosiłem takie same. Przekonanie, że napis „PRESS” mógłby powstrzymać Rosjan przed zabiciem dziennikarza, wydaje mi się dość ekscentryczne i wszystko wskazuje na to, że lepiej się po prostu nie wyróżniać w zaludniających frontowe zaplecze masach wojska, bo Rosjanie z upodobaniem na zagranicznych wolontariuszy i dziennikarzy polują.

Królowa Donbasu chętnie opowiada frontowe opowieści, bez zawahania przedstawiając własne przewagi: własną odwagę, mądrość, znajomość wojennych realiów, własne obycie i ostrzelanie. Początkowo wydawało mi się, że może konfabuluje, wyolbrzymia — ale rzeczywistość weryfikowała pozytywnie każdą z jej historii. Często wyolbrzymia trudności w sprawach prostych, jakby chciała wydać

się niezbędną, jakby bała się, że coś może wydarzyć się bez jej udziału — a potem z łatwością rozwiązuje sprawy najtrudniejsze.

Ostrzelana jest bardziej niż wielu z żołnierzy, jakich poznałem, chociaż sama konsekwentnie odrzuca oferty podpisania kontraktu z ZSU. Ostatni raz Rosjanie ostrzelali ją z moździerza, gdy razem z prowadzącą jej auto dziewczyną — Królowa Donbasu bowiem sama auta nie prowadzi — zatrzymały się na chwilę na cmentarzu. Śmiała się, że przynajmniej miałyby blisko do grobu.

Zapytałem, co tam robiła, w miejscu, w którym mogli ją ostrzelać.

— Jak to co? Ratowałam koty — odparła.

O koty Królowa Donbasu troszczy się niemal tak samo jak o żołnierzy, chociaż gdy pokazałem jej ten tekst, to obrażona na mnie, że w ogóle o niej piszę, skorygowała, że akurat wtedy kotów nie ratowała, i w ogóle koty ratuje tylko przy okazji, co zapewne jest prawdą.

Prawdą jest również jednak to, że jeżdżąc wzdłuż frontu za swoimi sprawami, wozi ze sobą dwa wielkie worki karmy, którymi dokarmia psy i koty pozostawione przez właścicieli, którzy uciekli przed wojną.

W skomplikowanej, przecinającej na wskroś oficjalne hierarchie sieci interpersonalnych powiązań w wojsku porusza się, jakby sama ją utkała. Dzwoni do dowódcy jednostki, w której służy chłopiec, o którego dba jak o młodszego brata, i nie prosi, lecz żąda wysłania jednostce tej wsparcia.

Po drugiej stronie słuchawki nie słyszałem śmiechu, tylko nerwowe tłumaczenie — dowódca tłumaczył się Królowej Donbasu, dlaczego w tej chwili to niemożliwe.

Chwilę później rozmawiała z matką zaginionego żołnierza, omawiając z nią malejące szanse na to, że jest gdzieś w niewoli, i tłumacząc, zmienionym nagle głosem, że pora chyba się pogodzić, że Iwanko już nie wróci, nie wróci.

Nie pytałem o szczegóły.

— Szczepan, czemu ty nie palisz? — zapytała za to innym razem, sama cienkie papierosy odpalając jeden od drugiego i paląc je teatralnie odginając dłoń i odrzucając głowę do tyłu wystudionym gestem. Nie słuchała moich odpowiedzi, że astma, sport i tak dalej.

— Nie ufam ludziom, którzy nie palą, bo pewnie chcą długo żyć. Dobrze, że przynajmniej pijesz — powiedziała, po czym zadzwoniła gdzieś, znowu do jakiegoś wysokiego oficera i powiedziała, że musimy porozmawiać o Kozaku, bo przestał dowodzić swoim plutonem i coś trzeba z tym zrobić.

Zajechaliśmy potem na kwaterę do chaty, do jednostki, która dostała trzy agregaty prądotwórcze, w tym jeden potężny. Siedliśmy przy stole, z majorowskiej kuchni podano nam jedzenie, troskliwy Andriusza napalił nam w piecu i przy okazji pokazał urobek dnia — kilka zdobycznych karabinów maszynowych PKM, w tym jeden nowoczesny peczeng, rury RPG, zabłocone AK-74.

— Wszystko *pidary* porzuciły, jakeśmy zaczęli po nich jebać z cesarów — powiedział Andriusza, nakładając nam pilaw na plastikowe talerzyki.

Królowa Donbasu w tym czasie starannie wytrząsała na podłogę ubrania i inne graty ze swoich trzech wielkich, nieforemnych toreb, po czym uformowała z nich stertę, położyła się na tej stercie i zapaliła papierosa, stukając jednocześnie pilnie w jeden ze swoich dwóch telefonów.

Pytając spojrziałem na znajomą Królowej, która akurat była z nami.

— Ona tak zawsze — powiedziała, wzruszając ramionami. — Na podłodze najbezpieczniej, jakby zaczęli po nas *jebat’ pidary*.

Wojna, jak żyzny, stepowy czarnoziem jest urodzajną glebą dla wewnętrznie rozedrganych charakterów, które poszukują sytuacji granicznych tak, jak słoneczniki zwracają się ku słońcu. Można to oczywiście zbagatelizować i nazwać „uzależnieniem od adrenaliny”, ale moim zdaniem to raczej potrzeba kontaktu z prawdziwą naturą rzeczywistości, która w cywilnym, pokojowym życiu kryje się gdzieś pod wieloma warstwami iluzji. Wojna te iluzje rozwiewa. Po wojennym życiu wojennym ludziom trudno uwierzyć w pokój.

Mam nadzieję, że Królowej kiedyś się to uda, wbrew jej deklaracjom, że chce umrzeć młodo.

● ● ●

Następnego dnia po tym, jak Maks na polecenie Kozaka pisał długi raport, pojechaliśmy razem na poligon i Maks nauczył mnie obsługi RPG.

Nie jest to trudne.

Trzeba do raketowego pocisku przykręcić podłużny ładunek z prochem, całość włożyć do tuby wyrzutni, w przednim chwycie odciągnąć kurek jak w rewolwerze, wyłączyć przetykowy bezpiecznik, ustawić celownik na odległość, na jaką będzie się strzelać, zgrać muszkę i szczerbinę na celu i nacisnąć spust. Warto jeszcze uwzględnić wiatr — ciężki, raketowy pocisk RPG leci powoli i boczny wiatr może go zepchnąć z linii celowania.

Potem jeszcze pomagałem Maksowi i jego towarzyszom z plutonu w montażu i przystrzeleniu nowych celowników, nagrałem wideo, o którym pisałem wcześniej, potem się uściskaliśmy, pożegnali i umówili się, że spotkamy się od razu, kiedy tylko wrócę do Donbasu. Potem z Królową Donbasu pojechałem dalej, przekazać pick-upa walczącemu pod Soledarem dowódcy plutonu w 77. brygadzie, imieniem Żora, który później został ranny i bardzo mnie to ucieszyło, bo niegroźna dla życia, ale wymagająca rehabilitacji rana uda wyjęła go przynajmniej na jakiś czas z zasięgu ostrzy bachmuckiej maszynyki do mięsa. Potem pojechałem do domu.

Do Donbasu wróciłem, ale z Maksem już się nie spotkałem, bo tydzień później Maks już nie żył.

Byłem w domu, kiedy dotarły do mnie wieści o jego śmierci, kupowałem właśnie kolejnego pick-upa dla ukraińskiego wojska.

Królowa Donbasu napisała mi na Signalu: „Maks 200”.

Nie pojedziemy już na poligon, chociaż się umówiliśmy.

Maks był ode mnie prawie dwadzieścia lat młodszy. Patrzyłem na niego tak, jakbym patrzył na własne dziecko. Zginął w okopie, kiedy akurat zrobili sobie przerwę w walce, aby napić się kawy. Czołg strzelił, odłamek przebił mu arterię szyjną. Umarł szybko, prawie natychmiast, zginął, broniąc swojej Ukrainy, ojczyzny z wyboru. Walczący naród wierzy, że taka śmierć ma sens — i rzeczywiście, musi mieć.

Ja jednak widzę tylko śmierć dzielnego, słodkiego dwudziestosiedmiolatka i nie widzę w niej sensu, chociaż wiem, że być może dzięki jego ofierze i dziesiątkom tysięcy podobnych ofiar przeciwko rosyjskim czołgom nie będę musiał walczyć ja albo moi synowie i miliony ich rówieśników w Polsce, w Rumunii, na Litwie czy w Niemczech.

Za pieniądze z mojej zrzutki kupiłem dużego drona Matrice 300 RTK, kupiłem do niego kamerę termowizyjną i zawiozłem go do 2. batalionu 72. brygady. Uznałem, że będzie nazywał się Maks, na pamiątkę. Jego imię wypisałem na dronie białym markerem. Nie rozumiem sensu tego gestu do końca, ale niedługo później dostałem od dowódcy batalionu wideo z płonącymi rosyjskimi czołgami, zarejestrowane okiem kamery drona, który przywiozłem, i poczułem satysfakcję, chociaż Maksowi to przecież już obojętne, czy to akurat pali się czołg, od którego ognia zginął.



Ukraiński żołnierz,

któremu przywiozłem samochód, z wdzięczności podarował mi pas z emblematem piechoty morskiej, którego nigdy nie założę, ale który całkiem podoba mi się mieć obok innych podarowanych mi pamiątek, na przykład trofejnego rosyjskiego radia Azart z systemem szyfrującym czy przestrzelonego helmu rosyjskiego desantnika.

Z żołnierzem spotkałem się w Kijowie, był na przepustce czy też krótkim urlopie, piliśmy nalewkę o nazwie *horodiwka*, mocno wytrawną, nastawianą na pieczoną paprykę, ziemniakach, cebuli i czosnku, smakującą ukraińskim barszczem. Rozmawialiśmy tak, jak się rozmawia w nocy przy alkoholu, głośno, bez większego sensu, ale z tą dziwną, ulatującą szybko bliskością. Oficer w cywilu jest reżyserem telewizyjnym. Po kilkunastu kolejkach powiedział mi, z całą serdecznością:

— Dla nas jesteś już trochę Ukraińcem!

Zaprotestowałem. Nie jestem Ukraińcem. Jestem Ślązakiem.

— Nie jesteś trochę Ukraińcem? To na chuj żeś tu przyjechał? — odparł obrażony.

Tłumaczyłem, również urażony, że po prostu uważam, iż prowadzicie sprawiedliwą wojnę, broniąc swojego kraju, i uważam, że należy was wspierać, poza tym mam stare, rodzinne niezalatwione sprawy z Rosją i czuję, że pomagając ZSU, trochę je zalatwiam. Ale to przecież nie zmienia mojej etnicznej tożsamości, co oczywiście było głupie, a na swoją obronę mam tylko to, że te kilkanaście kolejek wypiliśmy razem.

Mówiłem długo, ale nie słuchał, bo się obraził.

Ja w takim razie obraziłem się również.

Atmosfera zrobiła się napięta, wtedy jednak interweniowała Królowa Donbasu, zgromiła nas jak gówniarzy, bo też zaczęliśmy się zachowywać jak gówniarze, po chwili więc już uściskaliśmy się serdecznie. Pewnie nigdy się już nie spotkamy. Mam nadzieję, że pick-up, który mu przywiozłem, przewiezie go do końca wojny, tak jak ich wszystkich.

Nie wiem, kim jestem w tej wojnie, która jest moja i nie moja jednocześnie, dotyczy mnie i nie dotyczy, jest w moim imieniu i nie moim.

To kolejna z wojen, które od tysięcy lat przewalają się przez ten fragment Stepu Pontyjskiego. Błoto mielone terenowymi oponami pick-upów, które zawiozłem ukraińskim żołnierzom, kiedyś przemierzały koła rydwanów, gdy z tego matecznika Indoeuropejczyków niektórzy z naszych odległych przodków – pasterzy – ruszali na podbój rolniczej Europy, Indii czy dzisiejszego Iranu. Potem przemierzali je Scytowie i Sarmaci, Alanowie, Hunowie, ludy tureckie i węgierskie, Waregowie i ruskie wojska strasznej księżnej Olgi, Tatarzy, Kozacy zaporoscy, Szwedzi, Kozacy dońscy i kubańscy, Biali i Czerwoni, wojska Petlury, potem Niemcy (a w szeregach niemieckiej armii również Ślązacy, w tym moi krewni) i Rumuni, i znowu Rosjanie.

Czy to ma jakieś znaczenie dla tej wojny? Nie wiem.

Wszystko, co widziałem w Donbasie, wydaje mi się czymś boleśnie realnym, jakbym konfrontował się z najgłębszymi pokładami okrutnej zasady rzeczywistości, jakby prawda o świecie objawiała się najpełniej w tej kinetycznej konfrontacji między dwiema różnymi koncepcjami na to, jak powinno wyglądać życie ludzi na zachodnich rubieżach dawnego Wielkiego Stepu.

Naga siła, przecinające powietrze pociski kalibru 155 i 152 mm, jest też nagą prawdą, oto nasz świat, oto kondycja ludzka – a jednocześnie wszystko to jest zupełnie nierealne. Nadrealne. Surrealne. Stare sowieckie ciężarówki Ural, obok nich białe prostokąty anten starlinków, czasem zamaskowane w śmieciach, żeby nie świeciły za bardzo w kamerach dronów, czasem schowane w ruinach, ale niebo muszą widzieć, auta pokryte warstwą błota tak grubą, że widać na nim pęknięcia, zapadające się w błocie donbaskie chatki, w nich dziesiątki żołnierskich iPhone'ów i splątane kable ładowarek, drony duże, średnie i małe, zdobyczne *pokemony*, jak mówi się tu na karabiny maszynowe PKM i rury granatników przeciwpancernych, zmęczeniu rokiem, a inni dziewięcioma latami wojny żołnierze w obowiązkowych *klapoczkach*, rozmawiający na wideoczatach z rodzinami przy piecach, *burżukach* opalanych węglem, drewnem i czym się da.

Kruszy się nasz kryształowy pałac. Wojna, ten przez długie dekady w Europie uśpiony wulkan, eksplodowała nagle z pełną mocą i płynące jak lawa potoki okrucieństwa, śmierci i traum już z nami zostaną, z nami i z pokoleniami, które nastąpią po nas.



• **Żołnierz 72. Brygady w starym Land Roverze**



• **Wrak czołgu w Bohorodycznem**

Nie jestem i nie chcę być dziennikarzem, korespondentem wojennym, nie chcę być bezstronny i nie interesuje mnie dostarczanie informacji. Chcę pomóc Ukraińcom w ich wojennym wysiłku, na tę niewielką skalę, jaka jest mi dostępna, nie dlatego, bym się z nimi utożsamiał, ale dlatego, że wierzę, że ich sprawa jest słuszna.

Chcę być świadkiem — nie wielkich wydarzeń, spektakularnych przełomów, nie interesuje mnie *scoop*, chcę być świadkiem wojennej codzienności, żołnierskiego życia, ale nie dlatego, abym uważał, że w tym moim świadkowaniu jest jakaś obiektywna wartość. Czuję, wierzę po prostu, że jako pisarz tym świadkiem być powinienem, świadkiem zaangażowanym. Jest to moja powinność wobec mojej rodzinnej historii, wobec mnie samego i wobec literatury.

Ale czy to cała prawda?

Któregoś wieczora koleżanka Królowej Donbasu zapytała mnie:

— Skoro już tu przyjechałeś, dlaczego po prostu nie podpiszesz kontraktu?

Przydałbyś się w naszym wojsku. Tak bardzo potrzeba nam ludzi.

Odpowiedziałem odruchowo, że to nie moja wojna, przecież nie jestem Ukraińcem, że po prostu chcę im pomóc i dalej już powtarzałem jakieś komunały.

— Gdyby to nie była twoja wojna, to by cię tu nie było — przerwała mi.

— Ale ja nie jestem żołnierzem. Nic nie wiem o wojnie — broniłem się.

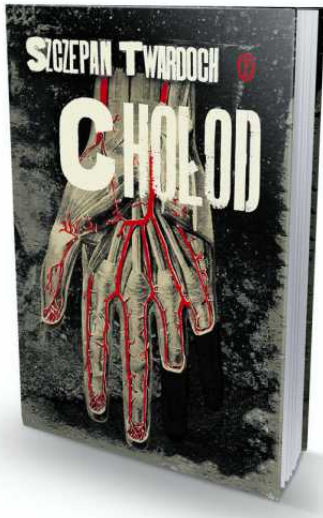
— Mało kto tu był, zanim wojna się zaczęła. Wiesz już dość.

Powiedziałem więc, że mam dwóch synów, którzy potrzebują ojca.

— Każdy tu ma kogoś, kto go potrzebuje — odparła od razu.

Więcej odpowiedzi nie miałem, poza jedną, której się wstydę. ●

„**Chołod**”, najnowsza powieść Szczepana Twardocha – podróż przez Jakucję i Kołymę, osnuta wokół wspomnień Konrada Widucha – śląskiego komunisty, męża, ojca, żołnierza, ofiary stalinowskich czystek oraz innych ekscesów Historii – już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



• Wersal, oficerowie aliantów zaglądają do Sali Lustrzanej, gdzie trwa podpisywanie traktatu pokojowego FOT. HENRY GUTTMANN COLLECTION/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES



Adam Michnik poleca. **Wersal. Sto lat z traktatem**

IMPERIA

ZNIKAJĄ

Europa, poza Bałkanami i częścią państw dawnego ZSRR, od ponad 70 lat żyje w pokoju

Krzysztof Pomian*

Do licznych powodów, dla których warto przypominać traktat wersalski, doszedł jeszcze jeden: napaść Rosji na Ukrainę z zamiarem wykreślenia jej z politycznej i kulturowej mapy Europy. Jest to bowiem zamach na same podstawy współistnienia państw europejskich, skodyfikowane po raz pierwszy właśnie w tym traktacie i atakowane od razu po jego podpisaniu. Atakowane słowem, a przede wszystkim czynem, i to tak skutecznie, że w roku 1940, po rozbiorze Polski w następstwie paktu Ribbentrop-Mołotow i klęsce Francji, mogło się zdawać, że nic z nich nie zostało. Mogło się tak zdawać aż do lat 1989-90: do zjednoczenia Niemiec, odzyskania suwerenności przez kraje, które zsatelizował po II wojnie światowej Związek Radziecki, i wreszcie do jego rozpadu, gdy na mapie

Europy pojawiły się nowe niepodległe państwa: Rosja, Ukraina, Białoruś i Mołdawia. Wydarzenia z lat 1989-90 doprowadziły, jak się zdawało, do końca zapoczątkowany w Wersalu proces eliminowania z Europy imperiów – wielonarodowych tworów politycznych. Utworzyły się one przeważnie w trybie podboju wielu narodów przez jeden, który narzucał im swój język, zwyczaj oraz instytucje, na czele z wojskiem i policją. I również swoją religię i inne wierzenia, a nawet tożsamość; pozbawiał je ich własnej historii i tradycji. Do I wojny światowej cztery takie imperia dzieliły między siebie Europę Środkową i Wschodnią: Rzesza Niemiecka, Austro-Węgry, Rosja, imperium osmańskie. Zostało z nich tylko jedno – Rosja, w nowym wcieleniu – ZSRR. Przedstawał się on początkowo jako twór rewolucji, radykalnego zerwania ciągłości, i odrzucał przeto rosyjskie imperialne dziedzictwo, by jednak pod władzą Sta-

lina przejąć je w całej pełni, zachowując internacjonalistyczną retorykę. Rosja Putina przejęła z kolei zarówno rosyjskie, jak i sowieckie dziedzictwo imperialne, z jego wiarą w powołanie narodu rosyjskiego do władania jeśli nie światem, to przynajmniej Eurazją. Przejęła też przekonanie o decydującej roli przemocy w życiu społecznym, a w stosunkach międzynarodowych – roli wojny uwieńczonej zwycięstwem, co ma stanowić wystarczającą legitymację podboju. Unia Europejska, przeciwnie, jest dobrowolnym związkiem państw, które przystępują do niej pod warunkiem, że taką wolę wyrazi w referendum większość obywateli. Przy czym każde państwo, bez względu na jego wielkość i potencjał ludnościowy, gospodarczy czy militarny, jest w Unii równe pozostałym – każde ma jeden głos i takie same uprawnienia. Stąd niekończące się negocjacje, szukanie kompromisów, powolność w podejmowaniu decyzji.

Te i wiele innych negatywnych stron funkcjonowania Unii to kosztą tego, że nie jest ona imperium, ale raczej jego zaprzeczeniem. Tym bardziej jest zaprzeczeniem „samodierżawia” w stylu rosyjskiego caratu, którego spadkobiercą i naśladowcą jest Putin.

Z perspektywy Unii stosunki międzynarodowe powinny być oparte nie na sile, ale na prawie, które odgrywa zasadniczą rolę w organizowaniu stosunków międzyludzkich. Toteż demokratyczne stanowienie i przestrzeganie prawa oraz niezależność sądów są kamieniem węgielnym Unii. W stosunkach międzynarodowych nie ma więc miejsca na jednostronne narzucanie swojej woli i stosowanie w tym celu przemocy, a zatem nie ma miejsca na imperia.

Po roku 1990 można było przypuszczać, że te zasady będą przestrzegane przez wszystkie państwa europejskie, w tym Rosję. Rychło okazało się, że Rosja Putina jest jedynym krajem europejskim, który zachował aspiracje imperialne i dąży do odtworzenia w Europie systemu stosunków międzynarodowych opartego na porozumieniu imperiów uwzględniającym tylko równowagę sił. I że dąży zarazem do wprowadzenia w krajach europejskich jeśli nie autokratycznego systemu, który panuje w niej samej, to przynajmniej jego odmiany – „demokracji nieliberalnej”, która jest nieco złagodzoną postacią tyranii. Zatem napadając na Ukrainę, Putin wypowiedział wojnę Unii.

Tylko prezydentura Trumpa oraz decyzyna powolność Unii i powodujące ją rozbieżne interesy poszczególnych państw sprawiły, że dopiero teraz Unia podjęła wraz z USA w ramach NATO wyzwanie rzucone przez Putina. Jak gdyby wreszcie dotarło do świadomości wszystkich decydentów, że chodzi o być albo nie być nie tylko samej Unii, lecz także całego systemu stosunków międzynarodowych, budowanego mozolnie w Europie i na świecie od podpisania traktatu wersalskiego.

WROGIE PRZYJĘCIE

Traktat ten jest zapewne najbardziej zniesławionym aktem w historii XX w. Ledwie został spisany, Francuzi okazali niezadowolenie, bo nie znajdowali w nim wystarczających gwarancji bezpieczeństwa. Ratyfikowali go bez zapalu i złudzeń. Anglicy, którym z początku traktat zdawał się dawać wszelkie powody do zadowolenia, dość szybko się do niego zniechęcili, głównie pod wpływem Keynesa, który dowodził, że zastosowanie postanowień traktatu może spowodować w Niemczech, w Europie i na świecie same nieszczęścia, przede wszystkim gospodarcze, a na koniec – miliony trupów.

Amerykanie po podpisaniu traktatu zwyczajnie odmówili jego ratyfikowania, by przyjąć na następne 20 lat postawę izolacjonistyczną. Włosi byli oburzeni, bo nie otrzymali terytoriów, których się domagali i które Wielka Brytania i Francja obiecały im jako nagrodę za ich przystąpienie do wojny.

Niemcy nie bez pewnej racji uznawali go za „Diktat” – zaproszeni do Wersalu, by podpisać tekst, którego z nimi nie negocjowano, za jedyną alternatywę mieli wznowienie działań wojennych. A Rosjanie, czyli bolszewicy, widzieli w traktacie tylko narzędzie zmierzające do stworzenia „imperialistycznej koalicji przeciwko władzy Rad”.

Bodaj w jednym tylko punkcie dość wcześniej zgadzało się wielu polityków i wojskowych najrozmaitszych obediencji, w tym postaci tak różne, jak marszałek Foch i Lenin: wszyscy byli przekonani, że traktat nie gwarantuje pokoju i jest tylko zawieszeniem broni, które może nie przetrwać 20 lat.

Tylko w części Europy Środkowej i Wschodniej traktat został przyjęty przychylnie. Polacy uzyskiwali niepodległość i granicę, która wprawdzie nie spełnia-

ła ich pragnień, ale dawała dostęp do morza. Czesi mieli wszelkie powody do zadowolenia. Słowacy mieli ich mniej, ale utworzenie wspólnego państwa z Czechami popierała zdecydowana większość z nich. Rumuni otrzymali znaczne terytoria. Serbowie, Chorwaci i Słowenicy wydawali się zgodni, by spróbować zorganizować wielonarodowe państwo oparte na słowiańskiej solidarności.

We wszystkich tych krajach prawa mniejszości narodowych, w tym Żydów, zostały uznane i objęte ochroną Ligi Narodów, która też była tworem traktatu wersalskiego. Istnienie tej klauzuli mocno psuło przyjemność nacjonalistom, zwłaszcza antysemitom, w każdym z krajów, których dotyczyła (najbardziej w Rumunii i w Polsce), co czyniło je podatnymi na argumenty skierowane przeciw traktatowi.

Z upływem czasu lista oskarżeń pod adresem traktatu wersalskiego rosła, a liczba jego obrońców malała. 20 lat po jego podpisaniu prawie ich nie było w demokracjach zachodnich, w których kontestowali go admirałorzy i stronnicy reżimów totalitarnych, nazistowskiego, faszystowskiego i bolszewickiego, odrzucali zaś nawet demokraci. Wielu z nich zaczęło w końcu postrzegać jako wielki błąd uznanie niepodległości ludów Europy Środkowej, uważało bowiem, że namnożyło się wskutek tego państwerek zacofanych, opresyjnych, kurczowo skupionych na swoich egoizmach i niezdolnych zrównoważyć, nawet razem z Francją, potęgę Niemiec. Ten klimat umożliwił układy z Monachium.

Jeszcze niedawno takich autorów, jak Eric Hobsbawm i Henry Kissinger, pod niemal wszystkimi względami niezgodnych, łączyło potępienie tego traktatu, który zastępując równowagę sił prawem każdego narodu do własnego państwa, okazał się, ich zdaniem, winny otwarcia drogi do II wojny. Zresztą właśnie ta wojna stała się głównym argumentem przeciw traktatowi i nadal nim pozostaje.

EUROPA POLITYCZNA: ROK 1924, ROK 2023

Jeśli traktat wersalski przypomina się naszej pamięci, to powodem są wstrząsy, które Europa przeżywa od roku 1989 i które wydobywają na jaw jego następstwa, pozornie zatarte przez wydarzenia bliższe nam w czasie, ale w istocie utrzymujące się w stanie utajonym i zaktualizowane na nowo przez upadek reżimów komunistycznych.

Aby ocenić długoterminowe oddziaływanie traktatu wersalskiego, skupimy się na jednej tylko sprawie: co pozostało dziś z organizacji przestrzeni europejskiej, którą ten traktat ustanowił, i z zasad, które zastosował.

Porównajmy w myślach dwie mapy polityczne Europy. Pierwsza ukazuje ją w roku 1924, pięć lat po podpisaniu owego traktatu, kiedy zakończyły się masowe przemieszczenia ludności, a granice zostały określone wszędzie, nawet na Bałkanach, co nie zmienia faktu, że zostały uznane tylko półgębkiem i często jedynie przez rządy niemające innego wyboru. Druga mapa ukazuje Europę współczesną.

Oto lista głównych różnic.

1. ZSRR przestał istnieć. W tym, co było jego częścią europejską, pojawiły się nowe państwa: Rosja, Białoruś, Ukraina, Mołdawia.

2. Prusy Wschodnie, które były częścią Niemiec, znikły. Z wyjątkiem części, która przypadła Polsce, ich dawne terytorium stanowi rosyjską enklawę nad Bałtykiem, oddzieloną od Rosji przez Litwę.

3. Znikło również Wolne Miasto Gdańsk.

4. Wschodnie granice Polski, o których zresztą traktat się nie wypowiedział, przesunięto na zachód, po linię Bugu. Jej granice zachodnie przesunięto po linię Odry i Nysy.

5. Zamiast Czechosłowacji pojawiły się dwa oddzielne państwa: Republika Czeska i Republika Słowacka.

6. Południowa część Dobrudży, pod naciskiem Niemców oddana przez Rumunię Bułgarii w roku 1940, pozostała bułgarska.

7. Jugosławię zastąpiło pięć państw: Słowenia, Chorwacja, Serbia z Czarnogorą i Macedonia. Później Czarnogóra oddzieliła się od Serbii i doszły dwa nowe państwa: Bośnia-Hercegowina i Kosowo.

Przejdźmy teraz od państw do ludów. I najpierw do Żydów, którzy przed II wojną tworzyli w Europie Środkowej wielomilionową populację. Stanowili dużą część mieszkańców miast we wszystkich krajach tego regionu, byli skoncentrowani szczególnie w Polsce i w Ukrainie, ale też licznie obecni w Rumunii i na Węgrzech.

We wszystkich tych krajach wnosili znaczący wkład w gospodarkę i życie kulturalne: naukę, literaturę, sztukę. Byli wpisani w pejzaż wzrokowy i dźwiękowy, w historię i tradycję ustne. Byli też przedmiotem konfliktu, gwałtowniejszego niż na Zachodzie, między ideologiami demokratycznymi i socjalistycznymi, sprzyjającymi przyznaniu pełni praw obywatelskich wszystkim mieszkańcom, a skrajnymi nacjonalizmami.

Z tych względów Żydzi stanowili konstytutywny element tożsamości Europy Środkowej i Wschodniej. Dziś to przeszłość bezpowrotnie miniona.

Z ich ludobójstwem, na zimno zaprojektowanym i przeprowadzonym, żadnej ludzkiej katastrofy porównać nie można. Przypomnijmy jednak, że Niemcy, których wielu żyło przed wojną w Polsce, a jeszcze więcej w Czechosłowacji, jeśli nie uciekli przed wkroczeniem armii radzieckiej, to zostali wydalenii po wojnie do Niemiec, podobnie jak mieszkańcy niemieckich terytoriów, które stały się polskie albo radzieckie. Stało się to udziałem kilku milionów osób.

Równoległe kilka milionów Polaków zostało przeniesionych ze wschodu na zachód, z terytoriów, które przed rokiem 1939 należały do Polski, na te, które przyznano jej w Poczdamie.

Do tego doszła po wojnie emigracja do RFN z Rumunii i Rosji. W wyniku tych ruchów mniejszości niemieckie w krajach Europy Środkowej i Wschodniej stały się liczbowo nieznaczące, podobnie jak mniejszości polskie na Białorusi i Ukrainie. W przeciwnym kierunku trzeba od-

Napadając na Ukrainę, Putin wypowiedział wojnę Unii Europejskiej

notować silną imigrację rosyjską do Estonii i Łotwy. Wszystko to sprawiło, że skład etniczny Europy Środkowej i Wschodniej bardzo różni się teraz od tego, jaki był przed rokiem 1939.

Na tej liście różnic Europa Zachodnia jest nieobecna. I nie bez powodu: jej dzisiejsza mapa polityczna jest niemal identyczna z mapą z roku 1924, zgodną z postanowieniami Wersalu. Czy można zatem wyciągnąć wniosek, że traktat ten pozostał w mocy na Zachodzie, utracił za to ważność w naszym regionie? Byłby to wniosek pochopny.

Traktat wersalski jest wpisany choćby w granice Republiki Czeskiej i Republiki Słowackiej, z wyjątkiem ich południowo-wschodniego fragmentu – Rusi Zakarpackiej, która została wcielona do sowieckiej wówczas Ukrainy. Jest wpisany również w granice Austrii i Węgier, które pozostały takie, jakie nakreślono w Grand Trianon: Słowenia nie należy do Austrii, Słowacja

i Chorwacja nie należą do Węgier, Siedmiogród jest rumuński, Wojwodina – serbska.

BEZ IMPERIÓW

Spójrzmy na mapę Europy sprzed I wojny światowej. Rzuca się od razu w oczy różnica między Zachodem, podzielonym na II państw, a centrum i Wschodem, zamieszkanymi przez wiele narodów, ale zajętymi przez zaledwie trzy imperia: Cesarstwo Niemieckie, Cesarstwo Austrii i Cesarstwo Rosyjskie. Na południowym wschodzie dominującą pozycję ma imperium osmańskie, chociaż od dwóch stuleci mocno się skurczyło, ustępując miejsca Rumunii, Bułgarii, Serbii, Czarnogórze i Grecji.

Otóż pierwszą wielką innowacją traktatu wersalskiego było to, że zatwierdził zniknięcie imperiów, które już się rozpadały, na terytoriach, na których rosły w siłę ruchy niepodległościowe dysponujące siłami zbrojnymi, a więc zdolne efektywnie zdobyć władzę. Jedynie imperium, które przetrwało I wojnę, ZSRR, było co prawda w kategoriach geopolitycznych przedłużeniem Cesarstwa Rosyjskiego, ale zarazem wytworem gwałtownego zerwania, które doprowadziło do długotrwałej wojny domowej i zniszczenia dawnych instytucji i dawnych warstw uprzywilejowanych.

Jednak zniknięcie imperiów, które zaczęło się od zaliczenia do „państw sprzymierzonych i stowarzyszonych” sygnatariuszy traktatu wersalskiego, Polski, państwa serbo-chorwacko-słoweńskiego i Czechosłowacji, było czymś znacznie więcej niż uznaniem stanu faktycznego.

Z dzisiejszego punktu widzenia okazuje się ono mianowicie pierwszym krokiem na drodze do dekolonizacji, zniknięcia imperiów również poza Europą. Trudno je bowiem oddzielić od artykułu 22 traktatu, zawierającego definicję zasad, które „stosują się do kolonii i do terytoriów, które na skutek wojny przestały być pod zwierzchnictwem państw dotychczas nimi rządzących, a które są zamieszkane przez ludy jeszcze niezdolne do rządzenia się samodzielnie w szczególnie trudnych warunkach nowożytnego świata”.

Mimo protekcyjnego języka, języka epoki, zasada, że każdy naród ma prawo do „rządzenia się samodzielnie”, czyli posiadania swego państwa, była rewolucyjna.

To prawda, że zwycięskie mocarstwa myślały głównie o podzieleniu między siebie niemieckich posiadłości kolonialnych oraz terytoriów, które należały przedtem do imperium osmańskiego. I że nie padło nawet pytanie o kryteria pozwalające stwierdzić, że stopień rozwoju konieczny do otrzymania niepodległości został osiągnięty. Nie zmienia to faktu, że zasada została ogłoszona i można było odtąd uczynić z niej broń przeciw mocarstwom kolonialnym, co nieuchronnie się dokonało w następstwie II wojny, kiedy ZSRR wszedł do grona wielkich mocarstw.

Drugą wielką innowacją było to, że traktat uznał trzy nowe państwa: Polskę, państwo serbo-chorwacko-słoweńskie (przyszłą Jugosławię) oraz Czechosłowację, utrzymując jednocześnie Austrię oddzieloną od Niemiec i od Węgier, które stały się nowym niezależnym państwem. Stworzył w ten sposób precedens, który umożliwił pojawienie się czterech no-

wych państw, czyli Finlandii i trzech republik bałtyckich.

Niepodległość prawie wszystkich tych krajów kontestowały co do samej zasady Niemcy, a w odniesieniu do niektórych z nich – również ZSRR. Czyli dwa mocarstwa nieobecne przy stole negocjacyjnym w Wersalu. Pierwsze z nich musiało traktat podpisać, drugie nigdy go nie uznało. W efekcie trwałość traktatu była całkowicie uzależniona jedynie od determinacji, z jaką by go broniły Wielka Brytania i Francja. A ta słabła.

Pozwoliło to III Rzeszy anektować Austrię, co było jaskrawym pogwałceniem traktatu. Doprowadziło do haniebnych układów monachijskich, które zatwierdziły aneksję przez III Rzeszę Kraju Sudeckiego należącego do Czechosłowacji, i otwały drogę do utworzenia Protektoratu Czech i Moraw, w istocie okupacji ziem czeskich, oddzielonych od Słowacji, która stała się satelitą Niemiec.

Potem przyszedł pakt Ribbentrop-Molotow i rozbiór Polski między nazistowskie Niemcy i ZSRR w 1939 r. ZSRR poza tym zaanektował państwa bałtyckie. W 1940 r., po inwazji III Rzeszy na Belgię i Holandię, okupacji Danii i zwycięstwie nad Francją, co doprowadziło do wcielenia do Niemiec wszystkich terytoriów, które utraciły one w wyniku klęski w I wojnie, także Alzacji i Lotaryngii, z traktatu wersalskiego nie pozostało już nic.

Tak więc głoszony od chwili wejścia Hitlera na arenę publiczną cel, czyli doszczętne zniszczenie politycznej organizacji przestrzeni europejskiej będącej wynikiem tego traktatu, wydawał się osiągnięty. Ale dla Hitlera był to tylko pierwszy krok. Jego polityka wynikała nie tylko z woli odtworzenia imperium, w którym Niemcy miałyby status narodu panów. Wynikała również z ludobójczego rasizmu (antysemickiego, a w drugiej kolejności antysłowiańskiego), który stanowił jądro ideologii narodowosocjalistycznej i któremu musiały być podporządkowane narodowe interesy niemieckie.

W tej perspektywie aneksja terytoriów, zmuszanie każdego, kto był „krwi niemieckiej”, by zadeklarował się jako Niemiec, i eksterminacja Żydów wyrażają składniki tej samej żądzy panowania, którą mogła zaspokoić tylko hegemonia nad całą Europą czy wręcz Eurazją.

W roku 1945 i długo później skutek klęski hitlerowskich Niemiec powstało wrażenie ostatecznego przekreślenia traktatu wersalskiego, skoro jego stały i zdecydowany przeciwnik, ZSRR, wyszedł z II wojny jako zwycięzca. Jednak na Zachodzie granice narysowane w Wersalu zostały przywrócone zaraz po zakończeniu działań wojennych. Od tego czasu nie są one w żaden sposób kwestionowane.

Jednak bezpośrednio po wojnie przywrócenie granic ustalonych w Wersalu zostało jakby przesłonięte przez ponowną radziecką aneksję krajów bałtyckich i części Finlandii oraz rozlokowanie radzieckich sił okupacyjnych we wschodniej części Niemiec. A także narzucenie totalitarnego komunizmu krajom Europy Wschodniej i Środkowej z wyjątkiem Austrii, Finlandii i Grecji.

ZASADY WERSALSKIE

Od roku 1989 zaczęto zdawać sobie sprawę, że przestrzeń polityczna Europy mimo wszystkich zmian pozostaje w zasadniczych zarysach taka, jak ją ukształtował traktat wersalski. Zniknięcie ZSRR zakończyło proces niszczenia imperiów rozpoczęty w Wersalu. Wkroczenie na arenę nowych państw: Rosji, Białorusi, Ukrainy i Mołdawii, było przedłużeniem w kierunku wschodnim procesu uzyskiwania niepodległości, którego prawomocność również została proklamowana po raz pierwszy w Wersalu.

Nazywano to bałkanizacją Europy. Ubolewano nad tym dotąd jako nad jedną

z przyczyn II wojny, tak jakby autorzy traktatu mogli spokojnie zadrwić sobie z woli niepodległości wyrażanej przez ludy Europy Środkowej i Wschodniej. To prawda, że wszystkie te nowe państwa były za słabe, by stanowić przeciwwagę dla Niemiec, nawet gdyby działały razem. Ale odpowiedzialności za to załamanie równowagi nie ponosi traktat wersalski.

Ta równowaga załamała się wskutek tego, że Niemcy nie zostały zwyciężone materialnie (zachowały swój potencjał gospodarczy i militarny) ani moralnie (niemiecką opinię publiczną zdominowało pragnienie odwetu). Na Zachodzie nie istnia-

UE powinna mocno głosić zasadę, że naród niezdolny do życia z innym narodem w jednym państwie jest automatycznie zdyskwalifikowany jako kandydat

ło nic, co mogłoby stanowić dla nich przeciwwagę, gdy USA wycofały się ze sceny europejskiej, a Wielka Brytania niepokoiła się głównie zdominowaniem Europy przez Francję.

Z państw zawdzięczających istnienie Wersalowi siedem istnieje dotąd. Jedno, Czechosłowacja, pokojowo rozdzieliło się na dwa. Inne, Jugosławię, zastąpiło ostatecznie siedem państw, w następstwie decyzji podjętych długo po Wersalu, które nadały Bośni (1945) i Macedonii (1946) status republik wchodzących w skład federacji jugosłowiańskiej. Co do granic narysowanych w Wersalu, to są one obecnie akceptowane nawet tam, gdzie uważa się je za niesprawiedliwe, np. na Węgrzech.

Rozwód między Czechami a Słowakami i wojny pustoszące były Jugosławię, a także przymusowe przesiedlenia ludności greckiej i tureckiej po traktacie w Lozannie (1923), niemieckiej i polskiej po II wojnie, serbskiej, chorwackiej i bośniackiej całkiem niedawno – wszystko to wskazuje, co jest jednym z największych niepowodzeń traktatu wersalskiego.

Wszędzie tam, gdzie przewidywał współistnienie różnych narodów w ramach jednego państwa, jego postanowienia nie wytrzymały próby czasu. Wielonarodowe państwa, które stworzył, szybko zaczęły rozdzierać konflikty: nacjonalizm słowacki zwiększa wpływy od lat 20. XX w., a pod koniec tego samego dziesięciolecia powstaje ruch ustaszów, walczący o niepodległość Chorwacji. Ani Czechosłowacja, ani Jugosławia już nie istnieją, choć procesy ich rozpadu są nieporównywalne (w pierwszym przypadku pokojowy, w drugim – krwawy).

Rozpad Czechosłowacji i Jugosławii nasuwa pytanie o możliwość współistnienia trzech wielkich zasad przyjętych w traktacie wersalskim i wciąż działających w historii europejskiej.

Według pierwszej z tych zasad nie ma w Europie miejsca na imperia. Bezprawność imperiów i ucisku jednego narodu przez drugi należy obecnie do uznanych zasad prawa międzynarodowego. Podobnie jest z inną zasadą przyjętą przez traktat wersalski: każdy naród ma prawo do swego państwa.

Państwa, które traktatowi wersalskiemu zawdzięczały istnienie lub powiększenie terytorium, były w większości wielonarodowe. To do takich państw odnosiła się

trzecia zasada przyjęta przez traktat: każdy z narodów tworzących razem państwo wielonarodowe powinien korzystać z pełni praw obywatelskich. Stosuje się to również do mniejszości religijnych, językowych, rasowych czy narodowych.

WIELONARODOWE, CZYLI NIESTABILNE?

Na pierwszy rzut oka można sądzić, że państwa wielonarodowe cechuje niestabilność: na wschodzie Europy wymienić można ZSRR, pozostałość imperium, albo two-

ry traktatu wersalskiego, jak Czechosłowacja i Jugosławia. Wielonarodowe państwa Zachodu, wytwory wielowiekowej historii, zdają się mniej podatne na destabilizujące działania zasady, w myśl której każdy naród ma prawo do własnego państwa.

Takie wrażenie nie wytrzymuje jednak zestawienia z faktami. W XX w. Norwegia oddzieliła się od Szwecji, Wielka Brytania musiała uznać niepodległość Irlandii (z wyjątkiem Ulsteru), a Dania zaakceptowała niepodległość Islandii. Hiszpania boryka się z problemem katalońskim, a Francja – z korsykańskim. Czy przekazanie władzy Szkocji i Walii wraz z utworzeniem parlamentów w Edynburgu i Cardiff jest zapowiedzią podziału Wielkiej Brytanii na trzy kraje?

Nie sposób dziś odpowiedzieć na to pytanie, ale sam fakt, że już nie wydaje się ono absurdalne, mówi wiele o niestabilności państw wielonarodowych.

Postępy integracji europejskiej nie umacniają zwartości tych krajów, wręcz przeciwnie, przyczyniają się do jej nadwężenia. Upowszechnia się opinia, wspierana przez media, według której instancje Unii mogą bezpośrednio rozstrzygać spory między regionami czy prowincjami odznaczającymi się odrębnościami językowymi czy etnicznymi. I to z pominięciem państwa – narodowego lub wielonarodowego. Jest to forma ideologii europejskiej, która z czasem może spowodować kryzys Unii – a z nim prawdziwą bałkanizację.

Dlaczego jakiś naród (region, republika), który w ramach tego samego państwa odmawia przyczyniania się do rozwoju narodów (regionów, republik), w których stopa życiowa jest niższa, miałby godzić się na przekazywanie zysków na korzyść biedniejszych terytoriów w ramach Unii? Taką odmowę solidarności z innymi narodowy-

mi składnikami tego samego państwa okazują np. Flamandowie, odkąd Flandria stała się bogatsza od Walonii. Pragnienie zachowania swoich bogactw dla siebie jest obecne w tle wielu postulatów niepodległościowych.

Niestabilność państw wielonarodowych jest więc zjawiskiem powszechnym w Europie. Nie znaczy to, że należy porzucić wprowadzone w Wersalu zasady, które przyniosły więcej dobra niż zła. Należy je tylko stosować z wielką ostrożnością, a zwłaszcza nie pozwalać działać innym czynnikom destabilizującym, np. tolerując zbyt wielkie różnice poziomu życia między regionami tego samego kraju.

Wynika też z tego, że Unia powinna mocno głosić zasadę, że naród niezdolny do życia z innym narodem w jednym państwie jest automatycznie zdyskwalifikowany jako przyszły kandydat do UE. Gospodarcze skutki takiego napiętnowania powinny wystarczyć, by przemówić do rozumu nacjonalistom. Niestety tak nie jest.

A JEDNAK COŚ DOBREGO

Z perspektywy stu lat czas oddać sprawiedliwość traktatowi wersalskiemu. Był niedoskonały, ale zapewne nie mógł być radykalnie lepszy. Nie był w stanie zabezpieczyć pokoju, nie z powodu swoich wad, ale zwłaszcza dlatego, że wojna nie skończyła się całkowitą i jaskrawą klęską Niemiec i pojawieniem się sił zdolnych w razie konieczności narzucić przestrzeganie postanowień traktatu.

Ze wszystkimi wadami przyniósł jednak prawdziwy zwrot w historii Europy i świata. Położył kres dawnemu ustrojowi stosunków międzynarodowych, usuwając z mapy organizację polityczną przestrzeni europejskiej ustanowioną na kongresie wiedeńskim i otwierając perspektywę usunięcia politycznej organizacji przestrzeni światowej wywodzącej się z kongresu w Berlinie.

Nawet jego niepowodzenie, wyraźne od lat 30., posłużyło jako lekcja dla wojskowych i polityków. Bez przesady można powiedzieć, że jeśli Europa, poza Bałkanami i częścią państw dawnego Związku Radzieckiego, żyje w pokoju od ponad 70 lat, to zawdzięcza to również traktatowi wersalskiemu. ●

przeł. Wiktor Dłuski



FOT. MIECYSŁAW MICHAŁAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Pomian

• ur. w 1934 r., profesor nauk humanistycznych. Filozof, historyk, eseista. W 2001 r. został dyrektorem tworzonego w Brukseli Muzeum Europy. Członek Komitetu Doradczego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność.

Tekst za „Almanachem 2022/2023” Concilium Civitas. Tytuł i skróty – „Wyborcza”. Cały tekst: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipiek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski

FOTOEDYCJA: Dorota Nowacka
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Na drodze
Polaków
do jedzenia
owadów
stała
neofobia
żywniowa.
Kiedyś
tak było
z krewetkami



Z PROF. **AGNIESZKĄ ORKUSZ** Z KATEDRY BIOTECHNOLOGII I ANALIZY ŻYWNOSCI UNIWERSYTETU EKONOMICZNEGO WE WROCŁAWIU ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Czy zjadłaby pani chrupiące świerszcze o smaku bazylii-pomidor?
– Jak najbardziej.

A karmelowy lizak, w którym zatopione są ciemnik brazylijski, karaluch argentyński oraz konik polny?
– Z konikiem polnym nie miałabym problemu, a z pozostałymi dwoma to nie wiem, choć jestem chętna do próbowania nowych rzeczy; jeżeli oczywiście są bezpieczne do spożycia.

Larwy mącznika o smaku curry?
– Oczywiście i chyba nawet je już jadłam.

Wszystko, co wymienilem, pochodzi z oferty jednej z największych polskich firm sprzedających jadalne insekty. Skoro zatem to nie „ekoświry” albo „nawiedzeni biologowie” namawiają do jedzenia owadów, a jest to legalne, opodatkowane i zgodne z atestami krajowymi i unijnymi, to dlaczego wokół tematu jest tyle kontrowersji?

– Dla naszego własnego dobra musimy ograniczyć spożycie mięsa. Nie od dziś wiadomo, że Polacy jedzą go bardzo dużo i należałoby to ograniczyć do, powiedzmy, dwóch razy w tygodniu. A jeśli do tego dojdzie – alternatywa, tak aby zróżnicować dietę, to owady jadalne, są dobrym rozwiązaniem.

Abstrahując od tegorocznych wyborów, to zastanawiam się, skąd tak silne reakcje i negatywna optyka. Skoro w Afryce, Azji lub Ameryce Południowej owady są jedzone od stuleci, to dlaczego mimo wiedzy i technologii Polacy się boją?
– Odpowiedź jest złożona, ale najważniejsze jest to, że owady kojarzą się jednoznacznie źle. Chodzi nie tylko o Polaków, ale społeczeństwa Europy Zachodniej, dla których larwy czy w ogóle owady to pa-

skudztwo asocjowane z czymś zepsutym czy w ogóle niejadalnym. Są to jedynie psychologiczno-kulturowe uwarunkowania i uważam, że najważniejszym elementem do przełamania tej niechęci jest stworzenie możliwości spróbowania produktu, w którym znajduje się dodatek w postaci sproszkowanego owada.

Na przykład kotleciki ze świerszczy?
– Tak, choć nie wszystkie produkty mogą być zrobione w całości z owadów, bo to wynika z ich struktury. Jeżeli jednak dodamy do produktu tzw. mąkę z owadów (sproszkowane owady), to gama owaradich potraw się zwiększa. Bazując na własnych doświadczeniach: podczas prowadzonych badań spotykałam się z entuzjastycznymi reakcjami ludzi, którzy mówili mi: „Ale to dobre, szkoda, że tego nie ma w sklepach!”.

Jak to działa, że gdy influencerzy o wątpliwych kompetencjach promują świeże leczone nowotwory, to nie ma problemu, ale gdy na rynku pojawiają się przebadane i naukowo zatwierdzone do spożycia produkty z owadami, to w internecie wybucha afery? Skąd ta rozbieżność?

– Polacy są uprzedzeni i jak już wspomniałam, są to m.in. uwarunkowania kulturowe, bo truchła toczą robaki, a jeśli chodzi o szarańczę – pierwsze skojarzenie to biblijne plagi.

A dlaczego świeżo zabite ryby leżące w lodzie na targu nie budzą obrzydzenia, a jadalne owady już tak? Albo krewetki, które są panierowane w całości, a potem te pancerzyki należy zdjąć?

– Należy rozgraniczyć jedną rzecz: liczba osób jedzących mięso z ryb jest niewspółmiernie mniejsza niż liczba osób jedzących mięso ze zwierząt hodowlanych.

A karp na wigilię obecny w każdym polskim domu? Albo śledzik do wódki?
– Owszem, ale to tradycja mocno uwarunkowana kulturowo. Spójrzmy perspektywnie: jak porównamy, ilu ludzi rzeczywiście zjada karpia czy inne ryby z okazji jakichś świąt w roku, a ilu spożywa mięsne posiłki każdego dnia, to skala jest nieporównywalna. Z owadami jest podobnie jak kiedyś z owocami morza. Jakby 20-30 lat temu powiedział pan komuś o krewetkach czy homarach, to zareagowałby z podobną

nieufnością. Istnieje pojęcie określane jako neofobia żywniowa, która polega na niechęci do nowej i nieznannej żywności. Badania wskazują, że duży wpływ na ograniczenie niechęci do nowej żywności mają podróże, zwłaszcza w odległe rejony świata. Gdy ludzie podróżują, rozszerzają swoje horyzonty kulinarne, zmieniają nawyki żywieniowe, sięgając po produkty dotychczas niespożywane.

A jakiś estetyczny wymiar? Dlaczego pieczone prosię w jabłkach albo dzik na wystawnym weselu nie szokuje? Czy to już pewnego rodzaju szowinizm gatunkowy, że zwierzęta uznane za ładne jest nam łatwiej jeść, a te brzydkie – nie?
– Myślę, że obyczajowo to się zmienia, ale tak, Polacy po prostu kochają mięso, jest ono obecne w naszej kulturze od wieków, a jego jedzenie bardzo długo było związane ze statusem społecznym. To nie tylko powinno, ale wręcz musi się zmienić, niestety potrzeba czasu. Między innymi dlatego w moich badaniach zajmuję się analizą zachowań ludzi względem owadów, w tym skłonnością do ich spożywania. Aktualnie prowadzę badania pozwalające udzielić

odpowiedzi na pytania, jak konsument reaguje na kontakt z owadem jadalnym; czy będzie on skłonny skosztować owada jadalnego, nabyć produkt z dodatkiem owadów, wiedząc, że ich produkcja ma zba- wienny wpływ na środowisko w porówna- niu z produkcją mięsa.

A czy pan wie, jak się uśmierca jadal- ne owady?

Pierwszym skojarzeniem jest nieste- ty but.
– No właśnie! Tymczasem produkcja owa- dów, w tym ich uśmiercanie, nie jest tak brutalna, jak w przypadku zwierząt ho- dowlanych, ponieważ umieszcza się je w zamrażarce, a one zwyczajnie zasypiają.

W porównaniu z pistoletem pneu- matycznym czy rytualnym ubojem to brzmi humanitarnie.
– Zdecydowanie tak. Prawie 20 lat prowa- dziłam badania z wykorzystaniem mię- sa. Odbyłam staże w rzeźniach i zakładach drobiarskich, obserwując proces ubija- nia zwierząt, i był to czas, kiedy praktycz- nie wyeliminowałam mięso ze swojej diety. Potrzebna jest edukacja. Jestem przekona- na, że z czasem wybory konsumentów bę- dą inne, bardziej proekologiczne.

W jednym z wielkopolskich przedszkoli wybuchła afera, bo na filmie dzieci jedzą suszone owady. Internauci ruszyli do bo- ju i zastraszyli wszystkich w przedszko- lu. W parze z hejtem pojawiły się także oskarżenia, że to trucie dzieci, ponieważ owady mają szkodliwe pancerzyki oraz mogą wywołać reakcje alergiczne. Co z tego było prawdą?
– Jak każda żywność, owady mogą uczu- lać. Predyspozycji i skłonności jest tyle, ilu ludzi, a reakcje alergiczne są indywidual- ną kwestią, którą może wywołać prawie każda żywność czy produkt, bo także mię- czaki, skorupiaki czy pszczoły. Badania na owadach jadalnych trwają, a u części osób [owady] mogą wywołać reakcje alergiczne. Należy jednak podkreślić, że są to reakcje alergiczne jak te powszechnie występują- ce na gluten, laktozę, pyłki drzew, roztocza, orzechy. Proszę zauważyć, że nie słyszy się ludzi atakujących migdały albo twierdzeń, że orzechy są trujące, bo mogą wywołać u niektórych osób alergię.

To samo było we wrocławskiej czekola- dziarni, gdzie lody posypywano prażo- nymi larwami. W komentarzach napisa- no m.in., że „owady zawierają w swoich egzozskieletach naturalny składnik strukturalny zwany chityną. Ten włókni- sty polisacharyd jest wyjątkowo toksycz- ny dla ludzi. W szczególności chityna wyzwała stany zapalne i reakcje immu- nologiczne”.
– Chityna to polisacharyd, główny budu- lec pancerzy owadów. Występuje również w ścianach komórkowych grzybów i wo- dorostów, które przecież także są pożywie- niem. Chityna to błonnik pokarmowy, któ- ry służy wymiataniu treści pokarmowej z jelit i sprzyja prawidłowemu funkcyjno- waniu organizmu. Katedra Biotechnolo- gii i Analizy Żywności, której jestem pra- cownikiem, współpracuje z uniwersyte- tem w Kenii, gdzie w ramach międzynaro- dowego projektu bada się wykorzystanie owadów w diecie najmłodszych dzieci jako sposobu walki z głodem w Afryce.

To jak powinno się wpływać na optykę społeczną dotyczącą jadalnych owadów? Kampanie informacyjne, warsztaty i pogadanki dla najmłodszych?
– Jak najbardziej. Zrobiliśmy już nawet wstępne badania na naszej uczelni, które pokazały ciekawe wyniki. Po pierwsze, edu- kacja już na poziomie elementarnym, czyli obrazki, kolorowanki z owadami jadalnymi na talerzu, gry, rymowanki. Ogólne oswaja- nie najmłodszych dzieci, że jadalne owady mogą być składnikiem zdrowej diety. Dru- gą rzeczą są warsztaty i pokazy dla mło- dzieży i dorosłych, gdzie można spróbować

konkretnych produktów czy potraw. Trze- cią są działania medialne ocieplające wize- runek owadów. Począwszy od terminolo- gii, z której należy wyrzucić negatywnie ty- pujące zwroty jak „robactwo”, po rzetelne i merytoryczne kampanie społeczne.

Może gdyby Magda Gessler poświęciła odcinek swojego programu, to ludzie by się przekonali?
– Może. Wiem, że niedawno Robert Makło- wicz odniósł się do tematu jadalnych in- sektów, i z tego, co słyszałam, to skrytyko- wał kampanię hejtu i nienawiści wobec tej żywności [wywiad z Robertem Makłowi- czem na kolejnych stronach].

Jakie są wartości odżywcze jadalnych owadów w porównaniu choćby z mię- sem?
– Podstawową różnicą jest zdecydowanie wyższa zawartość białka. Tradycyjne mię- so ma średnio około 20 gramów białka w 100 gramach produktu, a owady nawet ponad 60 gramów. Te, które są teraz popu- larne i dostępne, np. świerszcz i mącznik, mają właśnie tyle. Kolejna różnica to to, że mięso zawiera nasycone kwasy tłuszczowe, a owady są źródłem wielonienasyconych kwasów, czyli mówiąc potocznie tych do- brych, których w mięsie jest mało. Oprócz tego owady są źródłem wapnia, co jest szczególnie dla nas ważne, bo w polskiej diecie w ogóle jest go mało. Często może- my usłyszeć, że mięso jest największym źródłem białka, żelaza i witamin z grupy B, ale o owadach możemy powiedzieć to sa- mo. Ponadto owady zawierają cynk, ma- gnez, witaminy A, E i C.

W 2021 r. Europejski Urząd ds. Bezpie- czeństwa Żywności wpisał larwy chrzą- szcza mącznika młynarka do katalogu nowej żywności. W tym roku Unia wydała zgodę na stosowanie produktów na bazie sproszkowanych świerszczy domowych, do obrotu trafią też larwy pleśniakowca lśniącego w różnej posta- ci. Czy jadalne insekty stają się przyszło- ścią żywienia na bazie mięsa?
– Nie mamy innego wyboru. Owady ma- ją nie tylko wysoką wartość odżywczą, lecz także ich produkcja jest znacznie mniej ob- ciężająca środowisko od tradycyjnej pro- dukcji zwierząt hodowlanych. Produkcja owadów zużywa mniej prądu, wody czy paszy. Ich hodowla jest prosta – do pojem- ników, w których się znajdują, nie trzeba dodawać pestycydów czy antybiotyków.

W jakich warunkach hoduje się np. takie świerszcze? Jak to wygląda w praktyce?
– W internecie można znaleźć zdjęcia, fil- my: jak wyglądają fabryki owadów. Są to hale, gdzie owady umieszcza się w dużych, plastikowych pojemnikach przypomina- jących kontenery. Stosuje się sztucznie oświetlenie, temperatura pomieszczenia musi być utrzymywana na poziomie 30 st. C, a wilgotność wynosi 70 proc. Takie ho- dowle wymagają znacznie mniej zaangażo- wania ze strony ludzi, m.in. w procesie utrzymania czystości zoohigienicznej.

Czy w kontekście owadów też można użyć słowa „mięso”?
– Nie. Generalnie mówi się o całych owa- dach, larwach owadów bądź o sproszo- wanych owadach, które można wykorzy- stać jako „mąkę”.

Ile trzeba zużyć paszy, wody czy prądu, aby otrzymać kilogram takiego proszku z owada?
– Produkcja różnych gatunków owadów wygląda inaczej. Generalnie porównując produkcję owadów jadalnych z produkcją zwierząt rzeźnych, np. krów, otrzymujemy następujące wartości. Do otrzymania kilo- grama owada potrzeba około 2 kg paszy. W przypadku krów jest to około 25 kg. Co ważne, owady jedzą wszystko. Ma to istot- ne znaczenie w zrównoważonej gospodar- ce, ponieważ paszą dla owadów mogą być resztki lub odpady z przemysłu rolno-spo-

żywczego, np. wytloki owocowe czy wa- rzywne (pulpa z wytłaczanych jabłek).

Na skalę masową to są potężne różnice.
– To nie koniec. Aby otrzymać kilogram świerszczy, potrzeba 8,3 litra wody. Kilo- gram wołowiny wymaga ponad 24 tysięcy litrów wody. Kolejnym aspektem jest wiel- kość obszarów niezbędnych do hodowli. Proszę sobie wyobrazić krowy i inne zwie- rzęta, które są wypasane na łąkach, jak du- że są potrzebne obszary, a potem porówna z obiektem, w którym hodowane są owady. Produkcja zwierzęca wymaga wylesiania, produkcja owadów – nie. Teraz porównaj- my udział gazów cieplarnianych: w przy- padku produkcji 1 kg owada to 10 gramów ekwiwalentu dwutlenku węgla na kilo- gram wzrostu. W przypadku mięsa wo- łowego jest to 2850 gramów. Tutaj warto podkreślić, że hodowla zwierząt odpowia- da w tej chwili za prawie 20 proc. świato- wej emisji gazów cieplarnianych.

Te różnice są absurdalnie niewspół- mierne.
– Najtrudniej jest oszacować koszt zuży- cia energii. Jak już wspomniałam, w pro- dukcji owadów konieczne jest utrzymanie w pomieszczeniach temperatury na pozio- mie 30 st. C. Zatem koszt utrzymania sys- temów grzewczych i wentylacji może być stosunkowo wysoki. Do tego dochodzą prąd potrzebny do wygenerowania oświe- tlenia oraz pracy zamrażarek, w których owady się uśmierca, oraz potencjalne li- nie produkcyjne w przypadku rozwinięte- go przedsiębiorstwa. Ciężko jeszcze mówić o jakichś twardych szacunkach, ponieważ industrialnie te produkcje dopiero się roz- wijają. Generalnie jednak przyjmuje się, że hodowla jadalnych insektów w stosunku do innych zwierząt jest tańsza, zdecydowa- nie bardziej ekologiczna i ergonomiczna.

Przeciwnicy jedzenia owadów wskazują, że te powodują alergię.

Ale orzechy nie wywołują tyle emocji

A jak wygląda i ile trwa taki jeden cykl życia owada?
– To zależy od gatunku owada. Dorosła sa- mica mącznika młynarka po około 10-14 dniach po kopulacji składa kilkaset jaj, oko- ło 400-500, z których w ciągu 2-3 tygodni wylęgają się małe larwy. Przechodzą oko- ło 16 cykli linienia, to trwa blisko cztery miesiące. Potem część takich – trzycenty- metrowych larw – idzie do spożycia dla lu- dzi, a inne przekształcają się w poczwarki, z których wyrastają dorosłe owady. I cykl zaczyna się od początku.

A czy poza alergiami są jakieś obszary, w których badania naukowe zakładają, że może pojawić się jakieś ryzyko bądź coś innego, szkodliwego?

– Cały czas trwają badania substancji an- tyodżywczych oraz mikroorganizmów wy- stępujących w owadach. W praktyce pro- dukty, które trafiają do sklepów, są bez- pieczne.

OK, oczyściliśmy i wydobyliśmy ten pro- szek z dorosłego świerszcza. Co robimy z resztkami?
– I tutaj niespodzianka: może być wykorzy- stywany jako nawóz. Jak pan widzi, owa- dy jadalne są nowym składnikiem żywno- ści o ogromnym potencjale. Zmiany klima- tu i degradacja środowiska zagrażają przy- szłości następnych pokoleń. Dlatego po- trzebne są działania zmniejszające nega- tywny wpływ gospodarki na środowisko. Owady są postrzegane jako zrównoważone zasoby w konsumpcji i produkcji.

Jak wygląda praca w takiej fabryce owadów? Żeby dzisiaj zrobić np. pasztet, to człowiek przez większość czasu siedzi przed komputerem bądź przed innym sprzętem, dzięki któremu dogląda proces: choćby mechanicznego oddzie- lania mięsa od kości. Czy praca na takiej farmie owadów może wygenerować np. dużo miejsc pracy?
– Wydaje się, że nie. Na pewno potrzebna będzie osoba, która sprawdzi warunki sa- nitarne hodowli, oczyści pojemniki z resz- tek żywności, martwych owadów, uzupeł- ni wodę, pożywienie, zajmie się separa- cją larw i przesiewem jaj. Warto zwrócić jednak uwagę na przetwórstwo żywności z wykorzystaniem owadów jadalnych. Tam można szukać miejsc pracy.

Na prawicy grzmią, że owady oraz „mą- ka” z nich wytwarzana jest zagrożeniem dla Polskich rolników.
– Na pewno nie. Są co najwyżej alterna- tywą, a rolnicy dobrze wiedzą, że na ta- kiej produkcji można zarobić. Co więcej, nikt nikogo nie stawia przed faktem doko- nanym albo obowiązkiem wyboru. Rolni- cy mogą wykorzystać swoje zbiory tak, aby ich część przeznaczyć na pasze dla owa- dów. Można skorzystać z modelu, że to owady są paszą dla zwierząt hodowlanych. Ponadto rolnicy sami mogą zakładać fermy owadów. To wszystko kwestia wiedzy i do- informowania.

Wybiegnę w przyszłość i zapytam, czy bezmięсна rzeczywistość – bo raczej ku temu się wszystko sprowadza w kon- tekście jej wysokoemisyjnej produkcji i hodowli oraz kosztów klimatycznych – będzie syntetyczna czy właśnie owa- dzia?
– Człowiek nie musi się wyzbywać zupeł- nie mięsa, a narrację bezmięsnej rzeczywi- stości uważam za niekoniecznie pożytecz- ną. Kluczowe jest ograniczenie ilości mię- sa i zróżnicowanie naszej diety, a tym sa- mym zmiana nawyków żywieniowych. We- dle prognoz w 2050 roku na planecie bę- dzie blisko 10 miliardów ludzi i będziemy potrzebować nowych źródeł pożywienia. Mięso hodowane komórkowo oczywiście jest jednym z rozwiązań, ale nie jedynym. Oprócz owadów w grę wchodzą także algi. Na razie potrzeba czasu, aby zamienniki mięsa oferowane w różnej postaci stały się znacznie bardziej dostępne cenowo.

Powiedzmy, że odwiedza panią koleżan- ka, która jest sceptycznie nastawiona do jadalnych owadów. Jak by pani próbo- wała ją przekonać?
– Przygotowałabym jej produkt, potrawę z dodatkiem sproszkowanych owadów, tj. chleb, ciastka, naleśniki, makaron, kotle- ciki, pasztety. Niejedną koleżankę przeko- nałam już do jedzenia owadów jadalnych właśnie w ten sposób, czyli ukrywając owa- da w produktach bazujących na mące. Na- leży również zwrócić uwagę na fakt, że do jedzenia owadów jadalnych nikt nas nie chce zmusić. Wprowadzenie owadów ja- dalnych do diety będzie naszym świado- mym wyborem. ●



Z **ROBERTEM MAKŁOWICZEM**
ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Mój kolega – warszawski konserwatysta – powiedział niedawno: „Za nic nie wezmę do ust świerszcza ani innego robaka”. A pan?

– Nie uważam się za konserwatystę, ale również świerszczy nie jadam. Świerszczy – podkreślam, a to dlatego, że nie znam żadnego ich smacznego zastosowania. Ale np. niedawno w Meksyku zainteresowałem się składem posypki, którą przyozdabiało szklanice z koktajlami na bazie tequili. Owa posypka była czerwona i miała przyjemny, kwaskowaty smak. Jak się okazało, jej bazą były zmielone czerwce kaktusowe, czyli małe owady, z których pozyskuje się barwnik o nazwie koszenila. Jak ktoś przed 2006 rokiem pił aperitif o nazwie campari, to spożywał również ów owadzi wywar, pochodzący w dodatku od pluskwiaków, bo do tej wspaniałej rodziny czerwce kaktusowe zaliczamy. Nie słyszałem w tej sprawie masowych protestów. Dzisiaj byłyby nieaktualne, od 2006 roku bowiem campari swą karminową czerwień zawdzięcza roślinie, marzaniec vel marzannie barwierskiej. Tropiciela owadów w żywności niechaj w dalszym ciągu zachowają czujność, widząc na etykiecie symbol E-120, ponieważ oznacza on, że produkt spożywczy zabarwiono koszenilą. Jest to co prawda barwnik naturalny i nieszkodliwy, ale też dyskusja o świerszczach nie dotyczy przecież ich ewentualnej szkodliwości.

Skoło już do świerszczy wróciliśmy, to nie sądzę, aby chęć lub niechęć do ich konsumpcji wiązała się z poglądami politycznymi. Robaki i owady są najczęściej jadane nie z powodu światopoglądu, tylko z konieczności. W Kambodży do dziś możemy zjeść smażone pająki (tarantule), ale nie jest to wynik niezwyklej miłości Khmerów do owadziego białka, lecz efekt przerażającej zaszłości, rządów reżimu Pol Pota miałowicie.

Ludzie poczęli jeść pająki z głodu, a dziś z chęci zysku podają je nieogarniętym turystom, którzy myślą, że to odwieczny lokalny przysmak.

CHRZANU

Jako silny i głupi zawsze wyrabiałem ciasto drożdżowe

Są rzeczy, które jadano kiedyś powszechnie w naszej części świata, choć dzisiaj przez wielu mogą być uważane za okropieństwo: choćby ślimaki czy – bardziej ekstremalne – ogony bobrów. Jadano te potrawy, aby oszukiwać posty, które ongiś były rygorystycznie przestrzegane. Jako nacja ślimaków na talerzu nie witamy dziś z entuzjazmem, co nie przeszkadza nam być potęgą w ich hodowli, na eksport. A bobry są pod ochroną.

Ale ma pan wrażenie wzrostu natężenia zawartości polityki na polskich talerzach? Demonstracyjne jedzenie lub niejedzenie kotletów z prawa i z lewa w odpowiedzi na rekomendacje brytyjskich naukowców dotyczące ograniczenia spożywania mięsa. „Nie odbieracie nam nabiału”, „Nie będziemy jeść maki z robali” – mówi prawica. „Wasze żeberka kosztują więcej niż ośmiorniczki PO” – ripostuje lewica.

– Jedzenie może być polityczne, ale nie musi. Ostentacyjnie pokazywana zawartość talerza może być demonstracją wielu rzeczy – bogactwa, przynależności do danej warstwy społecznej, aspiracji. Może, ale czy zawsze jest? Czy facet jedzący w knajpie wielkiego steka musi być z automatu klimatycznym negacjonistą i wielbicielem Donalda Trumpa? A czy ten, który akurat spożywa hummus i szpinak duszony na oliwie to bez dwóch zdań aktywista partii zielonych? Zapędziliśmy się, a ściślej biorąc, daliśmy się zapędzić w ślepią uliczkę przekazami, które mają nas celowo polaryzować politycznie, a przekaz gastronomiczny jest tu li tylko pretekstem.

Rekomendacje dotyczące ograniczeń w spożywaniu mięsa w kontekście katastrofy klimatycznej zostały wykorzystane do zapędzenia opozycji w narożnik z napisem „mąka ze świerszczy”. Przecież już wcześniej z powodów ideologicznych i politycznych wyśmiewano zwolenników diety bezmięsnej – pamiętamy przecież słynne słowa pana Waszczykowskiego o weganach i cyklistach. To niestety cały czas znajduje posłuch. Mam wszakże nadzieję, że coraz mniejszy.

Znam naprawdę wielu ludzi o różnych poglądach i daję pani słowo, że niekoniecznie ludzie o poglądach liberalnych czy lewicowych są weganami, a prawicowcy nie są wyłącznie zjadaczami krwistych antrykotów. To jest chybiony konstrukt – to destrukcja. Zdjęcia znad talerza z kotletem i deklaracją: „Nie dam sobie go odebrać” – to było bardzo żenujące i infantylne widowisko.

Konsumenckie wybory indywidualne, które np. ograniczają spożycie mięsa – bardzo szanuję. Takie wybory nie tylko nie szkodzą innym, ale też pomagają nam wszystkim – tym bardziej należy je uszanować.

W której części „jadłospisowej historii społecznej” właśnie się znaleźliśmy?

– Jesteśmy w bardzo ciekawym, choć dosyć kłopotliwym miejscu. W kontrze do kompleksu biedaka i w uwielbieniu dla etosu szlachcica – sarmaty. Problem w Polsce polega na tym, że po raz pierwszy w naszej historii poczuliśmy jako społeczeństwo nadmiar i skończyliśmy z deficytem. Mamy do czynienia z drugim, najwyżej trzecim pokoleniem, które jeśli chce, może co-

dziennie, a nawet kilka razy dziennie, jeść mięso. A ono zajmuje szczególne miejsce w narodowym imaginariu. Choć szkoła wychowuje nas w tradycji szlachecko-sarmackiej, to 90 procent z nas pochodzi ze wsi, gdzie przez wieki przeważnie panowała bieda i gdzie mięso oraz jego konsumpcja były wyznacznikami zamożności oraz awansu społecznego. Nagle osiągnięty dobrobyt skutkuje też marnotrawstwem żywności. Córy i synowie włościan nasączani są edukacyjnie kulturą sarmacko-szlachecką. Zastaw się, a postaw się – każdy przecież zna w Polsce to irracjonalne w gruncie rzeczy powiedzenie. Nie musimy się już zastawiać, by się postawić, więc wyrzucamy z frazą na ustach: „Co, mnie nie stać?!”.

Inflacja zdaje się trochę te zapędy ograniczać, ale wciąż ma się wrażenie ogromnych rozmiarów naszego codziennego spożycia.

– Nie znam precyzyjnych danych, lecz zdaje się, że po raz pierwszy od wielu lat konsumpcja spadła. Nie wiem, czy ta stricte spożywcza również, ale przecież robiąc nader często zakupy, widzę ludzi z zakłopotaniem przyglądających się cenom na półkach i straganach. Widzę też przeglądających w supermarketach kosze z towarami przecenionymi, którym kończy się termin przydatności do spożycia. Sam w nich grzebię, choć ze wstydem przyznać muszę, że nie tylko o ekonomię mi chodzi, np. leciutko przeterminowane dojrzewające sery są jeszcze lepsze.

Nasi przodkowie, zwłaszcza ci pamiętający niedostatek, szanowali jedzenie. Wciąż bogatsze od nas społeczeństwa Zachodu tę lekcję już mają raczej przerobioną. We Francji sklepy pod groźbą odpowiedzialności finansowej mają obowiązek przekazywać wycofywaną z półek żywność potrzebującym. Konsumujemy nie tylko jedzenie, więc teraz pozwól sobie wspomnieć o konsumpcji innego rodzaju. W Belgii mieszkałem przez kilka tygodni w małej wiosce dość blisko autostrady, zresztą wszędzie w Belgii jest dość blisko do autostrady. Zarówno tam, jak i w innych miejscach dostrzegłem przy wjazdach i zjazdach

dach z autostrad niejako gminne, duże i bezpłatne parkingi, parkingi w środku niczego. Spytałem, o co chodzi. Otóż praca jest najczęściej w miastach i ludzie do niej dojeżdżają autami. By każdy nie musiał własnym, umawiają się, dojeżdżają kilka kilometrów do rzeczzonego parkingu, wsiadają w kilka osób do jednego auta wedle celu podróży, a zbędne auta na nim zostawiają. Tak jest taniej, a i ogólna konsumpcja paliwa mniejsza.

Choć nie jestem psychologiem ani socjologiem, zdaje mi się, że rozumiem te nasze tęsknoty za sytością w nadmiarze. Znam polską historię i wiem, jak tu było wcześniej. Rozumiem, że fetyszyzacja nadmiaru jest często działaniem nieświadomym. To chęć nadrobienia wiekowych doświadczeń z epoki niedosytu, chęć zasypania krzywd i upokorzeń, jakich nasi przodkowie doświadczaali. Robimy to również przez talerz, a nawet przez półmisek. Jego wielkością chcemy udowodnić, że mamy się dobrze i że wszystko gra. To sfera emocjonalna i właśnie dlatego wkraczają w nią politycy, oni przecież uwielbiają grać na emocjach, zwłaszcza jeśli te są silnie odczuwane, lecz trochę nieostre. Cierpliwa i spokojna edukacja, tłumaczenie współczesnego świata i stojących przed nami wyzwań wydają mi się po stokroć bardziej pożądane niżli robienie sobie zdjęć z kotлетem, którego chcą nam przemienić w świerszcze.

A nie ma pan wrażenia, że asceza wegańska środowisk lewicowych sprzyja tej polaryzacji i temu, że nie da się znaleźć złotego środka w tym dialogu?

– Od dawna nie dostrzegam w tendencji wegańskiej wyłącznie ascezy i ideologii. O ile 10, 15 lat temu wizyta w restauracji wege była niczym wyznanie wiary, a spożrzenia współbiesiadników zdawały się mówić: „Witaj w naszym klubie, to my jesteśmy ci lepsi, bardziej uświadomieni”, to dzisiaj nie widzę tego. Po pierwsze – niebywale zwiększyło się grono wegetarian i wegan. Po drugie – również jedzący mięso jeli dostrzegać bezmięsne przyjemności. Poziom gastronomii generalnie bardzo się poprawił, dziś knajpy wege to wcale nierzadko prawdziwe świątynie Lukullusa. Chodzę do wielu dla czystej przyjemności konsumpcji. Dobre jedzenie to pojęcie nader uniwersalne i z mego punktu widzenia nie jest dobre tylko dlatego, że jest w nim mięso.

Nie tęskni pan ze sezonowością życia, za tym, że kiedyś niektóre produkty były dostępne tylko w określonych porach roku?

– Ale dzisiaj wciąż wiemy, że pomidory są najlepsze w lipcu, sierpniu czy we wrześniu. Zimą i wiosną właściwie nie kupuję pomidorów świeżych, wyjąwszy koktajlowe – w nich jeszcze drzemie kondensacja pomidorowego smaku i zapachu.

Wiadomo, że jarmuż jest najlepszy po pierwszych przymrozkach, lokalne szparagi są w maju i początkach czerwca, skorzonera – zimą. Rzodkiewka i ogórki z gruntu zwiastują wiosnę, pierwsze młode nasze ziemniaki to „janówki” (czyli na Świętego Jana), wiemy, kiedy jest sezon na czereśnie, borówki, czyli jagody i porzeczki.

Lokalnie i sezonowe wciąż smakuje najlepiej.

Proszę spojrzeć, co dzisiaj mamy w sklepach. Jasne, że ceny warzyw poszybowały w górę, ale przez cały rok możemy kupić rzodkiewkę, pomidory, salate. Teraz jeszcze nie ma gruntowych rzodkiewek – te, które są, nie smakują właściwie niczym. Są już truskawki z Hiszpanii, szparagi z Chile. Te raczej omijam. Lecz niedawno kupiłem sobie młode ziemniaki z Cypru, zjadłem z masłem, koperkiem i kefirem. Były niezłe, ale jednak miejscowe, te wyczekane, lepsze.

Czyli – mam rozumieć – ogranicza pan konsumpcję mięsa?

– Nie nacinam karbów na kosturze, jak tylko zjem gulasz czy sznycla, nie prowadzę

stosownych spożywczych memuarów, ale z pewnością jem znacznie mniej mięsa niż kiedyś. Jest tyle innych wspaniałych możliwości! Musiałem też wyleczyć się z odziedziczonej po czasach peerelowskich fetyszyzacji mięsa. Jego ówczesne niedostatki, kartki i bunt społeczeństwa z powodu podnoszenia cen kielbasy uczyniły z mięsnej kuchni symbol wolności, dostatku i powodzenia. Proszę dołożyć do tego ów wspomniany wcześniej aspekt wiekowej wiejskiej biedy, a zrozumiemy, dlaczego wchodzimy w sferę emocjonalną. Wystarczy jednak to sobie uświadomić, by odrzucić emocje i starać się racjonalnie sterować swym jadłospisem. Spójrzmy na drugą stronę owej wzniesionej przez nas samych barykady. Rozumiem wyzwania związane z kryzysem klimatycznym, rozumiem działania mające poprawić dobrostan zwierząt hodowlanych, w niektóre nawet sam się angażuję, nie rozumiem wszakże aktywistów klimatycznych obrzucających ziemniakami cenne obrazy w muzeach. To działania kontrskuteczne, wymarzony argument dla tych, co przestrzegają przed światową pajęczyną ponurego spisku wegan z cyklistami.

W mych rodzinnych annałach zachowały się zapiski kulinarne i przepisy spisane rękoma prababć. Odnajduję w nich wiele mądrości i źródło sensownej diety.

Dieta chłopska na przednówku, czyli jedzenie zupy z pokrzyw?

– Bardzo dobrej zupy, zresztą. Nie, tego tam nie ma, moja rodzina nie ma w zasadzie korzeni wiejskich. Nie ma też magnackich, więc próżno w nich szukać kwiczołów na postumencie i wołu w całości pieczonego na rożnie. Jest tam natomiast dużo warzyw strączkowych, są kasze w różnych postaciach, również desery z ich udziałem, są też kasze egzotyczne, np. leguminy z sagó i tapioki – świadczą to o tym, że globalizacja spożywcza to wcale nie sprawa ostatnich kilkunastu lat. Jest dużo przepisów na knedle przygotowywane na bazie czerstwego pieczywa – czyli to nie my tu i teraz wymyśliłmy koncepcję zero waste. Jest tam wyraźnie widoczna sezonowość. Zimą jadło się warzywa korzeniowe, kiszoną kapustę, w Krakowie kisiliśmy jeszcze głąbiki, taka lokalną kapustkę, która zniknęła w latach 70. ubiegłego wieku; podobno trwają prace, by ją przywrócić ludzkości.

Na przednówku też jem dużo warzyw korzeniowych. Wczoraj i dziś na przykład jem barszcz ukraiński: buraki, marchewka, cebula, ziemniaki, czosnek, biała kapusta, czerwona fasola, koncentrat pomidorowy i bulion warzywny. Do tego śmietana oraz bardzo dużo koperku. Ugotowałem cały gar. Oryginalna wersja jest najczęściej gotowana na wieprzowych żeberkach, ale i bez nich zupa jest równie wybitna jak prosta.

Ma pan coś na wielkanocnym stole, czego nie ma w tradycyjnym polskim domu?

– Niezależnie od tego, czy chodzimy do kościoła, czy nie, wyrosliśmy w kręgu kultury chrześcijańskiej. A jednym z jej symboli jest baranek. Więc wówczas pojawia się też na naszym stole, wszakże nie z cukru czy ciasta, lecz pod postacią pieczeni.

To tak à propos ograniczania konsumpcji mięsa...

– Ale to jedynie pieczeń, nie całe jagnię z rusztu. Wędlin za to coraz mniej, gdyż ich nieumiarkowana konsumpcja zdaje mi się zajęciem nieco monotonnym. Rozumiem ideę wielkanocnego śniadania, lecz nie rozumiem braku wielkanocnego obiadu z czymś ciepłym. Tak naprawdę siadamy w Wielką Niedzielę do stołu koło południa i śniadanie dość płynnie przechodzi w obiad. Staram się też o zieloności na stole, robię np. doskonały liguryjski placek, zwany torta pasqualina, a więc to wypiek paschalny.

Miesza się ricottę, starty ser typu pecorino, grana albo parmezan, dodaje się do

tego jaja, całą zieleninę, która akurat jest, czyli botwinke, szpinak, rukolę, natkę pietruszki, obficie doprawia galką muszkatołową, taką masą nadziewa wytrawne ciasto z mąki, jajek, soli i oliwy, piecze, a potem po wystygnięciu kroi jak tort – jest to boskie!

Pamiętam, że w PRL-u dokładnie w tym samym czasie, w którym teraz rozmawiamy, moi rodzice mieli kupioną i zamrożoną półtuszę cielęcą. Mieliśmy szczęście, ponieważ znajoma rodziców przysłała im z Austrii skrzyniową zamrażarkę, w której się to całe mięso mieściło Często wówczas jeździli do myjni samochodowej, czemu bardzo się dziwiłem. Myli ten nasz samochód i myli. Wyjaśnienie tej niespodziewanej potrzeby automobilowej higieny było bardziej prozaiczne: właściciel myjni miał na zapleczu nielegalny punkt handlu mięsem. Przyjeżdżała w to miejsce kobieta ze wsi z półtuszami. Rodzice wyjeżdżali stamtąd z bagażnikiem pełnym cielęciny i wieprzowiny, a potem mama sama robiła wędliny, by były na święta. O tempora! o mores!

Niepostrzeżenie wracamy do początku rozmowy, czyli mięsnych niedoborów, które dzisiaj są winowajcą naszych kulinarnych polaryzacji.

– Nie musimy się cofać do pańszczyzny, uciskania chłopów – wystarczy przypomnieć, jaki status miało mięso w PRL-u. Przecież wszystkie bunt w tamtej epoce (wyjąwszy rok 1968) nie były u swych podstaw patriotycznymi zrywami w obronie wolności. Ich podstawą, ich zapalnikiem była niezgoda na ograniczenie spożywania mięsa i ceny kielbasy. Dopiero potem dołączano do tego polityczne konotacje i żądania zmiany społecznej.

Dlatego tak trudno nam jako społeczeństwu normalnie o tym rozmawiać. Gdybyśmy żyli, podobnie jak w krajach Euro-

Czy facet jedzący wielkiego steka musi być z automatu klimatycznym negacionistą i wielbicielem Donalda Trumpa?

py Zachodniej od dziesiątków lat w normalnej gospodarce – prawdopodobnie żadne polityczne wojny o kotlety nie miałyby u nas racji bytu, bo żaden z rządzących nie wpadłby na to, że można tym ludzi polaryzować.

Co pan proponuje zamiast wojen o kotlety? O czym politycy powinni rozmawiać, jeżeli już chcą zaglądać Polakom do talerzy?

– Każdy kraj stara się promować swoje własne rolnictwo. Nie ma w tym nic szowinistycznego – w końcu tworzymy własny budżet i go konsumujemy. W Wielkiej Brytanii już wiele lat temu widziałem na sklepach naklejki głoszące „buy british”, Włosi czy Chorwaci umieszczają na produktach własne flagi, Francuzi czy też Austriacy czytelnie oznaczają dobra spożywcze na miejscu wytworzone. Dla wielu ludzi kupowanie rodzimych produktów jest również w jakimś sensie synonimem bezpieczeństwa. Choćby dlatego, że łatwiej znaleźć winnego, jeśli coś pójdzie nie tak. Te kwestie i lęki są wykorzystywane przez populistów na całym świecie, pamiętam przecież, co wygadywał były już czeski premier Babiš na temat polskiej kielbasy bodajże. Kierując się tymi lękami, niemal wszyscy twierdzą, że ich żywność jest najlepsza i najbezpieczniejsza. Jednak od polityków oczekiwałbym przede wszystkim stworze-

nia odpowiednich warunków do produkowania żywności. Myślę o warunkach gospodarczych, podatkach, preferencyjnych kredytach. Choć możemy dziś kupić w Polsce artykuły spożywcze z całego niemal świata, z czego się cieszę, to zarazem wiem świetnie, że mango nie zastąpi nam jabłek, bataty nie wyprą ziemniaków, a kapusta pak choi nie zdetronizuje kapusty białej czy włoskiej.

Pamięta pan ulubione smaki wielkanocne z dzieciństwa?

– Pamiętam, że Wielkanoc była niegdyś również malarńką jedzeniową traumą, gdyż nie znosiłem jajek na twardo, więc życzeniowo dzieląc się jajkiem przy stole, pakowałem na nie zawsze dużo chrzanu. To przeszłość. Dziś tylko przegotowane jajka na twardo, takie z czarną obwódką, budzą mój zdecydowany opór.

Jako silny i głupi zawsze wyrabiałem ciasto drożdżowe. Czuję je do dzisiaj w rękach, wiem doskonale, kiedy odchodzi od dłoni, kiedy dodać masło, jak potem zagniatać i ile oraz kiedy musi rosnąć.

Chyba najbardziej lubię poniedziałkowy poranek, kiedy siadam do kawy i drożdżowej babki. Wolę oprószoną pudrem niż polukrowaną, wolę mniej bakalii niż więcej. Oczywiście, że jadłem przy wyrabianiu surowe ciasto na babkę – smakowało pięknie i waniliowo. Bólu brzucha sobie nie przypominam. Robiło i robi się u nas w domu tzw. postne buły, czyli chalki drożdżowe z niemal wytrawnego ciasta. Kiedyś w Jeruzolimie zaproszono mnie do restauracji na szabasową wieczerzę. Z prawdziwym wzruszeniem dostrzegłem na stole wiele potraw obecnych u nas na wielkanocnym i bożonarodzeniowym stole: chalki, karpia w galarecie, ćwikłę z chrzanem i kminem. To dowód na przenikanie się kultur i dowód na potęgę niegdyśiejszej wielokulturowej i wieloreligijnej Rzeczypospolitej.

Czy dawniej te same rzeczy smakowały lepiej niż dzisiaj? W dzieciństwie zjadaliśmy się chlebem z musztardą chrzanową albo też ze śmietaną i cukrem. To z pewnością smakowało lepiej, ale nie dlatego, że kiedyś lepsze były śmietana, cukier czy musztarda. Dzieci potrafią się zająć okropieństwami.

W dzieciństwie marzyłem też, że jak dorosnę, kupię sobie całą puszkę szynki konserwowej i pożrę jej zawartość, nie dzieląc się z nikim. Mówiąc najkrócej – dziś już o tym nie marzę.

I znowu mięso wybrzmiewa nam politycznie.

– Cóż poradzić? U nas niemal wszystko jest polityką, mogą nią być również wspomnienia z odległej przeszłości. Wracając do nich, widzę jeszcze jedną rzecz, która odróżnia dzisiejszą Wielkanoc od tych zamierzchłych: kiedyś w święta dom wydawał zapach pasty do podłóg, a była to woń mocna, terpentynowa, wpadająca w nuty rozmarynu, jak dziś oceniam, choć wówczas tego nie wiedziałem. Prawdę mówiąc, wolę zapach rozmarynu w Dalmacji. ●

BIBI ZAMYKA LABORATORIUM IZRAEL

Oskarżony o usiłowanie podwójnego morderstwa: demokracji i high-techu

Andrzej Lubowski

Przyjaciół nigdy nie miał wielu. Najbliższym był brat. Jedyna osoba, którą Bibi naprawdę kochał, i jedyna, która go rozumiała. To on miał doświadczyć politycznych szczytów. Joni, nie Bibi. Ale Jonathan Netanjahu zginął tragicznie, dowodząc akcją odbicia izraelskich zakładników na lotnisku Entebbe w Ugandzie.

W jego śmierci Bibi dostrzegł nie tylko osobistą stratę, ale też narodową tragedię. I poświęcił kilka lat życia, aby za taką ją uznano. Był przekonany, że kraj potrzebował bohatera i le-

gendy, a ukochany brat znakomicie się do tej roli nadawał. Wiele lat później Benjamin Netanjahu powie, że twarda postawa wobec terroryzmu była rezultatem śmierci jego brata. Stworzył instytut jego imienia. A gdy nadarzyła się okazja, aby wziąć władzę, wziął ją i robi wszystko, aby jej nie oddać. Za żadną cenę.

Polityków, którzy mówią: dajcie mi władzę, a ja was urządzę, nie trzeba daleko szukać. Ale Bibi to gatunek wyjątkowy. Choć podobny da się znaleźć w Warszawie, gdzie urodził się ojciec premiera Netanjahu i gdzie jego dziadek Natan Milejkowski współzarządzał Liceum im. Magonusa Kryńskiego.

Ważny musi być powód, dla którego szef rządu demokratycznego państwa, otoczonego przez wrogów, popycha naród na skraj wojny domowej. Ehud Barak, kiedyś premier, szef sztabu generalnego armii, najbardziej udekorowany żołnierz w historii Izraela, mówi, że Bibi sięgnął po narzędzia demokracji, aby zniszczyć demokrację, bo się boi. Ma na karku policję, prokuraturę i wciąż niezależne sądy, bo Izrael nie stosował do tej pory taryfy ulgowej dla wysoko postawionych. Ciągną się za nim zarzuty, udokumentowane, potwierdzone przez byłych bliskich współpracowników, za które grozi odpowiedzialność karna. Nie byłby to ewenement w najnowszej histo-

rii kraju: Ehud Olmert, były premier i wieloletni burmistrz Jerozolimy, trafił do więzienia za złamanie przysięgi i przekupstwo. Prezydent Mosze Kacaw trafił do więzienia za gwałt. Bibi chce uniknąć ich losu.

Do tego potrzebuje podporządkować sobie sądy. Organa ścigania walkują kilka spraw: niektóre wagi piórkowej – biżuteria dla żony, koniaki, cygara i temu podobne łakocie od przyjaznych biznesmenów czy zarzut zмовy z wydawcą ważnego pisma, aby uzyskać przyjazne traktowanie. Więcej waży zarzut zaproponowania w 2015 roku sędziemu awansu na prokuratora generalnego w zamian za zamieszczenie pod dywan sprawy przeciwko pani premiero-

wej, która wydała 100 tysięcy dolarów ze środków publicznych na cele jak najbardziej prywatne. Jego były rzecznik zgodził się współpracować z policją i przedstawić nagrania rozmów Bibiego z żoną. Inny zaufany premiera zeznał, że na polecenie szefa zawierał korupcyjne umowy z gigantem telekomunikacyjnym. Były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego oświeca prasę, że wszystkim winna żona, która „wskazuje prawdziwych i wyimaginowanych przeciwników premiera, potęgując jego paranoje”. Można powątpiewać, czy sąd uznałby to za okoliczność łagodzącą. Bibi idzie drogą Trumpa, czyli w zaparte: wszystko to zmyślenia, lewacy czy inna swolocz.



Popleczników nigdy mu nie brakowało. Bez tego nie byłby premierem dłużej niż jakikolwiek inny polityk w historii Izraela. Teraz wspierają go głównie ultraortodoksyjni Żydzi i skrajnie nacjonalistyczna prawica. On, kształcony w amerykańskich uczelniach, byłaby w świecie, jest ultrasekularny. Z haredi, dla których religia jest wszystkim, nic go nie łączy. Ale ich potrzebuje. Pomogli mu nieraz, gdy okoliczności wyrzucały go z trajektorii władzy. A tego najbardziej Bibi nie lubi – znaleźć się daleko od władzy, szczytów, drogich koniaków i cygar. Lubi luksus. Nie lubi za ten luksus płacić z własnej kieszeni.

Gdy sąd najwyższy nakazał Netanjahu usunięcie z rządu za przestępstwa podatkowe człowieka pełniącego jednocześnie funkcje ministra zdrowia i spraw wewnętrznych, Bibi zrobił to „z ciężkim sercem i wielkim żalem”, jak oznajmił na posiedzeniu gabinetu. I dodał, że rozważa, aby w kolejnym rządzie awansować go na zastępcę premiera. Wielu z jego politycznych oponentów to niegdyś się sojusznicy i duchowi sprzymierzeńcy. Zraził ich jego brak skrupułów.

Prawo izraelskie zabrania członkowi gabinetu sprawować funkcję w przypadku formalnego oskarżenia, ale nic nie mówi o oskarżonym premierze. Bibi, zdaniem izraelskich komentatorów, cierpi na syndrom Ludwika XIV: państwo to ja. Wierzy w swoją rolę w historii i rozpiera go przekonanie, że nikt tak jak on nie jest w stanie zapewnić Izraelowi bezpieczeństwa.

O tym, że nikt mu nie ufa, „New Yorker” pisał ćwierć wieku temu. Już w 1998 roku sam Szymon Peres mówił, że jedyne, co interesuje Bibiego, to trwanie u władzy. Pozorną tylko zagadką jest to, że choć tak wielu Izraelczyków nie może go strawić, to tyle partii jest skłonnych iść z nim pod rękę. Ortodoksi wiedzą o jego stylu życia i wartościach, czy raczej braku takowych. Skrajna prawica uważa, że Netanjahu nie jest wystarczająco radykalny. Przybysze z Rosji i Żydzi sefardyjscy uważają go za obcego. Ale wszyscy oni wiedzą, że jest, po pierwsze, chorobliwie łasy na władzę, więc zrobi wszystko, aby ją utrzymać, a po drugie, jest dla nich bardziej do przelknięcia niż alternatywa, czyli lewicująca Partia Pracy. A Bibi wie znakomicie, jakim językiem mówić do potencjalnych koalicjantów.

Wojsku uważano go za inteligentnego, starającego się, ale niezbyt kreatywnego.

Gdy wylądował w Stanach, był za wojną w Wietnamie i przysiębiło go, że Jimmy Carter przekonał premiera Beginna do zawarcia pokoju z Egiptem. Kiedy Anwar Sadat przyjechał do Jerozolimy i ktoś ze znajomych Netanjahu zorganizował przyjęcie z tej okazji, Bibi zachowywał się, jakby to był pogrzeb. Układ z Camp David był jego zdaniem kapitulacją, a nie pokojem. Carter, który dwa lata temu odwiedził Izrael, powiedział, że nie wierzy w postęp w relacjach z Palestyńczykami tak długi, jak premierem jest Netanjahu.

W wyborach w 1996 roku, kiedy Bibi wystartował po raz pierw-

cha w balon prawdziwych i wydumanych sukcesów. W czasie pierwszej kadencji, wbrew rekomendacjom szefa Mosadu, rozkazał otruć Chalida Maszala, jednego z liderów Hamasu, w stolicy Jordanii, Ammanie. Misja skończyła się monstrualną kląpą – mówiono, że to nie była robota 007, ale inspektora Clouseau. Kilku agentów złapano, król Hussein zagroził, że w przypadku śmierci Maszala zapłaci głowę, i wymógł na Netanjahu dostarczenie odtrutki. Maszał przeżył i w 2004 roku został szefem Hamasu.

Ale arogancja nie tylko uchodziła mu wśród jego wyborców na sucho, lecz także potęgowała popularność – bo „nie dał sobie w kaszę dmuchać”.

Świat postrzega w kategoriach „my kontra oni”. Jego hardość w Ameryce bierze się z przekonania, że ani Biały Dom, ani Kongres nie odważą się obciąć pomocy Izraelowi, niezależnie od tego, co sądzą o jego premierze – nawet gdyby wprowadził dyktaturę. Nie byłby pierwszym dyktatorem, którego Ameryka wspierała. Obowiązuje w końcu podział na „naszych satrapów” i „ich satrapów”. A Izrael to szczególnie przypadek. W Waszyngtonie stoi za nim silne lobby proizraelskie, którego trzon to wcale nie Amerykanie żydowskiego pochodzenia, ale od jakiegoś czasu chrześcijańscy fundamentalisci, dla których poparcie Izraela z przyczyn religijnych stoi wysoko na drabinie priorytetów. Nie bez powodu nazywa się ich chrześcijańskimi syjonistami. Christians United for Israel przyznaje się do

sie pierwszego rządu Netanjahu. Motyw przewodni wszystkich wystąpień był prosty: nie będziemy służyć dyktaturze. Bo, jak podkreślił Barak, przyjęcie prawa, o które zabiega Bibi, oznacza w praktyce przekształcenie Izraela w dyktaturę.

Netanjahu nie rezygnuje z „reformy” – odsunął po prostu czas decyzji. Jeśli negocjacje z opozycją skończą się fiaskiem i nowe prawo zostanie uchwalone, sąd najwyższy zapewne je zawetuje. Co się stanie wówczas zależy głównie od tego, jak zachowają się tzw. strażnicy porządku, szczególnie szefowie czterech służb bezpieczeństwa: szef sztabu IDF (wojsko), Szin Bet (służba bezpieczeństwa), Mosadu (wywiad zagraniczny) i policji. Czyich rozkazów posłuchają – rządu czy sądu najwyższego – nie wiadomo. Nielatwo będzie im zachować się w sposób przypominający przewrót wojskowy. Ale skala protestów może zmienić tę optykę.

Michael R. Bloomberg, przez 12 lat burmistrz Nowego Jorku, największego skupiska Żydów na świecie – mieszka tam 1,6 miliona wyznawców judaizmu, czyli więcej niż w Jerozolimie i Tel Awiwie razem wziętych – przez wiele lat hojną ręką wspierał Izrael. Choćby z tego tytułu czuł się uprawniony, aby zrobić Bibiemu krótki wykład. „Moja miłość do Izraela, mój szacunek dla jego ludzi i moja troska o jego przyszłość każą mi przeciwstawić się próbom obecnego rządu faktycznego obalenia niezależnego sądownictwa”, napisał w „The New York Times”. Jego zdaniem Netanjahu igra z katastrofą: zagraża światowym soюзom państwa żydowskiego, jego bezpieczeństwu w regionie i samej podstawie demokracji, na której kraj zbudowano.

Szkody ekonomiczne już są odczuwalne. Wielu liderów biznesu i inwestorów wypowiedziało się przeciwko propozycjom rządu, prywatnie i publicznie. Ludzie zaczęli wyciągać pieniądze z kraju. „Jako właściciel globalnej firmy nie mam do nich pretensji. Firmy i inwestorzy przywiązują ogromną wagę do silnego i niezależnego systemu sądownictwa, ponieważ sądy pomagają ich chronić – nie tylko przed przestępstwami i korupcją, ale także nadużyciami rządu. Co równie ważne, bronią tego, co pracownicy cenią najbardziej: indywidualnych praw i wolności”.

Cena, jaką płaci Wielka Brytania za brexit, to, zdaniem Bloomberg, drobne grosze w porównaniu ze stratami z powodu tego, do czego przymierza się Bibi. To „bubkes” – Bloomberg sięgnął po słowo, które w żydowskim slangu znaczy tyle co nasze „małe piwo”.

Bibi dość skutecznie dowodził, że to, co się Izraelowi udało, to jego robota: szczególnie szczeni się „cudem gospodarczym” i sukcesami sektora nowych technologii. Cudu nigdy nie było, więc nie ma się czym szczycić. Natomiast Izrael dokonał rzeczywiście w krótkim czasie imponującego awansu technologicznego.

Według Research&Markets.com, największej na świecie bazy danych rynkowych, na początku lutego 2023 roku w Izraelu funkcjonowało około 9300 firm z branży high-tech, tysięcy funduszy kapitału podwyższonego ryzyka i in-

kubatorów nowej technologii oraz setki centrów R&D, czyli badawczo-rozwojowych.

Sektor wysokich technologii stał się koniem pociągowym gospodarki kraju. Daje pracę 10 procentom wszystkich zatrudnionych, na których przypada 25 procent całości wpływów podatkowych państwa. W 2021 roku 54 procent eksportu stanowiły towary i usługi high-techu – w sumie około 67 miliardów dolarów. Izraelczycy stworzyli ponad 90 tzw. jednorożców – prywatnych firm o wartości rynkowej przekraczającej miliard dolarów każda. W kraju funkcjonuje ponad 350 placówek naukowo-badawczych firm ponadnarodowych. Centra R&D mają tu firmy amerykańskie: Dell, Oracle, Hewlett-Packard czy Pfizer; niemieckie: Mercedes, Siemens, Merck czy Bayer; japońskie: Fujitsu, Mitsubishi czy Honda; holenderski Philips i francuski Thales.

Pod względem liczby naukowców i techników na 10 tysięcy zatrudnionych Izrael jest niekwestionowanym liderem. Zważywszy na zapotrzebowanie, ciągle brakujące mu fachowców. Na przykład dziś, 31 marca 2023 roku – gdy giganci Doliny Krzemowej tną zatrudnienie – Apple szuka 136 ludzi do centrów badawczych w Izraelu, głównie w Hercliji, w Tel Awiwie i w Hajfie.

Izraelczycy przedstawiają kilka scenariuszy genezy spektakularnego awansu technologicznego, ale w żadnym, nawet w charakterze statysty, nie występuje Bibi. Według jednej z wersji na dobre zaczęło się w 1987 roku od fiaszki programu militarnego, z którym wiązano ogromne nadzieje. Inni mówią, że iskry – a przy okazji korzeni owego programu – szukać trzeba wcześniej i oddać, co należy, generałowi de Gaulle'owi. Bo Francja, najbardziej lojalny sojusznik Izraela do lata 1967 roku, dokonała nieoczekiwanej wolty. Paryż dopiero co wypowiedziało się przeciwko propozycjom rządu, prywatnie i publicznie. Ludzie zaczęli wyciągać pieniądze z kraju. „Jako właściciel globalnej firmy nie mam do nich pretensji. Firmy i inwestorzy przywiązują ogromną wagę do silnego i niezależnego systemu sądownictwa, ponieważ sądy pomagają ich chronić – nie tylko przed przestępstwami i korupcją, ale także nadużyciami rządu. Co równie ważne, bronią tego, co pracownicy cenią najbardziej: indywidualnych praw i wolności”.

I choć prezydent USA Lyndon Johnson zgodził się sprzedać Izraelowi myśliwców Phantom, to decyzja de Gaulle'a zapoczątkowała rewolucję. Przyspieszyła projektowanie czołgu Merkawa, budowę pierwszych dronów, pierwszego własnego myśliwca Nesher na wzór Mirage 5, następnie Kfir, bardziej zaawansowanej wersji Mirage, i wreszcie Lavi, który był świetną, ale bardzo drogą maszyną. I gdy w 1987 roku stosunkiem głosów 12 do 11 rząd postanowił zatrzymać ten projekt jako zbyt kosztowny, to wiedza zgromadzona w jego trakcie stworzyła fundament dronów, satelitów i systemów rakietowych. Technion, główna izraelska uczelnia techniczna, zainwestowała w nowe dziedziny badań, w tym w informatykę i elektronikę. W wielu resortach stworzono stanowisko głównego naukowca.

Zatrzymanie projektu Lavi pozabawilo pracy pięć tysięcy inżyn-

Hardość Bibiego bierze się z przekonania, że ani Biały Dom, ani Kongres nie odważą się obciąć pomocy Izraelowi, nawet gdyby wprowadził dyktaturę

szy w rywalizacji o fotel premiera, Bill Clinton nie ukrywał, że preferuje Peresa. Wygrał Netanjahu. Gdy kilka miesięcy po wyborach zjawiał się w Waszyngtonie, zachowywał się i mówił takim tonem, jakby miał w nosie, że przyjmuje przed zdławieniem demokracji, to muszą to być Izraelczycy.

O opamiętanie apeluje prezydent. Protestuje 10 emerytowanych dowódców lotnictwa, elitarne jednostki wojskowe, niemal wszyscy byli doradcy premierów do spraw bezpieczeństwa narodowego, setki oficerów wywiadu. Pucz Netanjahu potępił publicznie byli szefowie Mosadu. „Pilotów wojskowi i żołnierze służb specjalnych podpisali umowę z demokratycznym krajem. Gdyby kraj zmienił się w dyktaturę i przyszedł rozkaz z nielegalnego rządu, mają prawo tego rozkazu nie wykonać” – mówił w telewizji generał Dani Jatomi, szef Mosadu, w cza-

około 10 milionów członków, choć ilu ich jest naprawdę – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że to prawicowa organizacja, o wsparcie której zabiegał Trump i będą zabiegać kandydaci na prezydenta. Jeśli zatem ktoś powstrzyma Netanjahu przed zdławieniem demokracji, to muszą to być Izraelczycy.

O opamiętanie apeluje prezydent. Protestuje 10 emerytowanych dowódców lotnictwa, elitarne jednostki wojskowe, niemal wszyscy byli doradcy premierów do spraw bezpieczeństwa narodowego, setki oficerów wywiadu. Pucz Netanjahu potępił publicznie byli szefowie Mosadu. „Pilotów wojskowi i żołnierze służb specjalnych podpisali umowę z demokratycznym krajem. Gdyby kraj zmienił się w dyktaturę i przyszedł rozkaz z nielegalnego rządu, mają prawo tego rozkazu nie wykonać” – mówił w telewizji generał Dani Jatomi, szef Mosadu, w cza-



FOT. ODED BALUTY/AP

nierów i naukowców. Wkrótce dołączyły do nich tysiące wysoce wykwalifikowanych rosyjskich Żydów, którym zmierzch komunizmu ułatwił wyjazd z ZSRR. W 1993 roku rząd Icchaka Rabina uruchomił program YOZMA („inicjatywa” po hebrajsku) pomyślany jako wehikuł przyciągania inwestycji zagranicznych.

Mniej oczywiste źródło technologicznego sukcesu to sama natura IDF, izraelskich sił zbrojnych. 18-letni chłopcy i dziewczęta mają obowiązek służby wojskowej trwającej do trzech lat. To znaczy, że od młodości mają kontakt z zaawansowaną i bardzo drogą techniką. Uczą się podejmować samodzielnie decyzje. Każde działanie, udane lub nieudane, jest szczegółowo analizowane. „Jeśli schrzaniłeś, pokaż, jaką lekcję z tego wyniosłeś”. Wszystko to sprzyja budowie kultury przedsiębiorczości.

Elitarna jednostka 8200 rekrutuje najlepszych z najlepszych: programistów, hakerów, przyszłych inżynierów. Jej absolwenci założyli ponad 1000 start-upów. Gil Shwed, rocznik 1968, trafił do wojska w 1986 roku, tam kodował i rozkodowywał, zanim wymyślił pierwszy komercyjny firewall. W 1993 roku założył Check Point Software Technologies, największą na świecie firmę zajmującą się cyberbezpieczeństwem, trzy lata później wszedł na nowojorską giełdę. Dziś majątek Shweda wynosi 3,4 miliarda dolarów.

W 1991 roku centrum badawczo-rozwojowe otworzył szybko zmierzający ku pozycji informatycznego hegemonu Microsoft. Rok później udział rządu w całości wydatków na R&D wyniósł 25 procent. W rekordowym tempie kraj przeistoczył się w wielki inkubator pomysłów. To przyciągnęło kolejne technologiczne giganty i kapitał podwyższonego ryzyka z całego świata. Sukcesy start-upów promieniowały i promieniują na inne sektory, takie jak farmacja, przemysł urządzeń medycznych, finanse i rolnictwo.

Gdy Bibi wystawia pierś do medali za sukcesy sektora technologii, Israeli Innovation Authority w raporcie „State of High-Tech 2022” przypomina, że jeśli kraj jest liderem w międzynarodowych rankingach współpracy między nauką i przemysłem, to głównie w wyniku działalności zagranicznych firm, które stworzyły w Izraelu centra badań i rozwoju. Połowa całej kooperacji przypada na IBM i Microsoft. W sumie 85 proc. całości współpracy przemysłu z nauką toczy się w obrębie przedsiębiorstw ponadnarodowych. I choć Izrael zajmuje pierwsze miejsce w OECD pod względem relacji wydatków na R&D do PKB

– 5,44 procent – to ostatnie pod względem udziału rządu w finansowaniu całości wydatków na R&D – 9,4 procent. W 1992 roku, zanim Bibi wszedł do wielkiej polityki, udział ten wyniósł 25 procent.

Największe wyzwanie dla przyszłości Izraela to demografia, a konkretnie to, że 25 procent obywateli to izraelscy Arabowie i haredim, ultraortodoksyjni Żydzi. Odsetek ten szybko rośnie, stopień ich partycypacji zawodowej jest niski, wkład w system finansowy minimalny, a zależność od transferów społecznych ogromna. Połączenie wysokiej stopy urodzeń i uzależnienia od pomocy społecznej w tych dwóch społecznościach grozi kłopotami.

Izrael monitoruje dystans, jaki dzieli go od siódemki bogatych, małych krajów Europy o zbliżonej liczbie ludności i podobnym dostępie do zasobów naturalnych – Austrii, Belgii, Danii, Finlandii, Holandii, Irlandii i Szwecji. Okazuje się, że dystans w standardzie życia mierzony różnicą w PKB na głowę między Izraelem a siódmką z OECD nie skurczył się od początku lat 70. Rośnie luka w wydajności pracy – to rykoszet demografii. O cudzie gospodarczym trudno zatem mówić.

Dziś luminarze „narodu start-upów”, jak nazywany jest Izrael od kilku dekad, spoglądają na drzwi wyjściowe. Wielu już ogłosiło, że wyjeżdża i zabiera ze sobą pieniądze. „Wszystko sprowadza się do zarządzania ryzykiem i w tym wypadku ryzyko dotyczy marki, jaką jest Izrael” – mówi Assaf Rappaport, prezes i współzałożyciel firmy Wiz, zajmującej się bezpieczeństwem informacji w chmurze. Właśnie ogłosił, że firma dostała od inwestorów kolejne 300 milionów dolarów, a jej wycena skoczyła do 10 miliardów, ale „niestety, w świetle zamachu na sądy te pieniądze nie trafią do Izraela. Słyszmy od zaniepokojonych inwestorów i przedsiębiorców, że dyskretnie wyprawdzają z Izraela swe pieniądze i pracowników, którzy boją się o swą przyszłość w kraju. Wiz odnosił sukcesy dzięki wyjątkowemu ekosystemowi, jaki istnieje w Izraelu, ale dziś zagłada nam w oczy egzystencjalne zagrożenie”.

„Inwestując w Izraelu, nie inwestuję w izraelską gospodarkę, nie przyglądam się tutejszej walucie, infrastrukturze kolejowej czy stopie wzrostu PKB” – mówi Adam Fisher, współzałożyciel firmy Bessemer Ventures Partners, która wsparła ponad 30 start-upów w Izraelu. „Inwestuję w przedsiębiorców i jeśli ci przedsiębiorcy zechcą się przenieść gdzie indziej, mi to nie przeszkadza”.

W lutym 56 amerykańskich ekonomistów, wielu o żydowskich korzeniach, w tym 11 noblistów, napisało do Netanjahu, że jego reforma sądów „wpłynęłaby negatywnie na gospodarkę Izraela, osłabiając rządy prawa i sterując Izrael w kierunku Węgier i Polski”.

„Od moich klientów dostaję konkretne instrukcje, aby przenieść pieniądze z Izraela do Szwajcarii czy Londynu”, mówi Eran Goren, współtwórca Fidelis Family Office, zarządzającego pieniędzmi bogatych Izraelczyków. „Pracujemy blisko z departamentami prywatnej bankowości wielkich banków i one słyszą zewsząd – ludzie wyciągają pieniądze”.

Ze wspomnianych 67 miliardów dolarów eksportu high-techu w 2011 roku przeszło dwa razy więcej niż na produkty (20 miliardów) przypada na usługi z nimi związane (47 miliardów). Spośród 360 tysięcy zatrudnionych w sektorze tylko 7 tysięcy to Arabowie – głównie mężczyźni, 10 tysięcy to ultraortodoksyjni Żydzi – głównie kobiety. Część stanowią pracownicy zaplecza technicznego, strażnicy, sprzątaczk. Tylko 3 proc. firm to dojrzałe producenci oprogramowania. 8 proc. to start-upy, często z mniej niż tuzinem zatrudnionych. Tym zwinąć się i przenieść na pobliski Cypr, który już o nich zabiega, byłoby łatwo. To godzina lotu, mogą na weekend wpadać do rodziców lub przyjaciół w Tel Awiwie czy Jerozolimie. Ale nie zatrudnią do prac pomocniczych obywateli Izraela i nie zapłacą podatków w Izraelu. A wtedy będzie mniej i na medycynę, i na naukę, i na pomoc dla Arabów i grupy ortodoksyjnych Żydów, których wsparcie to warunek trwania Bibi przy władzy.

Im bardziej Izrael będzie przypominał dyktaturę, tym większe będą w świecie demokracji obawy przed inwestowaniem w nim. Powody jasno wyłożył Bloomberg i potwierdzili ludzie z izraelskiego świata finansów i high-techu. Trudno z góry przewidzieć, czy i na ile w takim scenariuszu Izrael byłoby skłonne wesprzeć kraje jawnie autorytarne i jak by na to patrzył Waszyngton. Lecz nie ulega wątpliwości, że w takim scenariuszu kraj stałby się kolejnym piórkiem do pióropusza Putina, Xi, Orbana czy Berlusconi.

Wsparcie Bibiego dla budowy nowych osad żydowskich na okupowanych ziemiach dolewało i dolewać będzie oliwy do ognia krytyki Izraela w świecie demokratycznym. Sojusznicy i przyjaciele państwa żydowskiego zawsze mieli w odwodzie argument, że wprawdzie daleko niedoskonała, ale jednak to demokracja. Kolejny krok Bibiego może im wytrącić ten argument.

Magnesem, który ściąga do Izraela technologicznych potentatów, są wykształcenie, talent, energia i postawy obywateli. A także cały ekosystem, którego ważną częścią są stabilne reguły gry i praworządność. Niszcząc ten ekosystem, Bibi ryzykuje, że zabije kurę znoszącą złote jaja. Widzi w sobie zbawcę – historia może dostrzec w nim wielkiego szkodnika.

Miesiąc temu, w szczycie masowych demonstracji przeciwko Netanjahu, weterani jednostki specjalnej Sajjeret Matkal, która w 1976 roku odbiła 102 zakładników na lotnisku Entebbe z rąk palestyńskich i niemieckich terrorystów, napisali list otwarty do premiera:

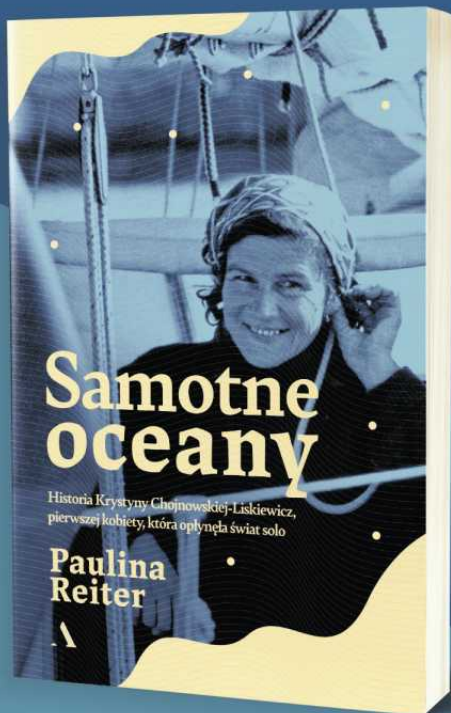
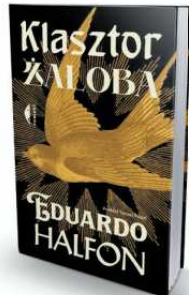
„Dostąpiliśmy zaszczytu znalezienia się w grupie żołnierzy w Entebbe, pod dowództwem działającego z zimną krwią i odwagą Joniego Netanjahu, który świadomie poświęcił się dla państwa Izrael i narodu izraelskiego.

To smutne, ale ty, Bibi, świadomie poświęcasz państwo Izrael i naród izraelski dla swoich własnych interesów.

Z premedytacją, przez lata, praktykowałeś zasadę »dziel i rządź«, nastawiając nas, Izraelczyków, przeciwko sobie. Ci, którzy ciebie nie popierają, stali się »małymi«, »słabymi«, »zdrajcami« i »anarchistami«. Twój syn, który nigdy nie trzymał karabinu w ręku, nazywa nas »terrorystami«. Wraz z naszymi towarzyszami broni i wieloma wspańnymi Izraelczykami będziemy kontynuować protest i walkę o Izrael Deklaracji niepodległości i przeciwko dyktaturze”. ●

Czy można naprawdę zrekonstruować przeszłość rodziny naznaczonej Zagładą? Jak to jest być Żydem tylko czasami? Eduardo Halfon w dwóch autobiograficznych opowieściach wyrusza śladem rozsznianych po świecie przodków - do Izraela na ślub siostry żyjącej w ortodoksyjnej wspólnoty i do Gwatemali, by rozwikłać tajemnicę śmierci brata ojca.

„**Klasztor. Żaloba**” w przekładzie Tomasza Pindela już dostępna w dobrych księgarniach i w formie ebooka na Publio.pl



PORYWAJĄCA HERSTORIA LEGENDY ŻEGLARSTWA

Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz,
pierwszej kobiety, która opłynęła świat solo



Mam nadzieję, że ta książka wytyczy drogę nie tylko następnym żeglarkom, ale każdej kobiecie, która pozwoliła sobie pomyśleć, że da radę. Wiatru w żagle, siostry!

KAROLINA SULEJ

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl



Wydawnictwo
Agora

Ewangelia według Adama Słodowego

Grzech jest jak zły ruch w szachach – nie przegrywamy po nim od razu, ale w końcu przynosi nam klęskę.

Marcin Matczak



Znów naszła mnie ochota, by odwieść „wyrafinowanych” od przekonania, że religia jest dla „prostaczków” i dlatego można nią gardzić. Odwodzę więc poniżej, bo jak ta pogarda się nie skończy, czeka nas większość konstytucyjna Kowalskiego i Brauna. Wyższość Bożego Narodzenia nad Wielkanocą wydaje się laikom oczywista. Boże Narodzenie jest milusińskie, puszyste, Wielkanoc pępna. W grudniu zwierzątko i sianko, w kwietniu biczowanie. O potencjale konsumpcyjnym nie wspominam.

A są religijności tak atrakcyjne, że trafiają do telewizji śniadaniowej. „Dzień dobry TVN” przybliża żydowskie święto Jom Kippur, celebrytka chroni czakry dzieci przed katolickimi sakramentami, ludzie dyskutują wartość jogi i kabały (czyli „czerwonej nitki”).

Martwi mnie ten religijny egzotyzm. Weźmy humanistyczny ślub, gdzie religijną przysięgę zastępuje własna, w której – jak czytamy – jest obietnica niejedzenia dziczyzny, wysypianie się w sobotę i podróż do Indii. Całość wieńczy przesypywanie dwukolorowego piasku, wzięte z tradycji hawajskiej. Nic w tym złego, że ludzie tworzą indywidualne rytuały. Czy jednak przez to czegoś nie tracą?

Ydaje się, że w religijnym egzotyzmie chodzi o szukanie nie ducha, ale stylu. To na pewno wyróżnia: nie jestem jak wy, mam coś szczególnego. Ale czy to nie funkcja przemyczonej torbki z krokodyla, dzięki której wygląda się lepiej na tle pokutnego wora religii tradycyjnej? Czy to jednak nie bricolage Lévi-Straussa: tworzenie z dostępnych materiałów czegoś tylko dla mnie? Religijne majsterkowanie? Ewangelia według Adama Słodowego?

Widzę tu trzy problemy. Pierwszy: kiczowate pomieszanie tradycji, jak hodowanie boa w Zakopanem czy jedzenie pizzy z ananasem. Ci sami ludzie, którzy lubią smakować „the real thing” – wina tam, gdzie dojrzewa jego winorośl, oliwy z oliwek, gdzie je zbierano, religię wolą nieautentyczną, jak chińszczyznę z supermarketu (idei).

Płycizna kiczu wywołuje drugi problem – trwoni mądrość religii tradycyjnych. Jak mówi Jordan Peterson w wykładach o psychologicznej doniosłości opowieści biblijnych, zamykają one w symbolach wiedzę o naturze człowieka. My je upupiliśmy, bo Kościół nie umiał ich przedstawić w wyrafinowany sposób. Nie widzimy ich wartości, jak uczniowie słabego nauczyciela nie widzą wartości fizyki. A Peterson dowodzi, że można przedstawić je tak, jak Neil deGrasse Tyson ukazuje fascynujący obraz kosmosu.

Egzotyzm religijny nie korzysta z dawnej, zbiorowej mądrości, bo z definicji religia indywidualna nie jest zbiorowa, a stworzona ad hoc nie jest dawna. Na ile Polak może naprawdę zgłębić tradycje buddyjskie czy hawajskie? Wybiera to i owo, jak afrykańską maskę, która jego zdaniem pasuje do mazowieckiego salonu. Véronique Altglas, specjalistka od religijnego egzotyzmu, pisze, że osoby praktykujące jogę czy kabałę nie są zwykle zainteresowane tradycją hindu-

izmu czy judaizmu, a nawet czują się z nimi niekomfortowo.

Egzotyzm religijny nie chce pogłębionej debaty. Weźmy opowieść o Kainie i Abłu. Pierwsi ludzie zrodzeni, a nie stworzeni, symbolizują jedną osobę, w której walczy dobro i zło. Ta walka zaczyna się od niezdolności do poświęcenia, od zawiści, resentymentu i niestety dla ludzkości kończy się wygraną zła. Prowadzi do sytuacji, z której nie ma powrotu, a więc odkupienia.

Dostojewski reinterpretuje tę historię, bo i Raskolnikow dochodzi do podobnego miejsca. Jest zbyt pewny siebie, by zauważyć, że zadarł z rzeczywistością większą od niego i ta go pokonuje. „Zbrodnia i kara” to rozważanie chrześcijańskiej tradycji przez jej krytyka. Nie ma krytycznych reinterpretacji religii bricolage’owych – odchodzą wraz z ich twórcami, nie mogą zostać pogłębione. A nawet fani Dostojewskiego nie pochyłają się nad Raskolnikowem co roku, jak wierzący nad Kainem, zderzając te same słowa ze swoim zmieniającym się doświadczeniem i odkrywając ich nowe znaczenia.

Trzeci problem: religia tradycyjna pokazuje w naturze człowieka rzeczy nieestetyczne, religia patchworkowa jest zbyt uładzona i nie stawia oporu. Nie kreuje standardu, do którego trzeba się dostosować, to my dostosowujemy ją do siebie. Nie ma w niej, wyestetyzowanej, miejsca na ideę grzechu. A opowieści religijnych nie wyedytowano tak, by się wszystkim podobały. I Wielkanoc tego dowodzi.

W petersonowskiej interpretacji idei Boga jako symbolicznego ujęcia doskonałości grzech, to wysmiewane „obrażenie Jezusa”, staje się obrazą ideału – występkiem przeciwko sposobowi życia, który dałby człowiekowi pełnię możliwości. Źródłosłów grzechu w hebrajskim oznacza „nie-trafienie w cel”. W prywatnej religii pojęcie grzechu nie ma sensu, bo cel definiuje ten, kto strzela, i zawsze może go przesunąć.

U Petersona grzech jest błędem, który ma opóźnione konsekwencje. Jest gwałtem na strukturze rzeczywistości, próbą zagięcia jej, a efektem jest odbicie. Bo struktura rzeczywistości jest sztywna – tylko pyszałkowi może się wydawać, że ją wygnie, by mu pasowała.

W myśli chrześcijańskiej grzech powoduje upośledzenie poznawcze – zakłóca postrzeganie świata i jego ocenę. Pycha to arogancja, która czyni ślepym na krytykę, a łakomstwo (na sukces) może być eksploatacją siebie samego. Każdy z tych grzechów to wejście w przestrzeń, z której widać mniej. Grzech jest jak zły ruch w szachach – nie przegrywamy po nim od razu, ale w końcu przynosi nam klęskę, bo zmienia naszą sytuację tak, że pewne dobre ruchy są już niemożliwe.

Na marginesie – wiedza, że grzech ogłupia, stała u podstaw nauki. Francis Bacon, ojciec nauk ścisłych, popierał empiryzm, bo wiedział, że człowiek upada i na podstawie swoich mylnych wrażeń prawdy nie odkryje. Tak twierdzi autor książki „Magisteria”, według której negatywny wpływ religii na naukę to mit, polecanie nie przez „Gościa Niedzielnego”, ale przez „The Economist”.

Telewizja śniadaniowa jest miniaturką naszego świata. Idea grzechu jest za mało stylowa, by się w niej pojawić. A świat bez idei grzechu nie potrzebuje idei odkupienia – potrzebuje więcej egzotycznych gadżetów i samozadowolenia. Dlatego Boże Narodzenie wygrywa z Wielkanocą w cuglach.

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Sąsiedzie, życzę ci śmierci

Radykalizacja jest prostszym rozwiązaniem niż rozmowa.

Magdalena Czyż

Te rozmowę czytałam z dwiema przerwami na głęboki wdech i wydech, a gdy skończyłam, i tak miałam poczucie, że jako społeczeństwo zmierzamy do czarnej dziury i nikt z nas nie potrafi zawrócić.

Ta rozmowa to wywiad Bartosza Bartosika w ostatnim numerze „Więzi” z trzema socjolożkami: Anną Buchner, Katarzyną Fereniec-Błońską, Marią Wierzbicką-Tarkowską, które przeprowadziły pogłębione badania nad radykalizacją i polaryzacją społeczeństwa, a wnioski zawarły w raporcie „Twarze polskiej radykalizacji”.

Strasznie smutne to wnioski: „Z wywiadów badawczych, jakie przeprowadziłyśmy z Polkami i Polakami z klasy średniej, wynika, że radykalizacja jest prostszym rozwiązaniem niż rozmowa, dialog i szukanie kompromisu. Z tych wypowiedzi wiemy, że otwartość na inne poglądy przy jednoczesnym zachowaniu własnych jest niezwykle obciążająca emocjonalnie. Dodatkowo media podkreślają wrażenie, że cały świat jest podzielony, a polaryzacja i zamykanie się we własnych strefach komfortu są naturalnym stanem rzeczy”. To na wstępie rozmowy, potem robi się jeszcze bardziej ponuro.

Autorki badania wzięły pod szkiełko i oko klasę średnią, dlatego tym większy mój smutek. „Jednym z najbardziej rozpowszechnionych przekonań w polskiej klasie średniej jest opinia, że media w Polsce są nieobiektywne i podporządkowane celom politycznym – uważa tak 79 proc. badanych. A 58 proc. twierdzi, że media w Polsce kłamią” – podaje Fereniec-Błońska. A Wierzbicka-Tarkowska do-

rzuca: „Zawód instytucjami i mediami jest powiązany z kryzysem autorytetów. Wśród dobrze wykształconych Polek i Polaków ten wątek często wraca. Ludzie wymieniały różne nazwiska, tak że Jana Pawła II, choć w wywiadach pojawiła się również wątpliwość, czy dziś wypada jeszcze uważać papieża za ważny punkt odniesienia. Zaskoczyło nas też, że stosunkowo duża część wykształconych Polaków tęskni za jakąś formą autorytarnych rządów silnego lidera czy przywódcy, który zaprowadziłby w kraju porządek i połączył skłócone strony. Myślę, że to także jest wyraz tęsknoty za autorytetami w sferze publicznej”.

Badaczki wyróżniły pięć typów radykalizacji, rozpięte na dwóch osiach. Pierwsza oś dotyczy stosunku emocjonalnego do wyrażanych przez siebie i innych poglądów: jeden koniec oznacza „dyplomatów”, drugi „wojujących”. Druga oś dotyczy podejścia do demokracji, która rozpina się między „autokratami” a „demokratami”. Na tej podstawie wyróżniły pięć typów i postaw politycznych. „Dyplomatyczni demokraci stanowią 33 proc. badanych, 17 to dyplomatyczni autokraci, 10 – wojujący demokraci, 13 – wojujący autokraci, a niezdecydowani stanowią 27 proc.” – wskazuje Wierzbicka-Tarkowska. A konkluduje Buchner: „Przedstawiciele obu grup różnie patrzą na świat, ale na poziomie emocjonalnym, a nie rzadko też poznawczym, bywają absolutnie siebie wari. Jedni drugim potrafią życzyć śmierci, zmienia się tylko zestaw nazwisk, które wywołują najbardziej skrajne emocje. Wojujący autokraci i demokraci dehumanizują osoby myślące inaczej, przypisują im wszelkie najgorsze cechy. To grupy, które są dla siebie lustrzanym odbiciem”.

No i jeszcze deser zaserwowany przez Wierzbicką-Tarkowską: „Wpadliśmy na pomysł, żeby sprawdzić, ile osób zgadza się ze zdaniem, że zdarza im się życzyć śmierci osobom o odmiennym światopoglądzie w kluczowych dla nich kwestiach. Aż 19 proc. udzieliło odpowiedzi twierdzącej. Aż 8 proc. przyznało się do życzenia śmierci komuś, kogo znają!”. Następnego dnia po lekturze rozmowy w „Więzi” dowiedzieliśmy się o oblaniu farbą pomnika Jana Pawła II w Łodzi. Odczytałam ten akt jako przyspieszenie kroku ku czarnej dziurze. I tylko jeden głos sprawił, że zobaczyłam błęde światelko nadziei. O dziwo dla mnie, osoby niewierzącej, był to głos abp. Rysia, który poprosił o modlitwę za BRACI, którzy wyrządzili katolikom cierpienie, i za odwagę katolików do walki ze złem w Kościele.

Udało mu się w tych krótkich słowach połączyć coś ważnego dla nas wszystkich.

Wojujący autokraci i wojujący demokraci dehumanizują osoby myślące inaczej, przypisują im wszelkie najgorsze cechy. Są dla siebie lustrzanym odbiciem

NASZA EUROPA

Kilka dobrych informacji o wojnie

KTO PIERWSZY MRUGNIE

Tak można ująć strategię Kremla: bierze Zachód na przeczekanie. Ale Rosja jest w Europie skończona na pokolenia – nikt już nie wierzy, że ma wiele do zaoferowania.

Z IVANEM KRASTEVEM*
ROZMAWIA KATARZYNA WĘŻYK

Wojna trwa już 14. miesiąc. Czego przez ten czas dowiedzieliśmy się o Rosji, czego byśmy się nie spodziewali 23 lutego 2022 r.?

– Że jest zdolna do takiego ataku. Udało nam się bowiem przekonać samych siebie, że wojna nie jest już w Europie możliwa. Jest bowiem wbrew założeniom, na których opiera się europejski projekt: że ekonomiczna współzależność gwarantuje bezpieczeństwo, potęgą militarna nie ma już znaczenia i trzeba być szalonym, by atakować sąsiada. Właśnie to, a nie kiepski wywiad czy przekonanie o cnotach rosyjskiego przywództwa sprawiło, że było nam tak trudno zrozumieć, co się właściwie stało.

Drugim, większym zaskoczeniem byli Ukraińcy.

To, że po tygodniu nie odbyła się rosyjska parada w Kijowie?

– Nawet Amerykanie nie spodziewali się, że Ukraińcy będą się bronić tak skutecznie, a co dopiero Europejczycy, którzy postrzegali Ukrainę przez pryzmat słabych instytucji i korupcji. A najbardziej nas zaskoczyła siła obywatelskiego nacjonalizmu. To, że Ukraińcy mieli nie tylko wolę, ale też możliwości oporu – a przecież dla nich wojna zaczęła się w 2014 roku i ostatnie osiem lat zmieniło i ukraińską armię, i przywództwo.

Dziś wahadło przesunęło się w drugą stronę: rok temu byliśmy przekonani, że rosyjska armia zmiażdży ukraińskie wojsko.

A dziś uważamy, że Ukraińcy nie mogą przegrać?

– I że bombardowania i śmierć w ogóle ich nie dotyczą. Traktujemy ich jak nadludzi. A to jest niebezpieczny trend. Bo przecież zniszczenia, których ten kraj doświadcza, są straszliwe. 7 milionów ludzi wyjechało, głównie kobiety i dzieci, rośnie liczba rozwodów i napięcie między ludźmi na froncie i cywilami. Ta wojna przeorała całe społeczeństwo.

A czy rosyjska odporność na sankcje nie była zaskoczeniem?

– Dla wielu tak – jak pamiętamy, prognozowano spadek PKB od 7 do 10 proc. Mnie to zaskoczenie trochę dziwi, bo przecież nie jest niczym nowym, że sankcje rzadko działają zgodnie z oczekiwaniami, zwłaszcza jeśli nałożono je na państwo, które się do nich przygotowało. A Rosja się przygotowała. Zakłócenia na rynku energii w pierwszym półroczu wojny dały jej wręcz największe zyski w historii.

Największy negatywny wpływ na rosyjską gospodarkę miał wyjazd pół miliona specjalistów z branż kluczowych, jak informatyka. Wielu też zaskoczyło, jak ogromną rolę Rosja i Ukraina odgrywają na rynku zboża i nawozów sztucznych. I to nie kryzys energetyczny okazał się największym problemem, tylko kryzys żywnościowy.

Wreszcie zaskoczeniem okazała się reakcja tzw. reszty świata na wojnę w Ukrainie.

Dość ambiwalentna?

– W polityce nic nie jest czarno-białe, ale ta wojna jest przecież, z moralnego punktu widzenia, nietrudna do oceny: imperialna potęga najeżdża suwerenny kraj. Łatwo to zrozumieć, nie tylko w języku demokracja versus autorytaryzm, ale też w postkolonialnym kontekście. Spodziewaliśmy się więc, że reszta świata – tzn. nie-Rosja i nie-Zachód – będzie się identyfikować z Ukrainą, ponieważ zobaczą w Ukraińcach siebie. Ale tak się nie stało.

Dlaczego?

– Rosja dostała punkty za to, że jest spadkobierczynią ZSRR, ale także już czymś innym. W Ameryce Łacińskiej i Afryce ludzie dobrze wspominają ZSRR: wielu tam studiowało, inni są wdzięczni za wsparcie we własnych antyimperialnych zmaganiach. Szeף dyplomacji RPA przypominał, że podczas apartheidu to Moskwa była po ich stronie. Dalej, to nie jest tak, że ofiara automatycznie identyfikuje się z inną ofiarą. Jest dużo łatwiej, gdy jesteś ofiarą tego samego sprawcy. Dlatego też Polakom i Bałtom tak łatwo jest utożsamić się z Ukraińcami. Dla mieszkańców Afryki kolonizatorem była Europa, a Ameryka Łacińska ma zle doświadczenia z amerykańskimi interwencjami. W efekcie ich reakcja na wojnę w Ukrainie to, no cóż, „nie nasza sprawa”.

European Council of Foreign Relations przeprowadził ostatnio badanie opinii publicznej w krajach, takich jak Chiny, Indie i Turcja. Okazało się, że ich mieszkańcy z powodu wojny w ogóle nie zmienili zdania o Rosji: nie uważają jej ani za mniej moralną, ani za słabszą.

Rosyjska propaganda jest tam skuteczniejsza?

– Propaganda działa tam, gdzie ludzie są gotowi jej słuchać. Nie, Rosja po prostu nie jest już dość ważna, by jej z zasady nienawidzić. Stała się średnią potęgą, a jej imperialny projekt jest projektem regionalnym. Dziś, gdy Rosjanie jadą do Afryki – np. jako Grupa Wagnera – to nie po to, by robić komunistyczne rewolucje, tylko jako najemnicy. Dostawcy specyficznych usług. I w przeciwieństwie do ZSRR, a dziś Zachodu, nie są postrzegani jako kulturowe zagrożenie. Zimna wojna była starciem dwóch typów modernizacji, radzieckiego i zachodniego. Radziecki był bardziej radykalny, bo atakował religię i własność prywatną. Dziś role się odwróciły. To Rosja jest bardziej konserwatywna, zwłaszcza w kwestii seksualności i tożsamości. Nie narzuca swojej transformatywnej agendy.

Wreszcie spodziewaliśmy się, że – podobnie jak my – państwa niezachodnie będą postrzegać kryzys liberalnego porządku jako totalną katastrofę. Tymczasem wiele z nich widzi w nim okazję do zajęcia lepszego miejsca i zdobycia większych wpływów. Moim ulubionym przykładem są Indie, gdzie dwie trzecie badanych postrzega Rosję jako sojusznika i dokładnie tyle samo za sojusznika uważa USA.

Indie lubią wszystkich, bo Indie wreszcie usiadły do stołu. Kraje z tej grupy pozycjonują się w kontekście regionalnym, nie globalnym. I nie uważają się za swing states, państwa, które można popchnąć w jedną lub drugą stronę, tylko za niezależne mocarstwa, które mogą pokazać, jak samodzielnie grają w geopolitykę.

Co będzie oznaczało ukraińskie zwycięstwo? Że po raz pierwszy ich własny los będzie na dobre i na złe oddzielony od tego, co się dzieje w Rosji

Ale jest jeszcze jedno zaskoczenie, najbardziej pozytywne.

Czyli?

– To, jak na tę wojnę zareagowali Europejczycy. My sami jesteśmy zaszokowani naszą postawą. Wcześniej wszak mówiliśmy, że żyjemy w społeczeństwach postheroicznych. Do tego Europa ma za sobą ponad dekadę kryzysów – globalny kryzys finansowy, uchodźczy, wreszcie pandemię – i wydawało się, że nie jesteśmy gotowi na kolejne poświęcenia. Jak to ujął słynny historyk wojskowości Michael Howard, poświęcenie przestało być częścią umowy społecznej. A tu nagle Europejcy liderzy zrobili coś, czego nikt się po nich nie spodziewał.

Postawili się Rosji?

– Odcięli się od rosyjskich surowców – a wyborcy ich poparli. Co więcej, poparcie dla Ukrainy nie tylko przez ten rok nie osłabło, ale też się umocniło. Dziś więcej Europejczyków niż jeszcze w maju uważa, że ukraińskie zwycięstwo jest ważniejsze od szybkiego zakończenia wojny. Co więcej, europejska jedność i wytrwałość zaowocowały zwiększeniem wiary w Europę: dziś UE postrzegana jest jako silniejsza, niż była przed wojną.

Silniejszy jest też europejsko-amerykański sojusz.

To Zelenskiemu zawdzięczamy odnowę Zachodu, jak to ujął historyk Stephen Kotkin?

– Absolutnie. Jednolity Zachód przecież już niemal zniknął. Amerykanie postawili na America First, Europejczycy mówili o strategicznej autonomii. Wielu też zaskoczyło amerykańskie wsparcie dla tej wojny: przecież ten sam prezydent Biden zdecydował o zakończeniu amerykańskiej obecności w Afganistanie. A dziś uczestnicy wspomnianego badania nie widzą większych różnic między USA a UE.

Wreszcie ogromna zmiana kulturowa. Ta wojna jest bowiem oczywiście zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa i gospodarki, ale też kwestią kulturową i, zwłaszcza w takich krajach jak Niemcy, tożsamościową. Łatwo winić Niemców za to, że są tak powolni i ostrożni, ale nie zapominajmy, że pacyfizm to fundament ich polityki. Takich Niemiec chciała Europa: ze słabą armią i pokojowych.

A dziś jesteśmy świadkami kulturowej zmiany w całej UE. Europejska tożsamość długo definiowała się w opozycji do amerykańskiej: oni byli militarną potęgą, my sami siebie przekonaliśmy, że militarna siła nie ma znaczenia. Patrzyliśmy na Irak i Afganistan i myśleliśmy sobie: „No i co oni tam osiągnęli?”. A potem Putin najechał Ukrainę. I nagle zrozumieliśmy, że potrzebujemy militarnej siły, żeby bronić swojej suwerenności.

Europejska wyjątkowość, rozumiana jako: „W Europie nic złego się nam nie przydarzy”, się skończyła?

– I to na długo. Co łączy się z ostatnim powodem, dla którego reszta świata tak niechętnie się z nami identyfikuje.

Byłby to resentyment?

– Tak, geograficzny resentyment związany z europejskim przywilejem. Dlaczego niaby konflikt w Europie ma być sprawą globalną, pytają, a wojna w Afryce czy Azji już nie? Europa nie jest już pępkiem świata. Jesteśmy co najwyżej jego najbogatszą prowincją. A ta wojna jasno to uwypukliła.

Joe Biden wpisuje tę wojnę w binarny schemat demokracja vs. autorytaryzm. Jak ten, chyba za prosty, podział ma się do nowego klubu państw niezaangażowanych?

– Oczywiście są wśród nich państwa demokratyczne i autorytarne, ale ciekawsze jest to, jak one same siebie postrzegają. Pytaliśmy w naszym badaniu, w którym kraju – USA, UE, Wielkiej Brytanii, Chinach, Indiach, Turcji i Rosji – jest prawdziwa demokracja. 77 proc. Chińczyków odpowiedziało, że w Chinach. Większość Hindusów – że w Indiach, Turków – że w Turcji. W wielu miejscach na świecie demokracja to po prostu sposób wybierania liderów, nie ma nic wspólnego z prawami obywatelskimi.

Nowe średnie mocarstwa nie mają też tej samej ideologii – jedyne, co je łączy, to wspólna ambicja. A ich ambicją jest być traktowanymi jak mocarstwa. I to jest ogromna zmiana.

W sumie chodzi im o to samo, co oficjalnie Rosji: o szacunek.

– To przejście od wieku ideologii, w którym komunizm zderzał się z liberalizmem, do wieku tożsamości. Polityka tożsamości przeniosła się na poziom narodowy. I walka toczy się o to, by zmusić innych do postrzegania cię tak, jak ty siebie widzisz. Dostrzeżenia, jaki jesteś ważny.

To nie przypadek, że Putin używa języka amerykańskich wojen kulturowych, zdarzyło mu się wręcz porównać sytuację Rosji do J.K. Rowling i jej potyczek ze środowiskami progresywnymi. Dla niego tylko w świecie, w którym twój syn może nagle zostać córką, Ukraińcy mogą różnić się od Rosjan – bo tożsamości, uważa, nie można sobie wybrać, jest zakorzeniona w historii. To samo, choć nie w takim stopniu jak w Rosji, widać zresztą w innych krajach. Indie są obrotowym sojusznikiem nie tylko ze względu na doraźne zyski ekonomiczne, ale też by zdobywać szacunek i realne znaczenie.

Trudno się dziś porywać na przewidywanie, jak skończy się ta wojna, ale porozmawiajmy o możliwych scenariuszach. Jak mogłoby wyglądać ukraińskie zwycięstwo?

– William Butler Yeats dobrze ten problem ujął: „jak w jednej myśli uchwycić realizm i sprawiedliwość”. Czy gdy mówimy o końcu tej wojny, nasze przewidywania są normatywne (to powinno się stać) czy analityczne (to jest najbardziej prawdopodobne)?

Bo gdy posłuchać ludzi mówiących o ukraińskim zwycięstwie, to wygląda ono jak skrzyżowanie roku 1945 z 1991: Rosja nie tylko zostanie pokonana, ale będzie też specjalny trybunał, który osądzi zbrodnie wojenne, a ludzkość ją potępi. I jeszcze Rosja się rozpadnie. Czy to prawdopodobny scenariusz? Nie bardzo. Główną różnicą między III Rzeszą w 1945 r. a Rosją dziś jest to, że Rzesza nie miała broni nuklearnej. Sami

NASZA EUROPA



• Manifestacja poparcia dla Ukrainy w Bukareszcie, marzec 2022 r. FOT. AP

Ukraińcy mówią zresztą jedynie o odzyskaniu terytorium, a nie organizowaniu parad zwycięstwa w rosyjskich miastach. Moim zdaniem ukraińskie zwycięstwo miałoby dwa wymiary: terytorialny i bezpieczeństwa. Ukraina powinna móc zagwarantować własną suwerenność i dobrobyt niezależnie od tego, co się będzie działo w Rosji. Bo przez ostatnich 30 lat Zachód nie widział Ukrainy. Miał politykę wobec Rosji, a Ukraina była tylko jej częścią. I albo polegała ona na niedrażnieniu Moskwy, albo, w wersji bardziej jastrzębiej, postrzeganiu np. Majdanu jako szansy na zmianę rosyjskiego reżimu – zawsze Ukraina była jednak środkiem, nie celem. Ukraińskie zwycięstwo oznacza to, że po raz pierwszy ich własny los, ich ekonomiczny rozwój będzie na dobre i na złe oddzielony od tego, co się dzieje w Rosji.

Innymi słowy, wejście do UE i NATO?

– Stephen Kotkin, amerykański sowietolog, zadał dobre pytanie: czy jeśli Ukraina odzyska całe terytorium, ale nic poza tym, czy będzie to zwycięstwo? Czy raczej zwycięstwem będzie odebranie tyle terytorium, ile to na polu bitwy możliwe, i uzyskanie dla niego skutecznych gwarancji bezpieczeństwa i możliwości rozwoju? Pół roku temu ukraińskim zwycięstwem byłoby po prostu nieprzegranie tej wojny. Dziś brak porażki Kijowa jest już wygraną dla Putina. W swoim niedawnym przemówieniu nie mówił ani o zwycięstwie, ani o pokoju: przygotowywał Rosję na niekończącą się wojnę. Jego główna obietnica dla Rosjan brzmiała: ciągnąca się wojna nie oznacza zlikwidowania świadczeń socjalnych. Rosja może sobie na taką wojnę pozwolić, ale czy Ukraina? Poziom destrukcji tego kraju już jest straszliwy, ale największym problemem jest utrata ludzi. Jeśli ta wojna będzie się ciągnąć latami, nie można oczekiwać, że miliony uchodźców wrócą.

Kolejnym wyzwaniem, także dla zachodniego wsparcia, jest odbudowa kraju. Nie można z nią czekać do końca wojny, bo nie wiemy, kiedy ta wojna się skończy. Nie wykluczony jest też koreański scenariusz: działania wojenne się zakończą, ale nie będzie traktatu pokojowego.

Czy znów nie wracamy do pytania o odporność? Które społeczeństwa wytrwają dłużej, czyje fabryki wyprodukują więcej broni?

– W każdej wojnie chodzi o moce produkcyjne i czas: po czyjej jest stronie. Tu mamy zdezerowanie demokracji, które mają kalendarz wyborczy, i reżimu autorytarnego, w którym,

Łatwo winić Niemców za to, że są tak powolni i ostrożni, ale przecież takich Niemiec chciała Europa: ze słabą armią i pokojowych

jak głosi stary żart, są dwie rzeczy, których się nie wybiera: rodzice i prezydent. Uważa się, że wojny kończą się przy stole negocyjnym, ale już w XX w. wojny często kończyły się przy urnie. Tam skończyła się amerykańska wojna w Wietnamie, francuska w Algierii, nawet wojna w byłej Jugosławii. Dlatego na 2023 rok należy patrzeć przez pryzmat kilku ważnych wyborów, które odbędą się w roku 2024. W marcu – prezydenckie w Ukrainie i w Rosji. Potem wybory do europarlamentu, które może nie są najważniejszymi wyborami w Europie, ale też są sondą opinii publicznej, który może pokazać podziały w UE. Potem mamy ważne prezydenckie wybory w Tajwanie. Jeśli wygra kandydat opowiadający się za niepodległością wyspy, Chińczycy mogą w odpowiedzi mocno utrudnić Amerykanom wsparcie Ukrainy. Wreszcie wybory prezydenckie w USA.

Właśnie, czy amerykańskie wsparcie dla Ukrainy skończy się wraz z kadencją Bidena?

– Jeśli kandydatem Republikanów będzie Trump, jeśli przedstawi wojnę Putina jako wojnę Bidena i wróci do retoryki „America First”, oczywiście będzie to miało ogromny wpływ na tę wojnę. Już dziś Zachód mówi Ukraińcom, że będzie ich wspierał, ile będzie trzeba – ale sam Zelenski głosi, że chce zakończyć wojnę jeszcze w tym roku, czyli póki Biden jest prezydentem.

Po drugiej stronie z kolei niekończąca się wojna oznacza tyle, że Putin chce Zachód przeczekać. Wytrwać do czasu, aż wyborcy się zmęczą i dadzą temu wyraz przy urnach. To będzie wojna na wymęczenie: gospodarek, armii, ale też opinii publicznej. Kreml chce poczekać, kto pierwszy mrugnie i czyje społeczeństwo okaże się mniej odporne.

Amerykański analityk Strobe Talbott opisał, jeszcze w czasach zimnej wojny, różnicę między procesem podejmowania decyzji w ZSRR i USA. Związek Radziecki jest jak czarna skrzynka. Wiesz trochę o tym, co do niej wchodzi, ale nie masz pojęcia, co dzieje

się w środku, widzisz tylko rezultat w postaci podejmowanych decyzji. Zachód z kolei dla Sowietów był jak gabinet luster: niby wszystko widać, ale trudno się w tym połapać.

Jasne, Europejczycy cały czas narzekają, jacy to jesteśmy podzieleni, a Rosjanie cały czas zapewniają o tym, jaka to u nich panuje jedność. Prawdopodobnie jednak okaże się, że ani my nie jesteśmy tacy podzieleni, ani oni tacy zjednoczeni.

Były sekretarz obrony USA Leon Panetta uważa, że 2023 będzie rokiem decydującym, w którym Putin będzie zmuszony sięgnąć do negocjacji.

– Wiosną i latem Ukraińcy będą próbować wyszarpać decydujące zwycięstwo, które zmusi Rosjan do negocjacji. Nie zdziwię się, jeśli dojdzie do dramatycznej eskalacji, bo dziś obie strony uważają, że mogą poprawić swoje pozycje. A najważniejsze w ustalaniu granic będzie to, co wydarzy się na polu bitwy.

Rosja jednak jest w Europie skończona na pokolenia. Badania pokazują, że nawet w krajach przyjaznych Rosji i nawet w kręgach tradycyjnie antyamerykańskich nikt już nie wierzy, że Moskwa ma wiele do zaoferowania. Ta Rosja, którą wielu uważało za alternatywę dla Zachodu – prawica za alternatywę konserwatywną, lewica za antykolonialną – jej już nie ma. Kiedy słuchałem przemówienia Putina, przypominała mi się ta słynna wymiana zdań z konferencji wersalskiej w 1919 roku. Członek niemieckiej delegacji powiedział premierowi Francji, że za 100 lat historycy będą zupełnie inaczej patrzeć na to, kto rozpętał wojnę światową. Clemenceau uśmiechnął się na to i odparł: „Być może, ale nikt nie powie, że to Belgia zaatakowała Niemcy”.

Po roku wojny Putin może i przekonał część swoich rodaków, że to Rosja została zaatakowana, ale Europejczyków już nie. Nawet ci, którzy nie chcą wysłać Ukrainie broni, nie wierzą, że to Rosja jest ofiarą. W efekcie europejski konsensus odnośnie do zerwania z Moskwą jest bardzo szeroki.

W pierwszych miesiącach wojny wielu przekonywało, że należy pozwolić Putinowi zachować twarz. Czy po roku rosyjskich zbrodni wojennych to wciąż jest argument?

– Najpierw Ukraina musi tę wojnę wygrać. A to wcale nie jest jeszcze przesądzone. Najważniejszą lekcją tej wojny jest to, że są w historii decydujące momenty, których nie sposób przewidzieć. Kto wiedział, jak 24 lute-

go zachowa się Zelenski? Że powie: potrzebuję amunicji, a nie podwózki? To zmieniło trajektorię tej wojny. I nie wiemy, czym będzie kolejny taki moment. Personalne decyzje są ważne. Symbole są ważne. A póki wojna trwa, nie możemy zachowywać się tak, jakbyśmy znali jej zakończenie.

Pamiętajmy też, że ten konflikt już zmienił wszystkie jego strony. W Rosji tę społeczną transformację przeprowadza Jewgienij Prigożyn. Nie tylko – bardzo zresztą skutecznie – zabija rosyjskich więźniów rękami ukraińskich żołnierzy, ale przede wszystkim integruje ich z całym narodem. A jest kogo: pobyt w więzieniu ma za sobą 10 proc. męskiej populacji, a rodzin, które mają kogoś w więzieniu, jest więcej niż Rosjan z paszportem. I sondaże pokazują, że mężczyźni, także ci w wieku poborowym, popierają mobilizację bardziej niż kobiety.

Przecież armia traktuje ich jak mięso armatnie.

– Tak, ale wielu nie ma wykształcenia, mieszkają w biednych regionach – a wojsko daje im status, którego nigdy wcześniej nie mieli. Nagle bycie mężczyzną jest znów ważne. A odsiadka w rosyjskim więzieniu wcale nie jest dużo przyjemniejsza niż wcielenie do rosyjskiej armii. Z kolei klasa średnia uważa, że nawet jeśli nie jest to ich wojna, to jest ich kraj. Rosyjska gospodarka swoją odporność na sankcje zawdzięcza nie machającym szabelką nacjonalistom, ale prozachodnim technokratom z sektora finansowego, którzy niemal otwarcie sprzeciwiali się wojnie. Zmieniają się też europejskie społeczeństwa. Moja koleżanka, mieszkająca w Wiedniu Ukrainka, ma sześćioletniego syna, który na gwiazdkę zażył sobie czołg. Tyle że w Austrii ciężko dostać w sklepie zabawkowy czołg. Ba, w niektórych europejskich krajach sprzedaż wojennych zabawek jest nielegalna. Ale nie trudno sobie wyobrazić, że jeśli jeden chłopiec przyniesie do szkoły czołg, inne dzieci też będą chciały się tym bawić. I takie małe zmiany też są ważne, bo pokazują, jak, często niezauważalnie, zmienia się świat.

Skoro postzimnowojenny porządek definitywnie się skończył, to, pożyczając od najlepszego amerykańskiego prezydenta – prezydenta Bartletta z serialu „The West Wing” – co dalej?

– Nie wiem. I nie wiem, czy chcę wiedzieć. Ale na pewno nie będzie to powrót do tego, co było. Nowy ład nie musi być gorszy ani lepszy, będzie po prostu inny. Nie uważam też, żeby to Putin zniszczył postzimnowojenny porządek. On wyczerpał się dużo wcześniej. Putin tylko wyprawiał mu pogrzeb. Bardzo rosyjski pogrzeb, z dużą liczbą salw. I Rosja raczej na nim straci.

Ale możliwe są bardzo różne scenariusze. Postawa Chin będzie ważna: jeśli poprą Rosję, globalna polaryzacja będzie tak duża, że takim krajom, jak Indie, Turcja czy RPA, będzie trudno utrzymać niezaangażowaną pozycję. Ale może się też okazać, że zwycięży fragmentaryzacja świata, nie polaryzacja. Wszystkie możliwości są otwarte, a to, która okaże się zwycięska, zależy od wielu rzeczy, także tych, które są poza naszą kontrolą.

Co dalej? Spotkamy się za rok i porozmawiamy. ●



*Ivan Krastev

• politolog, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii i wykładowca w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu

FOT. GETTY IMAGES



JEZUS OSTRZEGA PRZED WILKAMI

Wilk jest jak mięso, uchodźcy i gender. Świetnie nadaje się do rozpętania kolejnej wojny kulturowej

Maciej Czarnecki

Slychać wycie? Znakomicie!” – popularny zwrot powtarzany w różnych debatach przez prawicowych polityków w Polsce jako odpowiedź na zmasowaną krytykę najwyraźniej nie odnosi się do prawdziwych wyjęć. Przynajmniej niektórzy zapisali się ostatnio poprzez swoje wypowiedzi do lobby strzeleckiego.

Centroprawicowy rząd w Szwecji zarządził w tym roku największy odstrzał w najnowszej historii kraju, mimo że naukowcy uważają, że zostanie po nim za mało wilków, by utrzymać zdrową populację, a Komisja Europejska już dwu-

krotnie ostrzegała Sztokholm przed łamaniem unijnych przepisów ochronnych.

W Norwegii wilki były ważną kwestią przed ostatnimi wyborami do Stortingu w 2021 r., a ich zabijanie domagał się ludowcy i prawicowa Partia Postępu. W Niemczech forsowała to radykalnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec. Republikańskie władze w stanach amerykańskich Gór Skalistych zezwoliły na odstrzelenie setek osobników.

W listopadzie Parlament Europejski wezwał Komisję w niewiążącej rezolucji do poluzowania rygorów ochrony wilka. Te obecnie obowiązujące – z dyrektywy siedliskowej z 1992 r. – pozwalają zabijać wilki tylko wtedy, jeśli nie ma „satysfakcjonującej alternatywy”, by zapobiec atakom na zwierze-

ta gospodarskie (a alternatyw jest sporo, od psów pasterskich po ogrodzenia pod napięciem), lub gdy mogą skrzywdzić ludzi. Za rezolucją były ugrupowania centrowe i prawicowe, przeciwko – zieloni.

Generalnie nie powinno to dziwić: lewicowe wartości stawiają na solidarność i szeroko rozumiane współczucie, które rozciąga nie tylko na ludzi, lecz także zwierzęta, prawicowe – wolność gospodarczą, prawa własności, indywidualną siłę i sprawczość. Prawicy bliżej do mieszkańców wsi, którzy częściej popierają odstrzał. Lewicy – do wielkomiejskich elit, które chcą wilka chronić i nierzadko go romantyzują. W dyskusjach politycznych gubi się głos naukowców, którzy akceptują

potrzebę kontroli wilczej populacji, ale podkreślają też niezwykle ważną rolę wilka dla ekosystemu.

To, dlaczego politycy zaczęli dyskutować na ten temat, łatwo tłumaczyć częstszymi doniesieniami o kontaktach z wilkiem, za którymi stoją media społecznościowe, rozwojem masowej turystyki na terenach leśnych, upowszechnieniem fotopułapek dokumentujących drapieżnicze wyczyny wilka, a wreszcie czynnikiem najbardziej oczywistym – rosnącą populacją wilków, o czym przekonują się hodowcy bydła, a ostatnio i sama szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, której wilk zagryzł ulubionego kucyka (i mało kto zgłębiał detale, takie jak to, że drapieżnik wybrał bardzo stare zwierzę, pasącego się obok młodszego kucyka nie tknął).

Do wilczej ekspansji w wielu miejscach Europy i Ameryki doprowadziły rygorystyczne przepisy o ochronie, które wprowadzono z powodu zagrożenia gatunku. Po zdziesiątkowaniu populacji w pierwszej połowie XX wieku w Europie liczba wilków wzrosła do ok. 19 tys. W latach 90. XX wieku watahy pojawiły się we Francji, gdzie przewędrowały z Włoch przez Alpy, oraz w Niemczech, dokąd dotarły z Polski. W połowie tej samej dekady dokonano reintrodukcji wilków w parku narodowym Yellowstone, gdzie w latach 20. XX wieku wybili je myśliwi. Obecnie żyją w wielu stanach, głównie na północy kraju.

Zaznaczmy przy tym, że choć obecność wilków stała się już zauważalna, a w niektórych regionach – na przykład przy granicy szwedzko-norweskiej czy w południowo-wschodniej Francji – stanowi poważny problem dla hodowców, to daleko jej do egipskiej plagi, której obraz odmalowują zwolennicy odstrzałów, a hodowcy dostają odszkodowania od państwa i pomoc w dostosowaniu się do powrotu drapieżnika. W Szwecji wilki zabijają rocznie ok. 300 owiec, których w całym kraju jest 800 tys. We Francji rosnące statystyki mówią o 12-15 tys. zagryzionych zwierząt gospodarskich rocznie (głównie owiec, ale też bydła, kóz czy koni), ale pamiętajmy, że samych owiec jest tam ponad 6 mln.

Według raportu Norweskiego Instytutu Badań nad Przyrodą w latach 2002-20 w Europie i Ameryce Północnej były dwie ofiary śmiertelne wilków wśród ludzi (obie w Ameryce). Raport opisuje okazjonalne pokąsania – m.in. z 2018 r. w Bieszczadach i Puszczy Noteckiej przez przyzwyczajone do ludzi osobniki, które zostały potem zastrzelone – ale generalnie nie ma wątpliwości, że zdrowe, dzikie wilki po prostu unikają człowieka. Dla przeciętnego Amerykanina znacznie większym zagrożeniem jest... bydło. Co roku zabija w kraju ok. 20 osób, najczęściej kopiąc lub depcząc.

S kąd więc aż takie polityczne zainteresowanie? Swoje robi też polaryzacja. W obecnych czasach wszystko jest polityczne, a wilk ze swoją złą sławą szczególnie nadaje się do uczynienia z jego sprawy kolejnej areny do wojny kulturowej.

Frank Rossavik, dziennikarz norweskiego „Aftenposten” i autor książki „Ulv? Ulv! En bok om rovdyr og mennesker i Norge” („Wilk? Wilk! Książka o drapieżnikach i ludziach w Norwegii”), opowiadał mi, że przed wyborami w jego kraju wilk stał się symbolem pęknięcia na linii miasto–wieś.

– W połowie XIX wieku zezwolono na odstrzał, by umożliwić zakładanie farm. Było to ważną częścią budowy współczesnej Norwegii. Oczywiście wcześniej też można było strzelać do wilka, ale odtąd była to systematyczna polityka eliminacji dużych drapieżników. Do końca wieku nasze wilki praktycznie wyginęły, a zarazem kultura wiejska prężnie się rozwijała. Priorytetem był człowiek, nie zwierzę. W latach 20. XX wieku rozwijano bardzo ambitną politykę rolną, podobnie po wojnie. Rolnicy i społeczności wiejskie miały w kraju sporo do powiedzenia.

Ale w latach 70. pojawiły się ruchy ekologiczne. Do tego rolnicy przestali się aż tak li-

czyć, a mieszkańcy rozwijających się miast zaczęli dominować. Wyludnianiu się terenów wiejskich towarzyszyło obejmowanie ochroną nowych populacji wilków czy niedźwiedzi. Więc gdy mieszkańcy wsi wołali: „Chcemy strzelać do wilków”, tak naprawdę mówili: „Chcemy znów być ważni”. Zupełnie jakby ostrzał automatycznie oznaczał powrót do starych, dobrych czasów, takie „Make Norway Great Again”.

Korzenie Norwegii tkwią w ludowości, nigdy nie miała wielkich miast, na jej kulturze mocne piętno odcisnęli apologety wiejskiego życia i natury. Szwecja też ma historycznie mocne wpływy chłopstwa, które już w XVI wieku miało reprezentację w parlamencie. Tłumaczy to pozorny paradoks: dlaczego oba skandynawskie kraje, choć cenią ekologię i wprowadzają wiele praw chroniących przyrodę, wzięły wilki na celownik.

Nawiasem mówiąc, właśnie w Szwecji doszło do rzadkiego w obecnych czasach zagryzienia człowieka przez wilka. Norweski instytut nie ujął go w statystykach zapewne z uwagi na niecodzienne okolicz-

Zły PR wilk zawdzięcza braciom Grimm, La Fontaine’owi, Czerwonemu Kapturkowi – i chrześcijaństwu

ności: 17 czerwca 2012 roku wilki zaatakowały swoją trzydziestoletnią przewodniczkę i opiekunkę w ogrodzie zoologicznym Kolmarden, gdy przebywała z nimi sama na wybiegu.

Opisującą to zdarzenie książka „Dobry wilk” szwedzkiego dziennikarza Larsa Bergo jest raczej bezlitosnym oskarżeniem idei zoo jako nieudanej iluzji natury oraz braku podstawowych procedur bezpieczeństwa niż samych wilków, które na pewnym etapie pobytu w watasze zwykle decydują się na konfrontację z rodzicem.

Antywilczą rewoltę wsi widać też w innych miejscach: we Francji, w Niemczech czy Stanach Zjednoczonych. „Społeczności wiejskie często upatrują w powrocie wilków obniżenia jakości życia, a koniec końców nawet swego unicestwienia, postrzegając tę groźbę jako narzuconą przez oderwaną od realiów, romantyczną opinię publiczną z miast”, przekonują naukowcy pracujący pod kierunkiem Lily van Eeden w tekście o wilkach i polityce czasopiśmie „Conservation Science and Practice”.

Powrót wilka i związane z tym niedogodności rzeczywistości odbijają się na mieszkańcach wsi, a nie miejskich ekologach. Van Eeden i spółka twierdzą jednak, że „w tym konflikcie chodzi o coś więcej niż wilki: reprezentuje głębszą przepaść między wartościami społecznymi: wilk staje się ikoną miejskości, w opozycji do tradycyjnego życia na wsi”. Według nich „rolnicy i myśliwi czują się odrzuceni przez społeczeństwo, sprowadzeni do roli czarnych charakterów”, podczas gdy wilki są w ich odczuciu idealizowane jako „symboliczne zwiastuny nowej, ożywionej natury”.

„W tym konflikcie ideologii nielegalny odstrzał wilków staje się znakiem protestu, aktem oporu przeciwko rządowi, które postrzega się jako sprzyjające interesom ekologicznym interesom klasy średniej i wykluczające mieszkańców wsi z szerszej polityki publicznej”.

Ułatwia to zły PR wilka – utrwalony choćby przez bajki o Czerwonym Kapturku, baśnie braci Grimm, bajki La Fontaine’a, ale też radziecką kreskówkę „Wilk i Zając”, w której Wilk jest aspołecznym bumelan-

tem i chuliganem – a wywodzący się w dużej mierze z symboliki chrześcijańskiej.

We wcześniejszych wierzeniach wilk był zły, ale symbolizował też niezależność, siłę, wolność, a czasem nawet opiekuńczość, jak w słynnym rzymskim micie o wilczycy, która wykarmiła Romulusa i Remusa. Tymczasem w Biblii jego wizerunek jest jednoznacznie negatywny. Jezus przestrzega: „Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami” (Mt 7,18). W Księdze Rodzaju występuje „wilk drapieżny, co rano rozrywa zdobycz, a wieczorem rozdziela łupy” (Rdz 49,27). Podobnych fragmentów jest więcej.

Badania van Eeden i jej zespołu w stanie Waszyngton pokazały, że sympatie polityczne korelują ze stosunkiem do wilków mocniej niż płeć, wiek, poziom wykształcenia czy odległość od terenów, gdzie występują wilki: wyborcy Demokratów znacznie częściej deklarowali troskę o nie (jeśli chodzi o inne zmienne: bardziej negatywny stosunek do wilków miały kobiety i osoby starsze).

Zdaniem autorów dowodzi to, jak mocno upolityczniony jest temat. Ciekawe jednak, że choć Republikanie nie byli aż tak skorzy do ochrony wilków jak Demokraci, to i tak opowiadali się za nią dość często. To nie tak, że wszyscy chcieliby strzelać.

Znany profesor biologii z Michigan Technological University John A. Vucetich skwitował w rozmowie z portalem Vox, że jego zdaniem antywilczą politykę, którą przejmują prawica, napędzają wpływowe grupy interesów reprezentujące hodowców bydła i myśliwych, niekoniecznie zaś odzwierciedla ona szersze preferencje obywateli.

W USA krucjatę przeciwko wilkom, które niegdyś występowały na kontynencie od koła podbiegunowego po okolice obecnego miasta Meksyk, przeprowadzono w latach 20. zeszłego wieku. Organizowano wtedy obławy finansowane przez rząd, truto je na potęgę. W 1926 r. zastrzelono w Yellowstone ostatnie wilki urodzone w parku.

Przypominało to przeprowadzoną w XIX wieku eksterminację bizonów, gdy w ciągu dwóch dekad uśmiercono kilkanaście milionów sztuk. Nie licząc czysto merkantylnych motywów, zapewniano to pastwiska do wypasania bydła, a zarazem ułatwiała pozbywanie się rdzennych Amerykanów, którzy tracili ważne źródło pożywienia.

Jak pisał w książce „Our History is the Future” historyk Nick Estes, polityka definiowania zasięgu dla dzikiej przyrody poprzez „kontrolowane wymarcie jest związana z podobną historią kolonialnego wywłaszczenia i przemocy wobec istot ludzkich i zwierzęcych, zapewniając miejsce dla innej relacji ludzko-zwierzęcej: białych mężczyzn i europejskiego bydła”.

Powrót wilka może być zatem postrzegany przez prawicę jako kolejny – po ruchach antykolonialnych, a ostatnio także #MeToo i Black Lives Matter – lewicowy zamach na świat białego, uprzywilejowanego mężczyzny.

Znamienne, że największą rzeczniką wilka w administracji Bidena jest Deb Haaland – pierwsza rdzenna Amerykanka na stanowisku sekretarza ds. zasobów wewnętrznych.

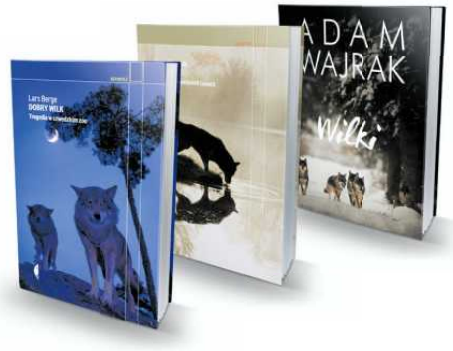
Co ciekawe jednak, Biden podtrzymał decyzję Trumpa o skreśleniu wilka z listy zagrożonych gatunków (w zeszłym roku utracił ją sąd, więc na większości terytorium USA wilk nadal jest chroniony). Federalną ochronę wilka próbował znieść już Obama. Długo panował ponadpartyjny konsensus, że sprawy wilków należy oddać w ręce władzom stanowym.

Rosnący podział polityczny w tej kwestii widać właśnie na poziomie stanów. Krótko po tymczasowym zniesieniu ochrony Wisconsin urządziło rzeź wilków, za którą lobowała organizacja myśliwych silnie powiązana z konserwatywnymi politykami. To republikańskie legislatury w Idaho czy Montanie – stanach wyłączonych z federalnych regulacji – poluzowały reguły polowań, pozwalając np. strzelać do wilków z samolotów i wypłacać nagrody za trofea. Z takich polowań słynęła swego czasu republikańska gubernatorka Alaski Sarah Palin – współtwórczyni kontestującej tradycyjne republikańskie elity Tea Party i jedna z pierwszych ikon alt-rightu – co przeciwnicy wytykali jej w spotach wyborczych, gdy w 2008 r. została kandydatką na wiceprezydentkę u boku Johna McCaina.

Haaland jest na drugim biegunie. „Zegartyka. Musimy znaleźć rozwiązania, które pozwolą wilkom na rozkwit, jednocześnie uwzględniając potrzeby myśliwych, hodowców i innych, którzy żyją i pracują w tym samym środowisku, co one. Moi przodkowie ze społeczności Pueblo nauczyli mnie żyć odważnie, chroniąc nasze ekosystemy i rodziny – te same cechy wykazują wilki. Od naszych wspólnych ziem po bezkresne oceany, wraz ze wszystkimi istotami, które tam żyją, będę nadal ciężko pracować na rzecz dzikiej przyrody i siedlisk w naszym kraju, bo wszyscy na tej ziemi zostaliśmy powołani do tego, by ze sobą koegzystować – w jedynym miejscu, które wszyscy możemy nazywać naszym domem”, pisała w zeszłorocznym artykule w „USA Today”.

Podczas dyskusji o wilkach w Niemczech była minister ds. środowiska Barbara Hendricks wypaliła, że rolnicy nie powinni zachowywać się „jakby byli na Dzikim Zachodzie”, ignorując unijne prawo i odstrzeliwując zwierzęta. ●

„**Dobry wilk. Tragedia w szwedzkim zoo**”, Lars Berge, przeł. Irena Kowadło-Przedmojska
„**Instynkt. O wilkach w polskich lasach**”, Anna Maziuk
„**Wilki. To była największa przygoda mojego życia!**”, Adam Wajrak
Książki dostępne na Czarne.com.pl i (Wajrak) na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booków na Publio.pl.



OBSERWUJĄ NAS Z ZAROŚLI

- Czemu wilki przychodzą do ludzi? Co i komu zjadają? Kto co ma im za złe? Czy jest ich za dużo? Jak się zachować? – w raporcie-reportażu „Wilk, prosimy nie dokarmiać”
- Opowieść badaczki: „Gdy zajęłam się wilkami, słyszałam: Pani przyjechała sama? Nie boi się pani? Co na to partner?”

Wszystko, co chcecie i powinniście wiedzieć o wilku, i wszystko, czego nie chcecie, ale musicie wiedzieć o wrogach wilka, na [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Sławek Skywalker

Buntownik powinien być silny i krzepki. Z pomocą przychodzi Mentzen i jego sześćdziesiąta ustawa, dotycząca przywrócenia prawa do sprzedaży pączków w szkole.

Michał Rusinek



Spektakularne zasięgi w mediach społecznościowych Sławomira Mentzena, prezesa Nowej Nadziei, spowodowały wzrost zainteresowania tą dość egzotyczną dotąd partią. Sama jej nazwa kojarzy się z absolutnie kultową IV częścią „Gwiezdných wojen” i powoduje, że zaczynamy postrzegać Mentzena jako dzielnego Luke’a Skywalkera, który niszczy Gwiazdę Śmierci i rozpoczyna proces rozpadu Imperium. I chociaż sam skromnie mówi, że zależy mu zaledwie na wywróceniu stolika („Idziemy do tych wyborów nie po to, żeby usiąść z wami do stolika, tylko żeby wam ten stolik wywrócić. I my wam ten stolik wywrócimy”), to w głębi duszy z pewnością marzy o tym, żeby w myśliwcu X-Wing wlecieć do szybu wentylacyjnego, trafić celnym strzałem w słaby punkt stacji kosmicznej i zostać bohaterem rebelii.

Podobnie jak Luke Skywalker, Sławomir Mentzen jest znienawidzony przez władców Imperium. Chcą go skompromitować, chociażby cytując jego własne słowa sprzed czterech lat, kiedy to mówił: „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”. Mentzen jednak zrećtnie się broni, stosując uniki godne walczącego na miecze świetlne Skywalkera. Mówi na przykład, że te pięć postulatów to nie program polityczny jego partii, ale zdanie wyjęte z kontekstu wykładu o marketingu politycznym. W wykładzie tym Mentzen przekonywał, że zakładając nową partię, trzeba „zaczynać z kraja”, czyli wygłaszać radykalne tezy, które się przebiją w przekazach medialnych. Radykalne tezy wzbudzają jakże cenne dla marketingu politycznego emocje. „Postawiliśmy na emocjonalny przekaz – mówił Mentzen – ponieważ zrozumieliśmy, że nieważna jest merytoryka, nieważny jest program, nieważne są naprawdę propozycje programowe, jak coś chcemy zrobić. Ważne są emocje, bo to emocje napędzają wyborców”. Zanim jednak owe emocje się wzbudzi, trzeba przeprowadzić badania naukowe, wzorując się na najlepszych: „Co jeszcze robimy? Badania fokusowe, targetowanie reklam na Facebooku, korzystamy z najlepszych wzorców z marketingu politycznego ze Stanów Zjednoczonych z kampanii Donalda Trumpa, korzystamy ze wzorców z kampanii brexitowej w Wielkiej Brytanii”. I właśnie z tych badań wyłania się jasny i przejrzysty wniosek: wy-

borcy partii Mentzena chcą, by ich partia głosiła owych pięć postulatów. A więc to nie są postulaty tej partii, lecz postulaty, które powinna głosić partia, by zagłosowali na nią wyborcy. Przyznajmy, że choreografii takiego uniku nie podołałby Luke Skywalker, a gdyby nawet spróbował, to przy okazji poszatkowałby sam siebie mieczem świetlnym. Sławomir Mentzen wyszedł z tego uniku bez szwanku.

Przedstawienie programu partii w pięciu punktach ma tę zaletę, że można je łatwo zapamiętać i wymienić, posługując się palcami jednej dłoni (Mentzen na pewno pamięta, że w V części „Gwiezdných wojen”, zatytułowanej złowrogo „Imperium kontratakuje”, Luke traci jedną rękę, więc gdyby założył partię, to też mógłby przedstawić w ten sposób zaledwie pięć, a nie dziesięć postulatów). Ma jednak tę wadę, że brzmi zbyt skromnie. Partia powinna mieć wielkie plany na wypadek przejścia władzy. Być może także z badań naukowych wyszło, że lepiej by było, gdyby Mentzen przygotował jakąś okrągłą liczbę ustaw, których projekty złoży w parlamencie. No, powiedzmy sto, bo to brzmi zarazem imponująco i realistycznie. Powstała nawet strona internetowa, na której zostały one umieszczone. Została wprawdzie zawieszona (ponoć „wygaś hosting”), ale internauci podjęli się pracy jej rekonstrukcji.

Konieczne jest uznanie prawa rodziców do stosowania umiarkowanych kar cielesnych. Jest to uprawnienie tradycyjnie zakorzenione w polskiej kulturze

Przyjrzyjmy się kilku z nich. Już trzecia dotyczy legalizacji samodzielnego poszukiwania skarbów: „Przedmioty będące zabytkami archeologicznymi odkrytymi przypadkowo lub w wyniku poszukiwań stanowią własność znalazcy. Skarb Państwa może żądać od znalazcy sprzedaży zabytku po cenie rynkowej”. Czyli zgodnie z wczesnoszkolną maksymą – znalezione, nie kradzione – albo, innymi słowy, jest to przyznanie prawa do grabieży dzieł sztuki kulturowego. Przypomnijmy jednak, że Mentzen jest rebeliantem i nie chce, by cokolwiek wartościowego trafiło w ręce Imperium. Ustawa dziewiąta dotyczy legalizacji polowań z udziałem nieletnich, gdyż dotychczasowe uregulowania „godzą w prawo rodziców do wychowania dzieci, są nieracjonalne i stanowią wyraz zatrucia ducha narodu ideologią pacyfizmu oraz zafaszowywania norm moralnych”. To oczywiste. Gdyby Luke Skywalker nie nauczył się w dzieciństwie strzelać, to byłby słaby duchem, nie wiedziałby, że Darth Vader jest zły, i nie umiałby trafić w słaby punkt Gwiazdy Śmierci.

Osiemnasta ustawa, dotycząca ordynacji gospodarczej (ponoć wysoce kuriozalna i niebezpieczna) wydaje się jednak zdumiewająca przede wszystkim ze względu na to, że jej napisanie zlecił Mentzen pośłowi Wilkowi, a nawiązuje ona do ustaw Wilczka. Na igranie z nazwi-

skami może sobie pozwolić wyłącznie prawdziwy rebeliant. Innym nie uchodzi. Dwudziestą piątą ustawę, dotyczącą legalizacji przechodzenia na czerwonym świetle przez pustą jezdnię, powinniśmy traktować poważnie, pamiętając, że Mentzen przewodzi brawurowym buntownikom. Buntownik powinien być silny i krzepki, natomiast władze Imperium chcą, by był chudy i słaby, bo wtedy nie będzie stanowił zagrożenia. Z pomocą przychodzi Mentzen i jego sześćdziesiąta ustawa, dotycząca przywrócenia prawa do sprzedaży pączków w szkole: „Minister właściwy do spraw zdrowia nie będzie miał możliwości decydowania o rodzajach żywności sprzedawanych w jednostkach systemu oświaty”. Młody rebeliant nie tylko musi być dobrze odżywiony pączkami, lecz także zdyscyplinowany. W przeciwnym wypadku – zgnuśnieje. W uzasadnieniu ustawy o władzy rodzicielskiej czytamy: „Konieczne jest [...] uznanie prawa rodziców do stosowania umiarkowanych kar cielesnych. Jest to uprawnienie tradycyjnie zakorzenione w polskiej kulturze, a jego zakaz stanowi wyraz konstrukttywizmu społecznego uprawianego przez mające wpływ na władze środowiska lewicowe wbrew woli większości społeczeństwa”. I dalej: „Projekt obejmuje jedynie lekkie kary cielesne, nie skutkujące uszczerbkiem na zdrowiu ani nadmiernym cierpieniem psychicznym”. I słusznie, bo rebeliant wykorzeniony z rodzimej kultury oraz okaleczony fizycznie lub psychicznie nie nadaje się do walki z lewackim Imperium.

O stosunku Mentzena do aborcji i kary śmierci już wiele pisano, zwróciłbym jednak jeszcze uwagę na ustawę wprowadzającą możliwość zawarcia nierozzerwalnego małżeństwa. Czytamy w niej, że małżonkowie będą mogli „złożyć przed zawarciem małżeństwa oświadczenie o uzależnieniu możliwości rozvodu od zgody biskupa diecezjalnego”. I dalej: „Nowy stan prawny powinien spowodować większą rozważę przy wyborze kandydatów na żonę lub męża, co pozwoli uniknąć im nieszczęścia w przyszłości”. Z badań naukowych wynika, że celem życiowym każdego obywatela, nie tylko wyborcy partii Mentzena, jest przecież szczęście. I nie jest wykluczone, że Mentzen nam to szczęście da. Na pięć lub sto sposobów, jak kto woli. Bo już od dłuższego czasu internet szepcze mu do ucha to, co Luke’owi Skywalkerowi szeptał Obi-Wan Kenobi: „May the Force be with you, Sławek!”. Ale my pamiętajmy, że to nie Obi-Wan, lecz raczej Palpatine, bo nie z jasną stroną mocy mamy tu do czynienia. I że coś, co na razie jest tematem prześmiewczych felietonów, może niebawem okazać się na prawdę groźne. Dla całej demokratycznej Galaktyki. ●

CASA NOSTRA

Smog, tfu, fubbia nad Rzymem

Jeśli obce słowa odgrywają rolę w mowie i są rozumiane przez wszystkich użytkowników języka, to jaki jest sens ich eliminowania?

Jarosław Mikołajewski

Trochę zdumiała, zwłaszcza wy- miarem kary, propozycja posła Fabia Rampellego, kolegi Giorgii Meloni z partii Fratelli d’Italia, zgodnie z którą złamanie prawa o ochronie języka narodowego, np. poprzez używanie języka obcego tam, gdzie treści można wyrazić także po włosku, może pociągnąć za sobą karę od 5 tysięcy do 100 tysięcy euro.

Przypomniałem sobie dawne próby siłowej ochrony języka włoskiego z czasów, kiedy byłem studentem i wykładowcą. Autorzy starali się na przykład zamienić słowa anglojęzyczne, jakie weszły do powszechnego użycia, słowami skonstruowanymi z odpowiednich członów wyrazów włoskich. I tak niekwestionowany chyba w żadnym języku „smog”, proponowano zastąpić słowem „fubbia”. Dlaczego? Bo angielski „smoke” to włoskie „fumo”, „fog” to „nebbia”, „smoke” plus „fog” to „smog”, więc po włosku „fumo” plus „nebbia” dałoby „fubbia”... Na szczęście język ma naturę spontaniczną, próba narzucenia mu nowych reguł przypomina nie- szczęsne wstawanie z historycznych kolan i podobne pomysły biorą na ogół w leb. Pewnie, że obowiązek zapisywania kontraktów w języku zrozumiałym dla obywateli jest słuszny, ale próba temperowania na przykład językowych inwencji młodzieży, łączących angielski z chińskim czy mi- gowy z oralnym, a zwłaszcza ograniczanie dialektalności, która jest drugą, równo- rzędną naturą Włochów, byłyby jak bieg ze związanymi nogami lub lot ze skrzydłami.

Spytałem Carla Paolicellego, szefa polskiej sekcji Società Dante Alighieri, instytucji powołanej do racjonalnej ochrony języka włoskiego, co on na propozycję posła Rampellego. I oto jego odpowiedź:

„Na miejscu pana posła bardziej martwiłbym się stylem językowym używanym przez biurokratów i prawodawców, przestarzałym, hermetycznym i często niegramatycznym. Głęboko zastanawiam się, czy narzucenie wyłączności języka włoskiego w dokumentach publicznych nie spowoduje śmieszności prób tłumaczenia wyrażen, które, pochodząc z języka obcego, często charakteryzują się niemożliwą do powtórzenia zwężnością. Niektóre obco brzmiące słowa weszły już wiele lat temu do słowników języka włoskiego. Jeśli odgrywają rolę w mowie i są rozumiane przez wszystkich użytkowników języka, to jaki jest sens ich eliminowania?” ●

weekendówka
47



Autorem wielu haseł jest **Mariusz Czerkawski**

POLSKI CUD NA LODZIE

8 kwietnia 1976 r., godzina 20.30, Katowice. W Spodku właśnie rozpoczyna się czwarty mecz mistrzostw świata grupy A w hokeju na lodzie Polska – ZSRR. Kiedy się skończy, nikt nie będzie mógł uwierzyć w wynik.

„Na porannej odprawie usłyszeliśmy tylko, że mamy grać na przetrwanie, po prostu nie tracić bramek. A przed wyjściem na lód trener jak zwykle użył swego powiedzonka: grajcie z jajami” – opowiadał Wiesław Jobczyk, napastnik reprezentacji Polski, w rozmowie z Agatą Passent w specjalnym wydaniu „Gazety Wyborczej” w 2016 r.

Nic dziwnego. Z poprzednich 25 starć z Rosjanami Polska przegrała wszystkie, przy bilansie bramkowym 31-255. Zaledwie dwa miesiące wcześniej, na igrzyskach olimpijskich w Innsbrucku, Biało-Czerwoni ulegli 1:16.

„Rosjanie byli pewni zwycięstwa i wstawili na początek swego drugiego bramkarza. Dopiero jak im wrzuciliśmy cztery gole, to wszedł najlepszy bramkarz świata – Władisław Trietjak” – mówił Jobczyk w rozmowie dla „GW”.

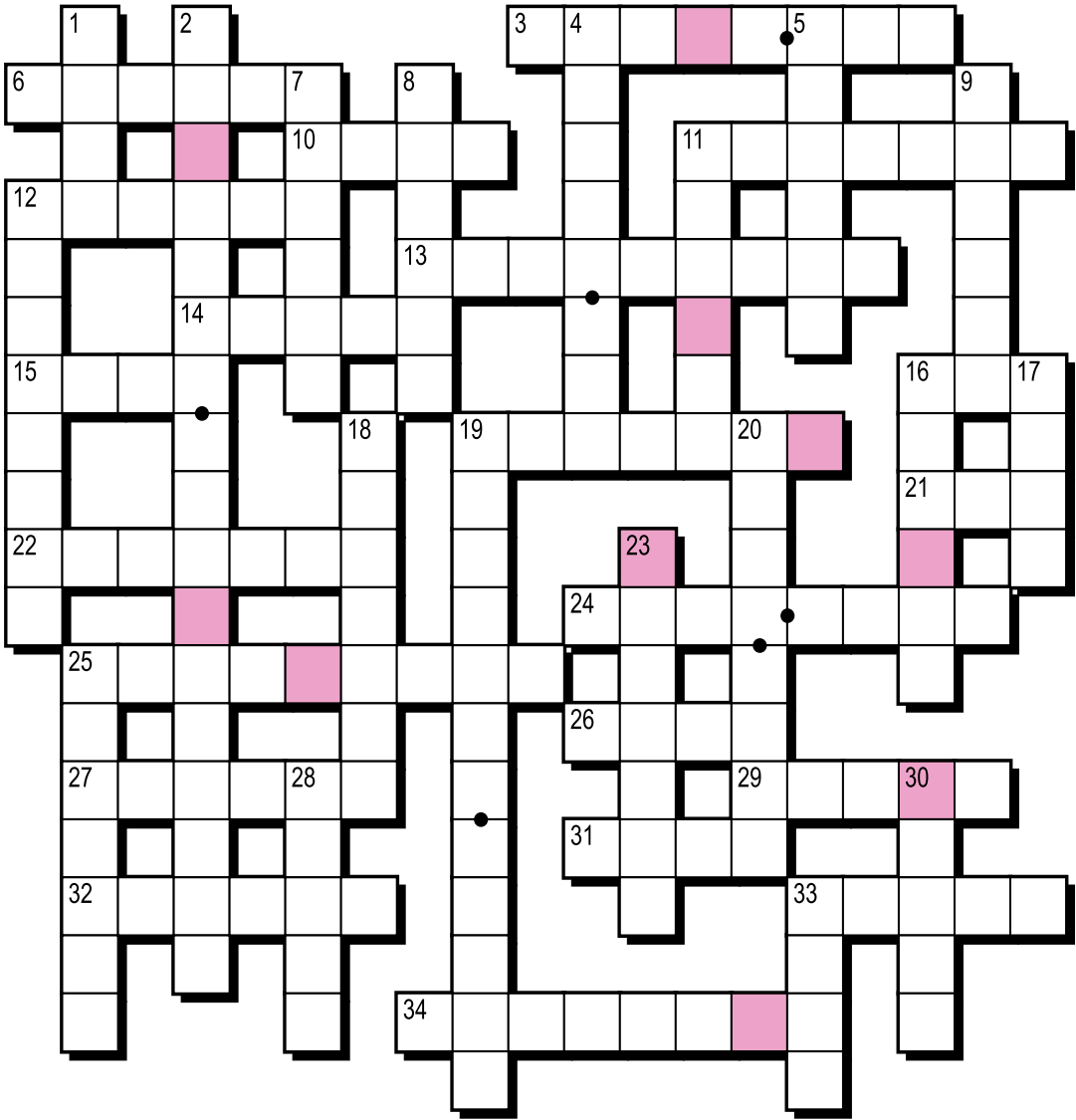
Po pierwszej tercji i golach Mieczysława Jaskierskiego i Ryszarda Nowińskiego Polska prowadziła 2:0. Szok totalny. W drugiej Rosjanie złapali kontakt, ale najpierw Wiesław Jobczyk, a potem znów Jaskierski wypędzili z bramki Sidielnikowa. Między słupki wjechał Trietjak. Ściana.

Czyżby? Jeszcze w tej tercji Jobczyk strzelił piątego gola dla Polski (po dwóch tercjach prowadziliśmy 5:2), a w ostatnich 20 minutach skompletował hat tricka, a mecz zakończył się sensacyjnym zwycięstwem Polski 6:4.

„Po porażce Rosjanie byli wściekli. Mecz pokazano z poślizgiem. W czasie, jak graliśmy, nadawano jakiś program rolniczy. Nie wiadomo do dziś dlaczego. Czy bano się kompromitacji, bo wcześniej z nimi przegraliśmy tak sromotnie, czy gwizdów? Oczywiście, w stronę ZSRR. Ale gwizdów było mało, bo wygrywaliśmy” – opowiadał bohater tamtego wieczoru. Zresztą na słowa uznania zasłużyli wszyscy polscy hokeiści, choćby doskonalili między słupkami polskiej bramki Andrzej Tkacz. Polska wprawdzie nie zdołała utrzymać się w elicie, ale triumf nad Rosjanami to najsłynniejsze hokejowe dokonanie Biało-Czerwonych w historii.

Dlatego dziś, w 47. rocznicę polskiego cudu na lodzie, zapraszamy do „Weekendówki” – hokejówki! A o pomoc w jej powstaniu poprosiliśmy samego Mariusza Czerkawskiego, hokeistę, który 12 sezonów spędził na boiskach amerykańsko-kanadyjskiej ligi NHL, w 745 meczach sezonu zasadniczego strzelił 215 goli i zaliczył 220 asyst (plus 8 goli i 7 asyst w play-off) i jako jedyny Polak zagrał w Meczu Gwiazd najlepszej ligi świata. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 46 z 1.04:

Poziomo:

- 3) anegdota 9) Monty Python 11) Bareja 12) impreza 13) śmierć 15) Miś 17) softys 20) Leśmian 21) napad 22) Stańczyk 24) ponuractwo 25) muzyka 30) papkinada 31) Machulski 35) Olga 36) serial 37) przerwa 38) Benny Hill 39) dykteryjka

Pionowo:

- 1) powaga 2) Atkinson 3) androny 4) Giza 5) aktor 7) trefniś 8) prank 10) mem 13) scenka 14) Fredro 15) mewa 16) śmichy-chichy 17) satyra 18) stand-up 19) spoty 23) Tym 24) Pippi 26) ubaw 27) figlarze 28) kabarety 29) Laskowik 32) Leslie 33) Karol 34) żarty

HASŁO: **WESOŁY ROMEK**

HOKEJ

Hasła Mariusza Czerkawskiego oznaczono inicjałami (MC). Litera w kolorowych polach czytane kolejno rzędami utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3) sportowe trofeum w hokeju na lodzie przyznawane m.in. w Polsce – w 1991 r. miałem przyjemność je zdobyć (MC) 6) ojczyzna hokeja na lodzie 10) klub hokejowy z Oświęcimia 11) Pittsburgh – pingwin, Los Angeles – król, Ottawa – ? 12) moja pierwsza drużyna w NHL (MC) 13) dla tego klubu strzeliłem 35 goli w sezonie 1999/2000 (MC)

- 14) hokej na trawie lub hokej na lodzie 15) spotkanie sportowe 16) Bobby, utytułowany kanadyjski zawodnik (w nazwisku „Morrison”) 19) ochraniacze na nogach bramkarza 21) pod krążkiem 22) Złoci ..., klub ze stanu Nevada 24) miasto, w którym kibicują Podhalu 25) bójka (zdarza się i na lodzie) 26) jedno z pięciu namalowanych na hokejowym boisku 27) impreza sportowa 29) ojczyzna Aleksandra Owieczkina 31) natarcie 32) wynik, że klękajcie narody! 33) hokejowe, zbojckie lub... jazzowe

- 34) zatrzymanie przeciwnika ciałem

Pionowo:

- 1) Jaromír, czeski hokeista, uczestnik pięciu olimpiad 2) jeden z, niestety nielicznych, Polaków, który występował w NHL 4) „mebel” dla odesłanego za przewinienie 5) szybkie przeciwnatarcie 7) ... Matthews, amerykański hokeista, najlepszy strzelec NHL w dwóch ostatnich sezonach 8) imię Kuczerowa, rosyjskiego gracza 9) ... McDavid, Kanadyjczyk, gwiazda ligi NHL 11) rządzi i dzieli na lodowisku 12) Dominik Hašek lub Andrzej Tkacz 16) Nafciarze z Edmonton

- 17) udzielane przez trenerów 18) Wayne z numerem 99, legenda hokeja 19) klub hokejowy z Górnego Śląska, sześciokrotny mistrz Polski 20) amerykańskie miasto, w którym kibicują Rangersom i 13 poziomo 23) tu zagrałem w Meczu Gwiazd w 2000 r. (MC) 25) gotowe do zmian 28) ... Pensylwanii, czyli mecz Pittsburgh Penguins – Philadelphia Flyers 30) Naprzód ..., klub hokejowy z Katowic 33) przylega do boiska, zasiadają w nim zawodnicy

Leszek Rydz

Byle do **weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**